



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Antygona w świecie korporacji : rozważania o uniwersytecie i czasach obecnych

Author: Tadeusz Sławek

Citation style: Sławek Tadeusz. (2002). Antygona w świecie korporacji : rozważania o uniwersytecie i czasach obecnych. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

BIBLIOTHECA ALIA UNIVERSA

TADEUSZ SŁAWEK



ANTYGONA
W ŚWIECIE KORPORACJI

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO



ANTYGONA
W ŚWIECIE KORPORACJI
ROZWAŻANIA O UNIWERSYTECIE
I CZASACH OBECNYCH

BIBLIOTHECA ALIA UNIVERSA



TOM III

TADEUSZ SŁAWEK

ANTYGONA
W ŚWIECIE KORPORACJI
ROZWAŻANIA O UNIWERSYTECIE
I CZASACH OBECNYCH

Wydanie drugie uzupełnione



WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO
KATOWICE 2002

Redaktor serii: Bibliotheca Alia Universa
Marek Pytasz

Redaktor
Małgorzata Poglódek

Korektor
Lidia Szumigała

Projekt okładki i szaty graficznej
Marek Francik

Copyright © 2002 by
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego

ISSN 0208-6336
ISBN 83-226-1240-0

Wydawca
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego
ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice
www.wydawnictwo.us.edu.pl
e-mail: wydawus@us.edu.pl

Wydanie II. Nakład 450+50 egz.
Ark. druk. 8,5 + wklejki. Ark. wyd. 10,0.

Firma „GOLDPRESS” s.c.
ul. Plonów 24, 41-200 Sosnowiec

*Moim najbliższym Współpracownikom,
którym tak wiele zawdzięczam*

Autor dziękuje Panu Jackowi Mastalerzowi oraz Pani Zofii Szocie z Muzeum Historii Katowic za to, że byli mu przewodnikami po wizerunkach Miasta. Bez łaskawej zgody Pani Jadwigi Lipońskiej-Sajdak, dyrektora tegoż Muzeum, umieszczenie w tej książce reprodukcji prac Józefa Dańdy oraz pocztówek pochodzących ze zbiorów Muzeum Historii Katowic nie byłoby możliwe.

Podobne podziękowania kieruję w stronę Pana Piotra Hnatyszyna z Muzeum Miejskiego w Zabrze za pomoc w odnalezieniu wizerunku centrum Katowic z początku wieku, a Panu dr. Marianowi Gerlichowi, dyrektorowi zabrzańskiego Muzeum, dziękuję za zgodę na umieszczenie reprodukcji tejże pocztówki w niniejszej publikacji.

Kolegom Artystom, wybitnym malarzom i grafikom, Maciejowi Bieniaszowi, Eugeniuszowi Delekcie, Arlecie Guździół, Jerzemu Handermanderowi, Tomaszowi Jurze, Romanowi Nowotarskiemu, Marianowi Oslisle, Jackowi Rykale, Janowi Szmatochowi, których prace pozyskane dzięki wstawiennictwu Pana Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach Michała Klisia stanowią nie ornament, lecz integralną część tej książki, dziękuję za Ich szczodry dar.

Nade wszystko składam się z szacunkiem przed wszystkimi, z którymi dane mi było rozmawiać na temat uniwersytetu, a przede wszystkim dziękuję tym Kolegom, którzy zechcieli ze mną blisko współpracować w ostatnich kilku latach. Jestem dłużnikiem Ich miłości i bezinteresownego zaangażowania w sprawy uniwersytetu.

„Co się dzieje z uniwersytetem w warunkach, w których przyszło mu działać w ostatnich 12 latach?” Samo pytanie ma w sobie niebezpieczny ładunek rozgoryczenia, jakbyśmy zakładali milcząco, iż świat, w którym „przyszło” nam pracować w uniwersytecie, jest rzeczywistością nie-sprzyjającą. Tak, jak chorego przyjaciela pytamy ze współczuciem: „na co ci przyszło?”, myśląc o tym, iż okoliczności jego życia doprowadziły go do słabości i wyczerpania. Powiedzmy zatem od razu, że w naszej indagacji nie ma goryczy i żalu do świata; przeciwnie — to, co zdarzyło się w Polsce od roku 1989, jest pasmem fascynujących przemian, zapewne niewolnych od błędów i niedociągnięć, ale nigdy jeszcze historia codzienna nie zapisała tylu opowieści o przedsiębiorczości i powodzeniu, o inicjatywie i samodzielności ludzkiego działania. Jeden z problemów polega na tym, iż nieuchronnie musieliśmy pozbawić się przywileju stosowania wobec własnej pracy i dokonań taryfy ulgowej; przywileju przysługującego momentom niezwykłego, odbierającego oddech przyspieszenia historii. Gdy przestaliśmy doznawać wielkiego, świątecznego olśnienia wolnością i możliwościami wynikłymi z odrzucenia solidarnym wysiłkiem szarości codziennego kłamstwa, gdy nareszcie **życie**, a nie jedynie **przeżycie** stało się naszym zadaniem, czas zwolnił bieg i w jego meandrach pojawiły się **dylematy żmudnego wdrażania się do wolności, a nie tylko do wysublimowanego marzenia o niej, a potem euforycznej jej celebracji**. Marzenie skamieniało w twardą rzeczywistość, dzień codzienny zastąpił święto.

Co zatem dzieje się z uniwersytetem w czasie, gdy wolność nie jest już świętem, lecz dniem powszednim, gdy jakość życia staje się mniej

kwestią intelektualnych potrzeb, a bardziej konkursem konsumpcyjnych pokus?

Dodajmy, iż sprawa jest niełatwa, a tragedia wydarzeń rozrywających na nowo z wysiłkiem zablizniony świat uczyniła ją dramatycznie trudną. Mówimy cały czas o pewnych obrazach, wyobrażeniach uniwersytetu, lecz to, co rozgrywa się na naszych oczach (niebagatelnie ważna to okoliczność: nie „gdzieś daleko”, lecz dosłownie w naszej obecności), przechodzi wszelkie wyobrażenie. Czego uczy uniwersytet rzeczywistość, w której coraz więcej wydarzeń zdarza się w sferze „poza wyobraźnię”, a przynajmniej przekracza granice tego, co wydawało nam się niemożliwe i wprost — w sensie najdosłowniejszym — nie do pomyślenia, a co za tym idzie, nie do wykonania? Mówiąc krócej, jaka jest rola uniwersytetu w świecie, w którym wartości stanowiące o tym, co istotne dla naszego życia i pracy, odsłaniają się jako to, co tylko „wydaje się”, iż obowiązuje? Czy z prostej racji, że „człowiek nie robi takich rzeczy”, nie wydawało się nam czymś „nie do pomyślenia”, iż uprowadziwszy cztery pasażerskie samoloty, można ich użyć jako śmiertelnej broni przeciwko tysiącom niewinnych ludzi?

To, co stało się 11 września 2001 roku na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, wstrząsnęło też fundamentami uniwersytetu. Odkryliśmy bowiem, iż choć uniwersytet doskonali sposób mówienia o świecie, poszerza granice wiedzy, stwarzając możliwość nazywania zjawisk niedostępnych jeszcze do niedawna naszej myśli i mowie, prawdziwy dramat poznania rozgrywa się pośród tego, co znane i zdawałoby się, posłuszne naszym racjom. W górnych słowach o Bogu i wieczności kryje się ciemna mowa nagłej nie-ludzkiej, a więc i nie-boskiej śmierci; sprzęt służący do pokonywania przestrzeni i łączenia rozdzielonych (kto z nas nie był świadkiem tych lotniskowych powitań, czasem dla postronnego obserwatora nawet zbyt ostentacyjnych) staje się narzędziem ostatecznego rozdzielenia; tragizm dobrowolnej ofiary zostaje skarykaturowany pospolitym morderstwem popełnionym na tysiącach, którzy o owej ofierze nie mieli nawet żadnego pojęcia.

Gdzie więc znajduje się uniwersytet w tej sytuacji świata, w którym coraz mniej nadziei na cud porozumienia? Jak spogląda na siebie i co ma do powiedzenia sobie i innym? Jesteśmy sami sobie winni odpowiedź na te pytania, nim usłyszymy ją od innych.

Odpowiedź nasuwająca się jako pierwsza mogłaby brzmieć następująco: trzeba stwierdzić, iż sam **uniwersytet podzielił na dobre i złe los wolności i przestał być świętem, schodząc w cienie republiki powszedniości**. Do tradycyjnych funkcji, którym uniwersytet zawdzięcza swoją pozycję w kulturze europejskiej, dzieje polskiego uniwersytetu w czasach komunizmu dopisały istotny suplement. Uczelnia była miejscem nie tylko badań naukowych i kształcenia przyszłych profesjonalistów, ale także w najlepszej swojej części domeną niezgody i nieposłuszeństwa. Myślę tu nie tylko o otwarciu politycznej działalności opozycyjnej wielu wykładowców i studentów. Pochylając się przed nią z szacunkiem, pragnę jednocześnie zaznaczyć to, co stanowiło siłę uniwersytetu, a co było kształtowaną w codziennym wysiłku zdolnością do **przepatrywania i przeniebowania rzeczywistości**, do takiego jej penetrowania, aby polityczna, ekonomiczna, retoryczna powierzchnia nie była przyjmowana w dobrej wierze.

Gdy rzeczywistość jawiła się jako ślepy zaułek, tysiące nauczycieli dbało o to, by uczniowie i studenci znajdowali ukryte przejścia w rejony wolne od szarości. Umiejętność czytania świata jako swoistego paradoksalnego kodu, w którym to, co niewidoczne, mało czytelne i niemile widziane, okazywało się najistotniejsze, była szczególnie kultywowana w uniwersytecie. W ten sposób formułowano ostrzeżenie przed rzeczywistością, która — gdy próbowano ją brać bez owej dozy nicującej ją umiejętności nieprzystawania — okazywała się pułapką, w którą wpadając, człowiek skazany był na życie pośród złudzeń lub cynicznej obojętności (mogły to być złudzenia polityczne, wynikające z naiwnej wiary w slogany propagandy, lub pozory ekonomicznego dobrobytu, opartego na pozbawionym skrupułów korzystaniu z dostępnych niewielu „społecznym” przywilejów).

Uniwersytet zabiegał o to, aby jego wychowankowie wykazywali nieufność wobec zalecenia przystosowywania się do świata i wypełniania nakazów jego możliwych. Dzisiaj sytuacja się odwróciła: uniwersytet w atmosferze spowszedniałej wolności (a nie jest to bynajmniej określenie negatywne) zastanawia się nad krokami, jakie musi podjąć, aby jego adepci byli do rzeczywistości przystosowani jak najlepiej. To prze-

sunięcie z pozycji programowego niedopasowania i niezależności jednostki w miejsce, w którym najbardziej w cenie jest umiejętność bycia „na czasie” i „na miejscu”, zmiana modelu człowieka „zbuntowanego” na „przystosowanego” (używam, oczywiście, grubych uproszczeń), odbiły się wyraźnie na specyfice uniwersytetu. Gdy wolność staje się pozbawioną refleksji domeną dnia powszedniego, duch niezgody na to, co świat oferuje, traci na znaczeniu. Osłabła atrakcyjność uniwersytetu jako miejsca kształtowania się życia opartego na stałym obowiązku krytycznego myślenia; przestał on frapować jako instytucja, która umożliwiała niestrudzone ćwiczenie owej nigdy niezasypiającej intelektualnej czujności. **Podęrzliwość intelektualna spadała w cenie, w miarę jak rosła wartość umiejętności mających praktyczne walory rynkowe.** Dawniej każdy przedmiot był godzien krytycznej, wnikliwej uwagi uniwersytetu, dzisiaj uwaga skupia się na tym, co pomaga przystosować się do okoliczności i co, w konsekwencji, przyniesie posiadaczowi danych umiejętności odpowiednie wartości ekonomiczne. Konformizm był dawniej w uniwersytecie łatwo wyczuwalny i nie cieszył się popularnością społeczności; dzisiaj stał się w dużej mierze „cnotą” akademicką, jakby uniwersytet zapomniał o tym, że niezgoda na stan świata jest jego żywiołem.

* * *

Gdyby zadanie uniwersytetu zawrzeć w jednej zwartej formule, mogłaby ona brzmieć następująco: **zadaniem uniwersytetu było opanować chaos.** Służyły temu zarówno praktykowanie wiedzy, które musiało się opierać na procedurach porządkujących surową i bezładną materię ludzkiego doświadczenia, jak i struktura samej instytucji podzielonej na dyscypliny, a później katedry, wydziały itp. Uniwersytet był antologią narracji, wielką księgą opowieści stanowiących dzieło uczonych, a jednocześnie wątkom tym towarzyszyła inna historia mówiąca o tym, jak ci, którzy opowiadają, organizują się w związki, gildie, stowarzyszenia zawodowe, kongregacje wtajemniczonych, po części dzielące się wiedzą, a po części zazdrośnie jej strzegące. Uniwersytet wprowadzał do świata porządku. Jego dyplom stanowił bilet do rzeczywistości, w której barbarzyńca cofał się przed murami miasta, a pociągi odjeżdżały i przyjeżdżały z wielką punktualnością (o tym, jak istotny

był ów ruch wagonów i lokomotyw dla nowoczesnego świata nie tylko w XIX wieku, świadczy przykład niedawnego przemówienia Güntera Grassa, który za pierwszy symptom kruszącego się ładu Zachodu uznał to, że koleje niemieckie stały się niepunktualne: „[...] poręczne stereotypy »niemieckiego porządku« [...] obaliła tymczasem niepunktualność kolei niemieckich [...]”¹).

Tak przedstawiał się uniwersytet w jego wielkich modelach autorstwa Humboldta i Newmana, a Matthew Arnold przeciwstawiał w 1869 roku „kulturę” (której strażnikiem był uniwersytet jako szkoła doskonalenia się człowieka dzięki lekturze arcydzieł ludzkiego ducha) „anarchii” upostaciowanej przez filistynizm mieszczańskich karierowiczów. Do naszej zatem wstępnej uwagi dopiszmy małe uzupełnienie pouczające o tym, iż tradycyjnie **uniwersytet miał opanować chaos doświadczenia surowej rzeczywistości za pomocą poddania go porządkującym działaniom opowieści tworzących materię kultury.**

Przed 1989 rokiem uniwersytet polski, kontynuując te ideały, nadał im jeszcze charakterystyczną orientację nakierowaną na stróżowanie etosowi inteligenta. Gdy absolwent uniwersytetu zachodniego mógł liczyć na korzystanie z dobrodziejstw ładu (począwszy od siły nabywczej pensji, aż po punktualne koleje), jego polski odpowiednik wchodził w rzeczywistość zgoła bezładną, nieuporządkowaną, którą usiłował organizować sam za pomocą wielkich tekstów kultury śródziemnomorskiej lub rozwiązywania matematycznych problemów. Nie na próżno Agnieszka Osiecka mówiła o dyskutujących o Einsteinie okularnikach, wiążących koniec z końcem „za te polskie dwa tysiące”. Owe dwie rzeczywistości: zewnętrznego chaosu, na który narzucono woalkę propagandowej retoryki programowej jedności narodu, oraz wewnętrznej struktury układanej pod dyktando wielkich narracji, nie tylko nie przylegały do siebie, ale wręcz pozostawały w jawnej sprzeczności. Znany rysunek Andrzeja Mleczki przedstawiający zbiedniałego inteligenta, brnącego po kostki w błocie realnego socjalizmu i powtarzającego w myśli: „należę do obszaru kultury śródziemnomorskiej”, jest tak dobitną ilustracją tego stanu rzeczy, iż zwalnia nas od dalszego komentarza. Uniwersytet, a przynajmniej znaczna liczba jego pracowników, przed rokiem 1989 strzegł więc ładu w sytuacji, w której — inaczej

¹ G. Grass: *Pół-Kaszub chce budować mosty*. „Gazeta Wyborcza” z 21—22 lipca 2001.

niż w Europie Zachodniej — okoliczności zewnętrzne owemu ładowi zaprzęcały, uniemożliwiając, a przynajmniej radykalnie utrudniając wprowadzenie go w życie.

Nic zatem dziwnego, że gdy wolność dnia powszedniego postawiła przed uniwersytetem zarówno konieczność, jak i możliwość niewyłączenia się z rzeczywistości i tworzenia świata alternatywnego, co więcej — jak najpełniejszego wpisania się w okoliczności zewnętrzne, uniwersytet musiał odczuć reakcję, którą trzeba opisać jako zaskoczenie. Zaskoczenie tym większe, iż w zasadzie było ono reakcją na spełniające się marzenie uniwersytetu: oto jego wychowankowie zabrali się do tworzenia świata, w którym sprawdzają się wielkie narracje kultury śródziemnomorskiej i szybko niknie zewnętrzny bezład. **Gdy zniknął beznadziejnie szary chaos świata komunistycznego reżymu (chaos tym dokuczliwszy, że powstający na ogromnych obszarach życia, mających wedle propagandowej retoryki stanowić domenę porządku, chaos kartek na mięso i benzynę, chaos pustych sklepów w kontraście do retoryki powszechnego powodzenia i dobrobytu), uniwersytet musiał zapytać sam siebie, jak się znaleźć w owym świecie, w którym rola barbarzyńcy nie była już tak jasno określona.** Musiał też zapytać, czy kultura będąca gwiazdą przewodnią inteligenta, za którą uniwersytet szedł tyle lat, nadal pozostała dobrym przewodnikiem w naszym byciu i działaniu.

* * *

Uniwersytet wyśnił urzeczywistnienie Odysei, przechował całą bogatą chromatykę znaczeń i symboli zimnobłękitnego, śródziemnomorskiego nieba, lecz gdy rozwiały się chmury owo niebo zasłaniające, okazało się, że wielka narracja pozostaje już tylko małą opowiadką, że *logos* nie jest słowem, od którego drży świat, ale być może nie do końca sprawdzoną wiadomością, czymś zanurzonym jeszcze w plotce, a co odpowiednio nagłośnione, potrząsa stanowiskami i łamie kariery.

* * *

Status inteligenta oznaczał przynależność do pewnej elitarnej grupy, chociaż elitarność ową zapewne rozmaicie rozumiano. Komunistyczne

władze przyjmowały ją do wiadomości o tyle, o ile inteligencja miała stanowić siłę — jeśli nie „przewodzącą”, to w każdym razie „towarzyszącą” klasie robotniczej. Mimowolnie jednak polityka tychże władz — znów w jaskrawej sprzeczności z własną propagandą lansującą tezę o Polsce jako o „kraju ludzi kształcących się” — sprawiała, że ludzie z wykształceniem wyższym, zwłaszcza uniwersyteckim, stanowiąc niewielki tylko odsetek populacji (znacznie poniżej 10%), musieli tworzyć elitarną enklawę. Owo ewentualne poczucie odrębności skutecznie tłumiono ekonomicznym spauperyzowaniem tej grupy. Upraszczając znacznie i idealizując ów obraz polskiej inteligencji, moglibyśmy powiedzieć, iż tak kształtując jej losy, władza komunistyczna zgotowała sama sobie groźną pułapkę: z jednej strony starała się kontrolować inteligencję, ograniczając jej wpływy, limitując jej liczbę, skład społeczny (przypomnijmy nieszczęsne punkty „za pochodzenie”) oraz obniżając poziom jej życia, z drugiej strony to właśnie te czynniki z inteligencji czyniły siłę niebezpiecznie wywrotową, nowych „proletariuszy” gotowych do kwestionowania obowiązującego systemu i wyłamania się spod jego kontroli.

Po roku 1989 uniwersytet coraz intensywniej zaczął przeżywać kryzys swojej elitarności. Zwiększając liczbę studiujących (w skali całego kraju indeks skolaryzacji wzrósł w ciągu 10 lat z 10% do ponad 40%), uczelnia miała poczucie uczestniczenia w wielkiej przebudowie kraju i społeczeństwa, ale rychło nasunęła się refleksja nad dosłownymi i przenośnymi kosztami owego procesu. Dyskusja nad jakością kształcenia, powołanie Uniwersyteckiej Komisji Akredytacyjnej, zapisanie w znowelizowanej ustawie o szkolnictwie wyższym jej państwowego odpowiednika świadczą nie tylko o wyczuleniu na to, *czego i jak* uczymy, ale są także symptomem dążenia do **rekonstruowania się poczucia elitarności w edukacji opartego wszakże nie na racjach politycznych czy ogólnokulturowych, lecz na podstawach ściśle zawodowej biegłości oraz ekonomiczno-administracyjnej skuteczności.**

Rosnąca profesjonalizacja kształcenia, wynikająca z dostosowywania się do wymogów rynku, sprawiła, iż jakość prac magisterskich, a nawet doktorskich i stopień angażowania się w nie ich autorów, przyszłych absolwentów i doktorów nauk, są oceniane coraz bardziej krytycznie. Niepokojąco częste wieści o powszechności magisterskich plagiatów lub

fabrykowaniu prac przez podstawionych autorów pogorszyły tę sytuację, wskazując, że to, co kilkanaście lat wcześniej stanowiło absolutny, obarczony sankcją ogólnego potępienia wyjątek, wkrada się dzisiaj powoli do aprobowanego obyczaju, a w pewnych kręgach stanowi potwierdzenie biegiłości technicznej (umiejętność pełnego wykorzystania elektronicznych źródeł informacji) i życiowej przedsiębiorczości (wierność zasadzie „optymalizacji wysiłku” głoszącej konieczność osiągania sukcesu jak najmniejszym nakładem wysiłku). Krótko mówiąc, **„elita” przestała być wąską grupą zarówno ilościowo (wzrost liczby studentów, fakt, który należy ocenić jednoznacznie pozytywnie), jak i jakościowo, tzn. przestała zachowywać się i postępować jak „elita” (co nie poddaje się łatwo jednoznacznej ocenie, wymaga bowiem długiej debaty na temat tego, co rozumiemy pod pojęciem „elita”).**

* * *

Gdyby nas zapytać, co oznacza „postępować jak »elita«”, odpowiedzilibyśmy, że zapewne wiele różnych rzeczy, ale ich wspólnym mianownikiem jest **bezinteresowność i zaufanie**. Co powiedziawszy, dodajemy szybko, aby oddalić zarzut naiwności, iż chodzi nam nie o wprawianie się w tych cnotach, lecz o działanie wykazujące prymat bezinteresowności i zaufania jako założonych (często jedynie milcząco) pryncypiów naszego postępowania.

Przez bezinteresowność rozumiem takie działanie, które nie wynika jedynie z machinacyjno-kalkulacyjnego myślenia, opartego na nieustannym domniemywaniu kroków, które wykonają inni. Innymi słowy, bezinteresowność mówi nam mniej o tym, czy zyskamy coś materialnie na danym posunięciu (choć można nie tracić tego elementu z pola widzenia), natomiast pozwala uniknąć postępowania czysto reaktywnego, konformistycznego (robię tak, bo tak robią wszyscy) oraz co ważniejsze, umożliwia nam ograniczenie myślenia, które nazwę tutaj „myśleniem szachisty”, czyli siły oddziaływania nie wykonanych jeszcze posunięć innych osób (robię tak, domniemuje bowiem, że wówczas on czy ona postąpi tak a tak, na co z kolei mam następujące warianty odpowiedzi, itd. — praktycznie w nieskończoność). Oczywiście, istotą tego drugiego mechanizmu jest jak najmniejsza przejrzyistość mojego

działania, po to aby inni nie mogli nazbyt łatwo rozszyfrować, co w istocie chcę osiągnąć, wykonując dany ruch. Przez bezinteresowność zatem pojmuję również zmniejszanie się w moim życiu i postępowaniu znaczenia wszelkiego rodzaju kamuflażu i gry pozorów.

* * *

Teraz stoimy już w miejscu, z którego dostrzegamy rolę zaufania. W postępowaniu motywowanym wyłącznie logiką machinacyjno-kalkulacyjną muszę zabiegać o to, aby moje czyny przedstawiały się innymi niż są, aby kryły moje zamierzenia i środki prowadzące do ich realizacji. Kamuflując, pragnę wprowadzić obserwującego w błąd: chcę mu narzucić wniosek, iż to być może w ogóle nie jestem „ja”, nie jestem „tutaj” i nie robię tego, co robię. Wynika to z faktu, że u podstaw mojego działania leży przeświadczenie, że pewien obraz świata, pewna jego wizja nie może być wspólna, że rzeczywistość jest jedynie konfliktem odrębnych obrazów, które to obrazy i modele świata nie modyfikują się wzajemnie, lecz jedynie wzajemnie się unicestwiają.

Logika widzenia machinacyjno-kalkulacyjnego nie ma nic wspólnego z logiką spojrzenia malarskiego, skupionego właśnie na tym, aby ujrzeć, jak jeden zespół barw jest *modyfikowany*, a nie unicestwiany przez inne kolory, zmianę oświetlenia itp. Kalkulując, muszę więc być nieufny, gdyż zakładam, że postępowanie innych zmierza wyłącznie do zniszczenia, a nie modyfikacji mojego obrazu świata. Spoglądając jak malarz, potrafię docenić wszystko, co sąsiaduje z moimi wyobrażeniami, dzięki czemu czynami i swoim sąsiedztwem zmienia je i — być może — nawet wzbogaca. Jest zatem tak, jak pisze William James: „Jeżeli my dołożymy najlepszych starań ze swojej strony, a inne siły ze swojej, świat będzie doskonalszy”².

Zaufanie oznacza więc początkowy szacunek dla tego, co znajduje się w sąsiedztwie i na co moje pierwsze spojrzenie kieruje się nie z pogardą lub podejrzeniem, lecz starając się uchwycić i ocenić stopień, do jakiego sąsiedztwo to zmienia moje myśli, czyny, wyobrażenia. Korzystając z mostu, jaki wybudował dla nas Kant, moglibyśmy przejść z brzegu zaufania na brzeg gościnności, przekonując się, iż wi-

² W. James: *Prawo do wiary*. Tłum. A. Grobler. Kraków: Znak, 1996, s. 163.

dok z obu tych miejsc jest taki sam. Gościnność jest bowiem „prawem cudzoziemca do tego, aby nie być traktowanym jako wróg wtedy, gdy przybywa na czyjeś terytorium”³. Elita ma zatem stanowić ostoję gościnności, co pociąga za sobą wypełnianie funkcji gospodarza, czyli tego, kto z założenia angażuje się na rzecz bycia przygotowanym na przyjęcie gościa. Gość taki, zapowiedziany czy nie, może przyjść zawsze, a nawet więcej — przychodzi w każdej chwili pod różnymi postaciami ludzi, przedmiotów, zdarzeń. Gość znajduje się zawsze w sąsiedztwie; gościnność opiera się na przekonaniu o powszechnym sąsiedztwie wszystkich i wszystkiego. Szczególną i niepokojącą formą utraty zaufania jest spotykana pod różnymi postaciami zawiść będąca sprężyną, która uruchamia nieustanny wyścig zmierzający do pokonania konkurentów. Richard Sennett nazwał ów proces odchodzenia od zaufania „korozją charakteru” i poświęcił mu fascynującą książkę (*The Corrosion of Character: the Personal Consequences of Work in the New Capitalism*. New Brunswick: Rutgers University Press, 1998).

Jeżeli uważne spojrzenie nakaże mi ostrożność, mogę powziąć podejrzenia, mogę nawet rozpocząć zmagania z tym, co sąsiedzkie, ale nie rozpocznę takich działań na mocy z góry założonych schematów uprzedzeń. Zaufanie nie jest i nie może być nieograniczone, lecz dramat obecnej sytuacji, w której rzeczywistość kształtowana jest według prostackich wzorów big brothera, polega na tym, że zaufanie zostało odesłane do lamusa przywar lub śmiechu wartych staroświeckich sposobów bycia. Istotą życia ofiar występujących w programie *Big Brother* jest wszak radykalny kamuflaż i intryganctwo, maskowanie się i tworzenie optycznych złudzeń po to, aby skompromitować niebacznie ufne go obserwatora. Uczestnicząc w rzeczywistości funkcjonującej wedle reguł wspomnianego programu *reality show*, odcinam się od możliwości świata jako wspólnoty, ponieważ mimo przestrzennej bliskości innych, a nawet klaustrofobicznej ciasnoty tej parodii świata nie dzielę tam niczego z nikim; ta bowiem manipulacyjnie kontrolowana rzeczywistość polega na zestawieniu konstelacji odrębnych monad nie mających z sobą (poza koniecznością knucia w celu przetrwania) żadnych cech wspólnych. Nie mają one niczego, co łączyłoby je, a ich język jest ni-

³ I. Kant: *Political Writings*. Ed. H. Reiss. Cambridge: Cambridge University Press, 1970. Cyt. za J. Derrida: *Hostipitality*. „Angelaki. Journal of the Theoretical Humanities” 2000, vol. 5, no 3 (december).

czym więcej, jak zestawem skłaniających się ku wulgaryzmem słów niezbędnych jedynie do komunikowania swoich potrzeb.

* * *

Pytanie o bezinteresowność i zaufanie jako postaw określających rytm postępowania elit staje się też pytaniem o ocalenie rozumienia tego, co wykracza poza bezpośrednie potrzeby, czego horyzont czasowy przekracza godzinę (i to jak najmniej oddaloną), godzinę pognębienia innych będącą synonimem godziny mojego sukcesu. Pytanie to formułujemy za Algirdasem Greimasem następująco: „Jak walczyć przeciw ogólnej patologicznej niezdolności do rozumienia symboli, gdzie pielęgnować »zmysł piękna«, zmysł najsilniej, co wyczuwa się intuicyjnie, podzielany przez ludzi?”⁴.

Elita w jakimś sensie musi żyć w sferze nadwyzki znaczenia. Kształcenie elit nie wyczerpuje się w nabywaniu zawodowych umiejętności, one bowiem — choć niezwykle ważne — zapewniają funkcjonowanie w sferze tego, co jednoznacznie określone i co narażone jest na niebezpieczeństwo rutyny. Aby go uniknąć, wszczepione nam zostają przymus i pokusa nowości; pościg za „nowym” (począwszy od ubiorów, aż po mody artystyczne) jest tym, co ma przełamać stagnację „zużytej” codzienności. Tymczasem działanie i misja elity polegają jakby na ponownym, powtórnym zajęciu się tym, co już niby „zużyło się” w codziennych zabiegach i troskach. **Elita, szanując codzienność, nadaje jej inny ciężar i wagę, nasycza ją czymś niecodziennym**, co nie ma nic wspólnego z tanim blichtrzem tzw. wielkiego świata, którym epatują nas kolorowe magazyny. Przeciwnie, efektem działania elit jest zgęszczenie masy krytycznej małego, najmniejszego ze światów naszych codziennych, banalnych wydarzeń.

Dzisiejszy kryzys elity polega na tym, że nie potrafiła wskazać społeczeństwu i skutecznie obronić przekonania, że uczestniczenie w rzeczywistości (także w znaczeniu czerpania z tego godziwych korzyści dla siebie) nie polega na schlebaniu temu, co małe, i umizgiwaniu się do tego, co podłe, lecz na przeciwstawieniu się tym przejawom życia, które niszczą najcenniejszą rzecz, jaką dysponujemy: rozważny i głęboki szacunek dla

⁴ A. Greimas: *O niedoskonłości*. Tłum. A. Grzegorzczak. Poznań: Wydawnictwo UAM, 1993, s. 102.

tego, co nas otacza. Fatalny błąd elit polegał więc na tym, że pomyliły „małe” z „podłym”, „codzienne” z „wulgarnym”. Nasze życie upływa przede wszystkim wśród „małych” wydarzeń, trywialnych faktów, często przez nas nawet nie zauważanych, bezwiednych, machinalnych czynności. Musimy obdarzyć je najwyższym szacunkiem po to, aby nasze istnienie nie było albo całkowicie mechaniczne, albo oddane górnolotnym, nierealnym mrzonkom. Ale nie wolno nam było przyzwolić na to, aby okrzyk „ja pierdzielę” (w wykonaniu „gwiazdy” Manuela Michalak) i przymiotnik „zajebisty” zostały przyjęte jako klucz do codziennej rzeczywistości. Codziennność ma bowiem swoją małą, lecz prawdziwą „wielkość”, nawet patos, który wspomniane zachowania premiowane własnymi programami w telewizji (Gulczas), statusem *celebrity* pop-kultury lub miejscem w parlamencie (Sebastian Florek) zamieniają w gatunek językowego „czknięcia”, któremu nadaje się walor wypowiedzi delfickiej Pytii.

I tak, knajacki bezrefleksyjny odruch stał się kluczem otwierającym drzwi salonów. Zadaniem elity jest więc przywrócić szacunek do codzienności, który większości z nas zabrano, skazując nas na śledzenie losów nieszczęśników zamkniętych nie tyle w klatce telewizyjnej, udawanej rzeczywistości, ile przede wszystkim w klatce własnej bezgranicznej głupoty. Mówiąc metaforycznie: **rugować językowe i mentalne czkanie, siorbanie, ładowanie łokci i nóg na stół jest zadaniem uniwersytetu i tych, którzy uważają się za jego ludzi.** Z niewielkim ryzykiem przesady można przyjąć, że rzeczywistość i zadania uniwersytetu wyznacza tytuł wydanej w 2001 roku przez Yale University Press książki Jeffreya Harta *Przeżyć z uśmiechem katastrofę kultury. W stronę odnowy wyższego kształcenia* (*Smiling through the Cultural Catastrophe. Toward the Revival of Higher Education*). Językowa brutalna arogancja jest nie tylko wyrazem głupoty, ale przede wszystkim uniemożliwia racjonalną rozmowę, stanowiącą fundament satysfakcjonującego życia społecznego, której przecież winna służyć taka instytucja, jak uniwersytet (do tematu rozmowy przyjdzie nam jeszcze powrócić). Spoglądając na problem z perspektywy Pierre’a Bourdieu, powiedzielibyśmy, że polskie „elity” z ogromną, przypuszczalnie nadmierną szybkością przebyły przestrzeń oddzielającą ich rolę jako opiekunów symboli kultury wielkiej śródziemnomorskiej narracji od nowej funkcji wykształconej klasy średniej jako propagatorów pewnego stylu bycia, sposobu produkcji i konsumpcji. Mówiąc obrazowo, nauczyciela jako wzór kulturowy

(choć nigdy nie ekonomiczny!) zastąpił „dyrektor kreatywy”, specjalista od publicznego imażu, popularny wydawca czy agent reklamowy.

* * *

Różnica między okiem „machinacyjno-kalkulacyjnym” a okiem „malarzkim” polega na tym, iż dla pierwszego z nich świat może być „doskonalszy” jedynie według jednego, „mojego” scenariusza. Co więcej, możemy postąpić krok dalej w naszej analizie i powiedzieć, że światu najprawdopodobniej odjęty będzie przywilej zmiany i ewolucji w doskonaleniu się, gdyż logika ściśle kalkulacyjna zażąda dla świata stworzonego wedle własnych wyobrażeń sankcji doskonałości; rzeczywistość nie będzie „doskonalsza”, lecz ponieważ została stworzona pod moje dyktando, może być tylko już skończenie „doskonała”. **Broniąc bezinteresowności i zaufania jako zasad postępowania elity, chcemy przywrócić światu prawo do niedoskonałości, czyli do otwartych możliwości doskonalenia się, prawo wielkiej wagi, może ono bowiem ustrzec nas przed pokusą totalizujących pragnień i marzeń o doskonałości uk(n)utej według jednego dopuszczalnego schematu.**

Nie ulega wątpliwości, że życie płynie według obydwóch przedstawionych wzorów myślenia i postępowania; że dychotomiczny podział między nimi jest modelem teoretycznym, gdyż codzienna rzeczywistość splata z sobą te dwie ścieżki. A jednak to, co stanowi o przynależności do elity, to postępowanie, w którym to, co bezinteresowne i oparte na zaufaniu, bierze górę nad tym, co machinacyjno-kalkulacyjne, a oko szachisty (mistrzowie tej gry, do której żywię głęboki szacunek, zechcą wybaczyć to porównanie) ustępuje od czasu do czasu spojrzeniu malarza. Należć do elity to nie tylko wykazać się cenzusem wyższego wykształcenia i bytnością w odpowiednich salonach; przynależność taka oznacza dar widzenia świata w pewien sposób. Piszemy ostrożnie: w „pewien” sposób, gdyż to, o czym mówiliśmy, jest tylko mniej lub bardziej nieudolnym przybliżeniem. Przekonanie bowiem, a nawet wręcz wiara w doskonalenie się (lecz żadną miarą w doskonałość) świata wyklucza formułowanie jednoznacznych recept na to, jak stworzyć elity i jakie wyznaczyć kryteria w nich uczestniczenia.

Elita, która ogłasza ściśle obowiązujące reguły ustalania kryteriów dopuszczających do członkostwa w jej gremiach, w istocie niczym nie

różni się od partii politycznej reklamującej swój program jako niezawodny i nieodrzucałny schemat, dla którego poparcie staje się szybołtem wprowadzającym nas do grona wybranych. Elitarność elit polega na czymś wręcz odmiennym, co sprawia, iż elity nie będą nigdy organizacją partyjną: działanie elit nie wynika z ideologicznych czy biurokratycznych prawideł, lecz z poważnego traktowania wszystkich, nawet najdrobniejszych codziennych wyborów i decyzji. Polityk/ideolog (te dwie kategorie nie muszą być, lecz jak nas poucza upadek życia politycznego, najczęściej są tożsame) nie zważa na drobiazgi; te bowiem powstają jakby „na gorąco”, pomimo, wbrew jego totalizującemu obrazowi świata, który okrucichów istnienia nie znosi jako zjawisk mogących wprowadzić zamęt w działanie srebrzystej maszyny wizji ogólnej, ujętej w ramy retoryki wielkich zamiarów. Inteligent (stawiam bowiem znak równości między przynależnością do elity i postawą inteligenta) natomiast radykalną nieufność do wielkich projektów okupuje miłością i zaufaniem do mrówczej pracy szczegółu.

Moglibyśmy powiedzieć, iż życie elity tak, jak winien ją formować uniwersytet, jest życiem rozdrobnionym, rozproszonym, nie metaforycznym, lecz metonimicznym; a jednak jest owo życie i działanie scalone przekonaniem, że rozdrobnienie nie bierze się z braku charakteru, siły woli czy umiejętności, lecz wynika z przeświadczenia, że taka postawa może uchronić życie przed zamrożeniem w zimnym spojrzeniu ideologa/polityka. Żyjąc wśród szczegółów, smakując drobiazgi egzystencjalne zewsząd pojawiające się wokół mnie, w znakomitej większości nie za moją sprawą, mogę docenić nieprzewidywalność i ruchliwość istnienia tworzącego barwne, drobne „wzory” na tkaninie wielkich wydarzeń. Owe okrucichy nie poddają się do końca prawom przyzwyczajenia i pamięci określającym świat „dużej” historii i tradycji. W ten sposób działanie elity z jednej strony służy pamięci i przechowaniu tego, co było, lecz z drugiej strony zachowuje wrażliwość wobec krótkotrwałości zgoła niehistorycznych szczegółów i drobiazgów. Idąc za Greimasem, przypisałibyśmy kształceniu elity „działanie poprzez redukcję czasu — zatrzymując[ą] to, co krótkotrwałe” i „redukcję przestrzeni — przywiązując[ą] wagę jedynie do jej fragmentów”⁵.

⁵ Ibidem, s. 111.

To, co porusza dodatkowe mechanizmy w medytacji nad losami „elitarności” uniwersyteckiego kształcenia, to widoczna dopiero od dwóch, trzech lat niepokojąca sytuacja na rynku pracy. Gdy do niedawna uniwersytet mógł z czystym sumieniem bronić swojej dokonującej się kosztem „elitarności” ewolucji tezy, że gospodarka potrzebuje coraz większej liczby ludzi wykształconych, rosnące bezrobocie stawia obecnie tę linię myślenia pod znakiem zapytania. Mamy do czynienia z sytuacją paradoksalną: z jednej strony szczyrimy się ponad 40-procentowym indeksem skolaryzacji, z drugiej — coraz więcej absolwentów staje w obliczu braku zatrudnienia. Jest to ważny dodatkowy element związany z kwestią „elitarności” i słuszością samooceny uniwersytetu: przeżywając dylemat porzucenia wąsko rozumianej elitarności kształcenia i opowiadając się za większą liczbą studentów mających dzięki wykształceniu lepiej zakotwiczyć się w życiu, uniwersytet teraz jakby tracił jeden z ważkich argumentów na rzecz takiego kierunku rozwoju. **Przyszłość naszych absolwentów będzie wyznacznikiem przyszłości uniwersytetu, jednak na przyszłość swoich wychowanków uczelnia ma wpływ niewielki, dlatego niepokój o dalsze losy uniwersytetu.** Uniwersytet znajduje się zatem w sytuacji, w której z jednej strony opowiada się za słuszością tezy, że obecna i przyszła gospodarka będą oparte na wiedzy, lecz z drugiej strony korzyści wynikające z tego stanu rzeczy nie rozłożą się równomiernie wśród absolwentów szkół wyższych. Nie straciła nic na aktualności prawda odsłonięta przez Clarka Kerra już niemal 40 lat temu: „Rzeczywistość uniwersytetu wyznaczona jest przekonaniem, że nowa wiedza stanowi najistotniejszy czynnik ekonomicznego i społecznego wzrostu. Dopiero teraz dostrzegamy, że niewidzialny produkt uniwersytetu, wiedza, jest być może najpotężniejszym elementem naszej kultury oddziałującym na powstawanie i zanik profesji i klas społecznych, regionów, a nawet całych narodów”⁶. Zataił się natomiast prześwitujący między wierszami tekstu Kerra optymizm kreujący obraz przyszłości, w którym wykształceni znajdują całkowicie satysfakcjonujące

⁶ C. Kerr: *The Uses of the University*. Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1963, s. XIV.

zajęcie, którego ranga będzie wprost proporcjonalna do stopnia ich wiedzy. Wiedza zatem istotnie jest potężnym atutem, ale w grze sił ekonomicznych i społecznych atut ów może nie być — wbrew nadziejom — skutecznie wykorzystany przez wszystkich grających.

* * *

Kwestia poruszona przed chwilą jest również pytaniem o wartość edukacji, a wtórnie o przydatność ogólnych kryteriów statystycznych, takich jak indeks skolaryzacji. Odpowiedź, którą uniwersytet kieruje do swoich adeptów, brzmiałaby następująco: dyplom wyższej uczelni oznacza dzisiaj dwie rzeczy: sankcjonuje pewne umiejętności i przede wszystkim potwierdza gotowość dyplomanta do dalszej nauki. Dyplom nie jest więc dzisiaj kresem drogi uczącego się, lecz tylko jednym z jej etapów. Jego siła polega na tym, iż deklaruje on w imieniu posiadacza dyspozycję do stałego kształcenia się, a co za tym idzie do niezamykania się w wąskim polu nabytych kwalifikacji. Prawda ta obowiązuje zapewne zawsze, lecz szczególnego znaczenia nabiera w okresach słabszej gospodarki, w których nawet samo studiowanie traktowane jest — nie bez racji — jako istotna barwa w obrazie ekonomicznej rzeczywistości („[...] wyliczyliśmy, że będziemy mogli zaoferować od najbliższego roku akademickiego studia około 100 tys. młodych ludzi, którzy w dzisiejszej sytuacji trafiliby na rynek pracy. A tak uzupełnią wykształcenie i zwiększą swe szanse na pracę. Jednocześnie w bardzo trudnym okresie nie powiększą ogromnej grupy młodych i frustrowanych ludzi, którzy nie mogą znaleźć zajęcia”⁷).

Kształcenie nie gwarantuje więc zatrudnienia, lecz bez wątpienia zwiększa na nie szanse i czyni mnie odporniejszym na załamania i zwątpienia. „Uzupełnianie” umiejętności jest procesem otwartym i waga tego winna być podkreślana zawsze, a nie tylko w „bardzo trudnym okresie”. To wszystko prawda, ale powiedzmy jeszcze o jednej nauce płynącej z tej sytuacji. Edukacja, a zwłaszcza edukacja wyższa, winna uzmysławiać swoim adeptom to, że — jak powiedzieliśmy — niezgoda na zastany kształt świata winna wynikać z *poszanowania* jego przejawów, a nie ze ślepego *posłuszeństwa* wobec jego praw (dzisiaj określanych w skrócie „prawami rynku”). To zaś oznacza, że

⁷ K. Łybacka w „Gazecie Wyborczej” z 8 marca 2002, s. 2.

oprócz pożądanego przygotowywania się do konsumpcji i akumulacji należy praktykować także gotowość do (pewnego) samoograniczania się i wyrzeczenia. Gdy są epoki, w których ludzie określa głównie status ich dóbr i poziom (u)życia, podstawowe poczucie solidarności winno pouczać nas, że nie wolno zapominać, iż po pierwsze, w ogromnej części świata tak nie jest i długo nie będzie, a po drugie, i nam przydarzyć się może ześlizgnięcie w stronę względnego i czasowego ubóstwa. **Niech zatem uniwersytet służy konstruowaniu się etyki wyrzeczenia i ograniczania jako podbudowy i zaplecza estetyki (u)życia, która może się okazać krucha i krótkotrwała.**

* * *

Uniwersytet jest mostem między generacjami. Zawsze było jego chlubą to, że starzy uczyli młodych i z radością dawali się przez nich zastępować. Po czym koło zaczynało powtarzać swój bieg. Dlatego każde utrudnienie, każda drobna zawiść są niezgodne z duchem *universitas*. Dzień, w którym „uczeń przerasta mistrza”, wyzwala się spod jego wpływu, przejmując jego rolę i znaczenie, winien być wielkim świętem uniwersytetu, jego ponownymi narodzinami. Tymczasem ileż było tych rozmów, w których profesor mówił o awansie swojego ucznia: „zbyt młody, może poczekać”; ile katedr, w których profesor nie zadbał o swojego następcę lub wręcz zadbał o to, aby go nie było. Niechć albo wręcz odmowa zgłoszenia wniosku o tytuł profesorski lub uzwyczajnienie profesury. Ile zakładów i instytutów, w których dyrekturuje się wiekucie, jakby szukając sobie nieśmiertelności za życia. Taka imperializacja uniwersytetu jest niebezpieczna dlatego, że zagradza następcom drogę kariery, wywołuje zgorzknienie i resentymenty, uzmysławiając gotowym, dojrzałym, ukształtowanym, utytułowanym adeptom miażdżącą siłę feudalizmu życia uniwersyteckiego.

Ale w grę wchodzi jeszcze inny czynnik: wolność badań, nauczania, komunikowania prawdy jest solą uniwersytetu. Zabierzmy mu ją, wytrąćmy z jego składu, a uniwersytet zmieni się w jeszcze jedną instytucję, która będzie bezlitośnie strzegła swoich dogmatycznych reguł, oddalających nas od prawdy, żelazną kurtyną przymusu i nakazu. Wolność ta oznacza także i potwierdza prawo jednostki do osobistej wolności; uniwersytet szczyci się tym, że jest w nim miejsce dla każde-

go, kto swą odmienność ogranicza jedynie w ten sposób, że wystrzega się świadomego szkodenia innym. Uniwersytet (i chwała mu za to) zawsze chronił ekscentryków, jakby chcąc zdystansować się nieco od chłodnej, obiektywnej i pozbawionej wątków osobistych narracji naukowych książek. Tymczasem jakaż to wolność, skoro tak mocno jestem przywiązany do swojej funkcji, iż nie wyobrażam sobie działania w uniwersytecie, nie będąc „dyrektorem” zakładu, instytutu, „dziekaniem”, „rektorem” itd. Wolność, o której mówimy, nie jest anarchiczną możliwością czynienia w ramach uniwersytetu wszystkiego, co odpowiada mojej ambicji i miłości własnej; **wolność, o którą nam chodzi, jest wolnością dla uniwersytetu, a dopiero wtórnie dla mnie.** Jeśli nie uświadomię sobie tej różnicy, grozi mi, że przestanę być tym, który myśli na rzecz uniwersytetu i jego ludzi, stwarzając im wciąż nowe obszary wolności, i nieopatrnie przeobrażę się w zimnego ideologa własnej próżności poddającego innych w niewolę swoich „dyrektorskich” ambicji.

W swej książce na temat wolności Zygmunt Bauman dylemat współczesnych czasów konsumenckiego społeczeństwa zamyka w formie serii pytań o relacje między wspólnotą a wolnością indywidualną. „W którą stronę wychyla się wahadło w społeczeństwie takim jak nasze? Czy brakuje nam wolności, czy poczucia wspólnoty? Czy nasze społeczeństwo z jego swobodą bogacenia się i pościgu za statusem społecznym, z nieskrępowanym współzawodnictwem i stale rosnącymi możliwościami konsumenckiego wyboru, gwarantuje całkowitą wolność, jaką można sobie wyobrazić? Czy zaspokojenie drugiej z potrzeb, owej potrzeby społecznego oparcia, nie pozostaje wciąż na końcu listy pilnych zadań społecznych?”⁸

Na pytania postawione przez Baumana trzeba odpowiedzieć, że wolność nie dorasta do skali wyobraźni, ograniczona jest bowiem tym, co rozciąga jej granice — dostępnością dóbr. Najnowsze losy uniwersytetu wskazują natomiast, że wspólnotowość jest doświadczeniem zagrożonym z jednej strony zachłannym współzawodnictwem, z drugiej — zauważalną tendencją do tego, aby spośród wielu konkurujących z sobą jednostek coraz mniejsza ich liczba miała zasadniczy wpływ na bieg wydarzeń, rozdzielając między siebie funkcje i stanowiska. **Wyzna-**

⁸ Z. Bauman: *Wolność*. Przeł. J. Tokarska-Bakir. Kraków: Zak, 1995, s. 67.

czenie właściwej proporcji między jednostkowością, poczuciem i koniecznością indywidualnego przywództwa a kolegialnością, wciąganiem innych w proces kształtowania się decyzji i branie za nie odpowiedzialności jest jednym z najtrudniejszych zadań stojących przed władzami uczelni.

* * *

To, co dotknęło studentów, nie ominęło również profesorów i wykładowców. Nie wchodząc w szczegóły, powiedzmy, iż obserwujemy głęboki **kryzys lojalności uczonych wobec uniwersytetu**. Przejawy owego kryzysu nie mogą być do końca wyjaśnione względami finansowymi, choć w niskich wynagrodzeniach tkwi istotna część problemu. Równie ważne są jednak inne powody, które można by określić jako **załamanie się etosu dyspozycyjności nauczyciela wobec ucznia**. Posługując się tym terminem, odnoszę się do znaczenia „dyspozycyjności” pojawiającego się w pismach Gabriela Marcela, w których bycie człowiekiem dyspozycyjnym oznacza gotowość do służenia Drugiemu, do odpowiadania na jego potrzeby. W zatłoczonych salach milknie głos Mistrza, ustępując pola głosowi instruktora. Pracujący na kilku, a może nawet kilkunastu etatach profesor (jak poinformowano oficjalnie, krajowy „rekordzista” miał ich siedemnaście) nie uczy już niczego poza wąsko rozumianym zestawem profesjonalnych zaleceń i faktów; **gdy profesor zawsze uczy czegoś „obok” i „wyżej” kanonów swojej dyscypliny i dzięki temu staje się Mistrzem, instruktor ogranicza się do tego, co niezbędne i określone ścisłym wymogiem programu, nie „uczy”, lecz właśnie „instruuje”**. Nie *education*, lecz *training* staje się coraz większą pokusą dla uniwersytetu, a ceną za ulegnięcie tej pokusie jest status pojęcia służby społecznej: całkowite zorientowanie uniwersytetu na kształcenie umiejętności zawodowych oznacza utratę niezależności uczelni na rzecz korporacyjnych struktur kształtujących rynek oraz pozbawienie społeczeństwa siły krytycznej refleksji przyszłych obywateli. Nie da się bowiem służyć wyłącznie sprawie *training*, nie tracąc przy tym (choćby ze względów wszechobecných na uczelniach rygorów ekonomicznych przejawiających się presją terminowości kończenia i efektywności studiów, ograniczania przedmiotów towarzyszących itp.) nawyków pobudzających krytyczne myśle-

nie, które nie daje się wpisać w karny porządek „potrzeb rynku pracy”. Oznacza to, jak słusznie zauważa Roger Simon, iż „tradycyjne dyscypliny humanistyczne najmniej przydatne do generowania wartości dodatkowej płynącej z wytwarzania i sprzedawania informacji i umiejętności należących do ich domeny (a zatem mniej zdolne do przyciągania darowizn i kontraktów z sektora prywatnych korporacji) stają się coraz mniej istotne dla uniwersytetu [...]. Dokonuje się więc proces erozji mandatu, który uniwersytet posiadał na »kształcenie« (*education*), a nie tylko na »instruowanie« (*training*) obywatela, zanika również przywilej ustanawiania tematyki badań naukowych wedle zasad nieskrępowanego poszukiwania prawdy”⁹.

Spoglądając z innego punktu widzenia, zastanawiamy się, do jakiego stopnia globalizacja rysująca się w sposób tak wyraźny jako kulturowa i ekonomiczna przyszłość świata może przestać być uznawana za zagrożenie wtedy, gdy będzie ona nie ujednoliceniem celów w pogoni za efektywniejszym korzystaniem z logiki rynku, ale odśrodkowym modyfikowaniem tych reguł przez etykę solidarności i wspólnoty ludzkiego losu opartą na szanujących odrębności i różnice prawach przyjaźni i gościnności. Edukacja wyższa jest potrzebna po to, aby nie zagubić tych praw i kształtować przyszłych uczestników społeczeństwa obywatelskiego w duchu nie jedynie egoistycznego wykorzystywania okoliczności dla własnego zysku, ale dynamicznego tychże okoliczności formowania, tak aby były one okolicznościami sprzyjającymi dla jak najszerzej grupy ludzi. Takie zadanie i taka wizja społeczeństwa są niemożliwe bez uniwersytetu, jak bowiem dobitnie pisze Partap Srivastava, „cokolwiek dzieje się w uniwersytetach dzisiaj, jutro znajdzie swoje odbicie w społeczeństwie i w świecie”¹⁰.

* * *

Owo „instruowanie” — czy „przyuczanie”, *training* — oznacza w istocie, że odcinamy się od prawdziwych potrzeb studentów, zastępując je

⁹ R. Simon: *The University: A Place to Think*. In: *Beyond the Corporate University. Culture and Pedagogy in the New Millenium*. Eds. H. A. Giroux, K. Myrssiades. New York, Oxford: Rowman & Littlefield, 2001, s. 47.

¹⁰ P. Srivastava: *Diversity and Independence*. In: *Abiding Issues, Changing Perspectives. Visions of the University across a Half-Century*. Ed. G. Neave. Paris: International Association of Universities, 2000, s. 204.

tym, co mamy do dyspozycji, czyli naszymi dobrze ugruntowanymi praktykami dydaktycznymi. Oczywiście, w takiej działalności „instruowanie” osadzone w tym, co dobrze znamy i uprawiamy od lat, musi być obudowane także całym rytuałem sprawdzania wiedzy i wyraźnie określonych w teatrze Akademii ról społecznych. Profesor jest tutaj jedynym dysponentem wiedzy i najczęściej dobitnie to manifestuje. Znamy nam wszystkim są przykłady profesorów egzaminujących wielokrotnie studenta w istocie po to, aby udowodnić wyraziście, kto jest panem sytuacji. Tak więc rzeczywistość uniwersytetu nachylająca się niebezpiecznie w stronę „instruktażu” skłania nas do przychylenia się do tez Bourdieu czy Guillory’ego głoszących, iż zasadniczym celem aparatu edukacyjnego jest reprodukcja *status quo*, a inicjatywy środowisk akademickich często posługują się retoryką odpowiadania na potrzeby zmieniającego się otoczenia po to, aby — o paradoksie — zamaskować mechanizm powielania dotychczasowej struktury rzeczywistości¹¹. Gdy mówi się — czasami pompatycznie — o zadaniach uniwersytetu w nowym tysiącleciu, problem zniewolenia uczelni własną formą i własnymi przyzwyczajeniami uparcie powraca także w wymiarze pedagogicznym. James Duderstadt upatruje słabości uniwersytetu właśnie w tym, iż przygotowując absolwentów, ignoruje ich coraz szersze potrzeby oraz pomija milczeniem fakt, że repertuar ról społecznych odgrywanych przez absolwentów uniwersytetu jest znacznie obszerniejszy i mniej przewidywalny, niż było to dotąd. Dlatego „Możliwości, jakie 21. wiek otwiera przed edukacją, będą radykalnie odmienne od tych, do których przygotowywali się nauczyciele akademicy w trakcie swoich studiów. Nowe stulecie będzie wymagało znacznie szerszej wiedzy, głębszego zaangażowania w sprawy dydaktyki i pomocy studentom i znacznie większej elastyczności”¹².

Problem ten można również ująć następująco: proces kształcenia coraz bardziej akcentuje uczenie się, a coraz mniej nauczanie. Student jest coraz częściej pozostawiany samemu sobie, co nie ma nic wspólnego z samodzielnością refleksji czy możliwością wytyczania własnej ścieżki studiowania. Konstruując swój program, już to według wzorów ECTS,

¹¹ Patrz P. Bourdieu i J. C. Passeron: *Reproduction in Education, Society, and Culture*. London: Sage Publications, 1990; J. Guillory: *Cultural Capital: The Problem of Literary Canon Formation*. Chicago and London: University of Chicago Press, 1993.

¹² J. Duderstadt: *A University for the 21st Century*. Ann Arbor: University of Michigan Press, 2000, s. 99.

już to na indywidualnych, międzywydziałowych studiach, adept powinien mieć poczucie pracy pod kierunkiem „swojego” opiekuna, pracy, która podkreśla przede wszystkim walor krytycznego myślenia (także wobec propozycji opiekuna/tutora), przewartościowywania kanonów, ale również własnych poglądów i — być może — uprzedzeń. Tymczasem obawiam się, że student często doświadcza czegoś przeciwnego: uczący wymaga nie tyle krytycznej refleksji wobec materiału stanowiącego przedmiot uwagi, ile dokładnego przedstawienia kanonicznych poglądów prezentowanych na wykładzie, jako ostatecznego sprawdzenia faktu, czy adept „nauczył się” tego, czego od niego oczekiwano.

Nie chodzi, rzecz jasna, o to, aby nie wymagać tzw. podstaw wiedzy, lecz o to, że te „podstawy” są, po pierwsze, traktowane jako ostateczna formuła prawdy, i po drugie, że hamują one w istocie niezależność myślenia studenta, skoro to, co zostało przedstawione na wykładzie, jest „zamkniętą” postacią prawdy, nie należy nawet starać się próbować wykonać kroku poza jej magiczny okrąg. „Nauczanie” jest praktyką charakteryzującą się prezentowaniem podstaw wiedzy w danej dyscyplinie, a następnie ukazywaniem w tejże wiedzy miejsc „trudnych”, „wątpliwych”, „aporetycznych” i — w konsekwencji — uczeniem krytycznego, swobodnego myślenia stanowiącego w istocie postawę wobec świata i innych. Jeżeli „nauczanie” w ostatecznym rozrachunku jest budowaniem piętra refleksji znajdującego się „ponad” lub „obok” wydzielonego skrawka danej dziedziny wiedzy (owo „ponad” jest często tym, co czyni nasze zajęcia atrakcyjne, choć być może nie do końca „poprawne”, a nawet „brudne”, tak jak podśpiewywanie Glenna Goulda w *Wariacjach Goldbergo* przenosi jego wykonanie Bacha w niezwykle rejony), to obawiam się, że wielu studentów dzisiejszych szkół wyższych jest skazanych głównie na „uczenie się”, czyli reprodukowanie podstaw wiedzy przedstawionych przez nauczyciela (praktyka zwana dawniej „zakuwaniem” lub zasadą trzech „Z” — „zakuć, zdać, zapomnieć”). A wtedy grozi nam to, że system edukacji sam odda się z małymi wyjątkami rutynie i będzie wprowadzeniem do życia zawodowego polegającego na podobnym zrutyinizowaniu. Stanley Aronowitz w swej głośnej książce *The Knowledge Factory* kreśli bezlitosny wizerunek sporej liczby pracodawców wręcz niezainteresowanych kreatywnym kandydatem do pracy; takie nastawienie rynku pracy wywołuje z kolei reakcję instytucji edukacyjnych, które chcąc dopasować się do potrzeb przyszłych chlebodawców, pre-

miują równie nietwórcze postawy swoich uczestników i adeptów. „Większość pracodawców twierdzi, iż potrzebni im są kandydaci z wyższym wykształceniem, umiejący czytać i pisać, dostosowywać się do ustnych i pisemnych poleceń oraz w miarę poprawnie się wyrażać. Z perspektywy zatrudniającego, dyplom licencjata oznacza, iż kandydat do pracy opanował najistotniejszą lekcję wyższej uczelni: potrafi znosić nudę i nie kwestionować przyjętych zasad postępowania”¹³.

Niebezpieczeństwo, o którym pisze Aronowitz, polega na tym, iż w ten sposób edukacja (każda, lecz uniwersytecka w szczególności), która winna być konstruowaniem wysokiego domu, skąd rozciągałby się rozległy widok na odległe dzielnice, a może nawet krainy, staje się kleceniem jednopiętrowego domu wciśniętego między dziesiątki podobnych budowli, z których widok obejmuje w najlepszym razie jedynie płachetek przydomowego ogródka¹⁴. Czytelnik Harry’ego Pottera powiedziałby: oto jak rodzą się kolejne pokolenia Mugoli, czerpiące niezdolne zadowolenie ze swych domków i ogródków, lecz pozbawione „czarnoksięskiego” zmysłu dalekiej perspektywy.

Federico Mayor nazwał uniwersytety „wieżą strażniczą”¹⁵ (*watchtower*), z której obserwuje się okolicę nie tylko po to, aby przeciwdziałać niepożądanym wydarzeniom, ale po to, aby pomagać w konstruowaniu świata, w którym mniej byłoby wykluczonych, odrzuconych, tych, których racji nikt nie słucha. **Uniwersytet musi zatem respektować prawa rynkowej ekonomii, lecz nie wolno mu przystać na to, aby ekonomia stała się jedynym regulatorem życia uniwersyteckiego i społecznego.**

* * *

Student pozostawiony samemu sobie jest więc studentem „bez widoków”. Nie „widzi” swojego nauczyciela ukrytego za kanonicznym materiałem i nieukazującego własnego oblicza (czasami „nie widzi” go niemal dosłownie, ponieważ w tłumie wypełniającym szczelnie sale

¹³ S. Aronowitz: *The Knowledge Factory. Dismantling the Corporate University and Creating True Higher Learning*. Boston: Beacon Press, 2000, s. 10.

¹⁴ Porównanie to zawdzięczaam artykułowi Jerome’a McGanna *Who’s Carving up the Nineteenth Century?* „Modern Language Association”, October 2001, s. 1415—1421.

¹⁵ F. Mayor: *The Universal University: the University — the Crucible of Europe*. In: *Changer l’enseignement supérieur en Europe, un programme pour le XXIe siècle*. Unesco 1997, s. 143—150.

i korytarze profesor niknie, jakby stapiając się z otoczeniem), nie „widzi” nic, poza „widokiem” kolejnego egzaminu lub zaliczenia. Można zatem zapytać, do jakiego stopnia bez wątpienia konieczne doradztwo zawodowe pojawiające się w uniwersytetach pod postacią biur karier, usiłujących pomóc studentowi w nieodległym już rozpoczęciu poszukiwania zatrudnienia, choć — powtórzmy — niezbędne i potrzebne, jest także wypełnieniem luki powstałej w procesie wypierania „nauczania” przez „uczenie się”. „Nauczanie” ma jakby „naturalnie” otworzyć studentowi „widok” na to, co wartościowe i co mogłoby stać się biegunem orientującym go (trwale i w dalekiej perspektywie raczej niż doraźnie) w życiu. „Uczenie się” ma bardzo ograniczone możliwości w tym zakresie, nachylone jest bowiem właśnie ku doraźności (wspomniana przed chwilą zasada trzech „z”) po to, aby w pamięci zwalniały się miejsca na kolejne doraźne interwencje. Gdy mało kto wie, o co mu na prawdę chodzi w życiu (a w tym pomocne winno być „nauczanie”), gdy mało kto uświadamia nam, iż tajemnica naszej życiowej rzetelności polega na odnawiającej się wciąż odległości między mną a moimi planami, do których nie wolno dążyć mi „po trupach”, na odnawiających się wątpliwościach, cierpieniu niepewności i cierpliwym, niepośpieszającym oczekiwaniu (a taka również jest lekcja „nauczania”), wszystko zaczyna sprowadzać się do kilku tricków, sposobów, dzięki którym możemy osiąść „sekrety” otwierający drogę do spełnienia wszelkich marzeń. „Nauczanie” otwiera nas na tajemnicę (której nie można nauczyć, którą nie można zawładnąć, ale na którą trzeba być wrażliwym); „uczenie się” jest domeną „sekrety”, który — jak dowodził Gabriel Marcel — tylko czeka, aby go osiąść. Miłośnik malarstwa powiedziałby, iż dobra dydaktyka osiąga ten sam skutek, który wedle Malraux osiąga prawdziwe malarstwo: „Malarstwo dobywa z głębin Nieznanego to, co jest dostatecznie obce człowiekowi, aby nic o nim nie wiedział, dostatecznie bliskie, aby je rozpoznał”¹⁶. **Określenie swojej postawy wobec świata jako brak wiedzy nie będący wszakże czystą, hardą i zadowoloną z siebie ignorancją, lecz oczyszczeniem przestrzeni, w której pojawi się to, co da się nam rozpoznać, może być definicją postawy uniwersyteckiej.** Adept uniwersytetu,

¹⁶ A. Malraux: *Głowa z obsydianu*. Przekł. A. Tatarkiewicz. Warszawa: PIW, 1978, s. 55.

jak filozof Pierre'a Hadota, „żyje w stanie pośrednim: nie jest mądry, lecz jest nie-mądry”¹⁷.

Sukces giełd egzaminacyjnych (gdy się dowiem, „z czego dzisiaj pyta”, otworzy mi to wrota do upragnionego wpisu w indeksie) i podręczników typu „jak zarobić pierwszy milion” (gdy będę wiedział, wszystko jest proste, wystarczy wykonywać kolejne etapy procedury) stanowi przykład nie tylko pewnego studenckiego obyczaju, ale także wiary w to, że wiedza sprowadza się do kilku odpowiedzi na zadane pytanie. Jest ważne, abyśmy pamiętali, że chociaż wszelkiego rodzaju instruktaże pouczające, jak zachować się w trakcie rozmowy z ewentualnym pracodawcą, są wielce przydatne, okazują się jednak tylko narzędziem, ponieważ prawdziwie istotną kwestią jest to, czy praca, o którą zabiegam, jest tą, którą chciałbym wykonywać nie tylko dlatego, że taka jest moda, lub dlatego, że należy ona do dobrze płatnych zajęć, lecz przede wszystkim dlatego, że tam właśnie prowadzą mnie nabyte umiejętności i wyznawane wartości, którymi chciałbym się w życiu kierować. Oto „pejzaż”, który powinien rozpościerać się przed absolwentem opuszczającym mury uczelni; gdy nie będzie owej perspektywy, obawiam się, że „widok” roztaczający się z biur karier (których działalność bardzo cenię i szanuję) może być jedynie „widokiem zastępczym”. Jerome McGann pisze o tym w bardzo ostrej formie: „Przygotowywanie kończących studia do rozmów z pracodawcą i profesjonalnej prezencji; konstruowanie swojego *dossier* w rozmaitych formach retorycznych po to, aby dostać się do odpowiedniej niszy na rynku pracy; studiowanie i (w przypadku doktorantów) pisanie pracy końcowej z myślą o rynku akademickim — wszystko to dzisiaj codzienne zjawiska w świecie uniwersytetów. Za nami pozostała już epoka studiowania rozmaitych szkół krytycznych i teorii. Teraz myślimy poważnie o sprawie (*Now we get down to business*)”¹⁸.

Owo *Now we get down to business*, zapewne potrzebne we współczesnym świecie trudnej ekonomii, nie powinno stać się bojowym okrzykiem uniwersytetu. Gdyby zdominowało jego działanie, uniwersytet stałby się

¹⁷ P. Hadot: *Filozofia jako ćwiczenie duchowe*. Przeł. P. Domański. Warszawa: PAN, 1992, s. 47.

¹⁸ J. McGann: *Who's Carving up the Nineteenth Century?*..., s. 1420.

czymś w rodzaju biura notarialnego, w którym adept za odpowiednią opłatą uzyskuje gwarancje spełnienia swoich ambicji. Jeżeli już chcemy posłużyć się słowem *business*, pamiętajmy i akcentujmy obecny w nim zawsze element ryzyka i niepewności. Gdy mówić o biznesie uniwersyteckim, to nie w znaczeniu gwarancji powodzenia wynikających z poddania rzeczywistości presji ambicji jednostek, lecz gotowości do podjęcia przez nie odpowiedzialności za to, co przygodne i ryzykowne. Uniwersytet bowiem naucza między innymi tego, że światem nie mogą rozporządzać wedle swojej woli i ambicji. „Tajemnica”, a nie „sekrety” jest żywiołem edukacji sprzyjającej przyszłości człowieka. Nie to, co mam i wiem, nie to, co planuję i do czego dążę (choćby sprawy to ważne), lecz to, czego nie mam i nie wiem, co poza ścisłymi planami moich ambicji w znacznej mierze ukształtuje moją przyszłość, która sama należy już do dziedziny „tajemnicy”, a nie „sekrety”. Przypomnijmy Gabriela Marcela: „Całkowite przeciwstawienie pomiędzy sekretem a tajemnicą, która z istoty jest czymś, czego nie przechowuję, czym nie rozporządzam”¹⁹.

Get down to business nie powinno stać się zasadą uniwersytetu także dlatego, że aby się odnaleźć w świecie interesów, trzeba wykazać się wielką elastycznością i zdolnością do funkcjonowania w radykalnie odmiennych środowiskach. Skoro taka jest praktyczna lekcja rzeczywistości, przeto nazbyt rygorystyczne zawężanie wiedzy studenta do sfery wymagań danej dyscypliny może się okazać zbyt skromnym wianem na przyszłość, jakim obdarzy go uniwersytet. Aby wykazać się dyspozycją do funkcjonowania w świecie opatrzonym nalepką *business*, trzeba poszerzyć swoje możliwości, odchodząc od kategorycznego przywiązania do kanonów jednej tylko dyscypliny. Te muszą być uzupełnione tym, co możemy przekazać studentowi jako wyposażenie dodatkowe, pozadyscyplinarne, a więc nienależące ściśle do sfery *business* — zajęcia orientujące go w sztuce zakładania własnej firmy, prowadzenia negocjacji, zawierania umów itp. Ale przede wszystkim bezcennym wyposażeniem na przyszłość, prawdziwym klejnotem skrzyni posagowej studenta odprawianego z uniwersytetu w świat jest **dar otwartej, konstruktywnej postawy wobec innych, dar zdejmujący z niego ciężar konieczności zabiegania o sukces i zwycięstwo w każdej sytuacji, dzięki bowiem temu właśnie darowi przymus własnej racji i triumfu zostaje zastą-**

¹⁹ G. Marcel: *Być i mieć*. Przeł. D. E. Ska. Warszawa: PAX, 1998, s. 212.

piony potrzebą pogodzenia zabiegów o własne dobro z wysiłkami innych, którzy dążą do innych celów. To wyposażenie zaś student może otrzymać jedynie od Mistrza, który ucząc „swojego” przedmiotu, jednocześnie przekonuje do tego, że w grze społecznych ambicji wiedzy winna towarzyszyć mądrość przekonania, że nie wolno być zachowawczym, że największym niebezpieczeństwem dla biznesu jest właśnie przeświadczenie, że wszystko sprowadza się do jego tylko reguł.

Czytamy o tym w suchym języku deklaracji programowych instytucji monitorujących stan i rozwój edukacji wyższej. „Uniwersytety działające dzisiaj w otoczeniu dynamicznego i różnorodnego rynku pracy nie powinny opierać swej strategii na badaniach rynku pracy i siły roboczej, lecz na wyczuciu społecznej potrzeby. Muszą zatem przygotowywać studentów na podjęcie wyzwań niepewnego i nieprzewidywalnego rynku pracy. Poza kwalifikacjami zawodowymi zatem absolwenci winni dysponować szeroką gamą atrybutów w zakresie umiejętności, zdolności interpersonalnych i kompetencji, tak aby zwiększyć swoje szanse w społeczeństwie opartym na wiedzy”²⁰.

W znacznie wyrazistszym języku filozofa stanie się to krytyką apologii stanu zastanego, obrony *status quo* stanowiącego fundament naszego codziennego bytowania, a której to tendencji sprzyja, niestety, doprowadzenie wykształcenia uniwersyteckiego do profesjonalnego wykształcenia potwierdzonego dyplomem. Dyplom jest tu synonimem zakończenia, zamkniętego procesu, którego następstwem jest sukces w wybranej dziedzinie biznesu. Tymczasem to, co najistotniejsze, wymyka się z takiego obrazu: to nie stabilność, lecz ruchliwość, nie przyzwyczajenie, lecz gotowość do zaakceptowania tego, co nowe, nie dyplom, lecz uczenie się jako proces stanowią o naszej wartości w życiu. Ralph Waldo Emerson pisał, że „oko intelektu, jak niebiosy, stale wędruje i nie zna spoczynku”²¹. U współczesnego filozofa czytamy: „W życiu mentalnym i uczuciowym czasem jesteś skłonni za cenę bolesnego, krwawego wysiłku dokonać odnawiających zmian. Ale czynimy to niechętnie, bo łatwo przyzwyczajamy się do wyuczonych sposobów reagowania i myślenia. Wypracowany

²⁰ CRE/CEPES Forum Régional Européen, Palerme, le 27 Septembre 1997. In: *Changer l'enseignement supérieur en Europe...*, s. 17—24.

²¹ R. W. Emerson: *The Topical Notebooks*. Ed. R. Orth. Vol. 1. Columbia and London: University of Missouri Press, 1990, s. 165.

kokon bierzemy za mądrość wyniesioną z doświadczeń. Naruszenie związków uczuciowych odbieramy zwykle jak katastrofę. Czujemy się bezpiecznie pośród powtórzeń i nawyków. Jesteśmy zachowawczy”²². **Uniwersytet powinien więc uczyć tego, jak nie być zachowawczym.** To zaś oznacza praktycznie, iż chcąc być dobrym w swojej dziedzinie, trzeba umieć wyrwać się spod dyktatu jej zasad. Tej mądrości można się nauczyć najlepiej od Mistrza i dlatego jego zanik jest dla świata uniwersytetu śmiertelnym niebezpieczeństwem.

* * *

Jak powiedzieliśmy, powoli staliśmy się instytucją instruktorów, a profesorowie zamilkli nie tylko wobec studentów, lecz także wobec siebie samych i wobec uniwersytetu. Trudno byłoby znaleźć wypowiedzi tych, których poruszają tak istotne problemy uniwersytetu, jak dylematy związane z etyką zawodu czy żmudne i długotrwałe zaznajamianie się z problematyką zarządzania uczelnią. Z rzadka jedynie czytamy kogoś z nas wypowiadającego się publicznie w ważkiej kwestii, absorbującej społeczną uwagę. Publiczne dysputy intelektualne wygasły. Najkrócej mówiąc, to, co nazwałem wyżej kryzysem lojalności uczonych wobec uniwersytetu, przejawia się dotkliwie w milczeniu profesorów na tematy, które winny stanowić główną materię ich zainteresowania. **Uniwersytet stał się instytucją milczących profesorów,** których głos — jeżeli w ogóle się rozlega — dotyczy nie spraw dla uniwersytetu ważkich, lecz nagłaśnia partykularny, osobisty, lub najwyżej wydziałowy interes.

Próżne są utrzymywane przez niektórych kolegów nadzieje, że sytuacja zmieniałaby się radykalnie, gdyby uczeni posiadali swoje kluby służące spotkaniom, mającym ożywić niezależność uniwersyteckiej myśli. Obawiam się, iż w klubach tych odczuwalibyśmy jedynie szczególne nasycenie owego milczenia. Swoista „nieobecność (w sensie braku silnego oddziaływania prac i osobowości) profesora” jest tym, co stanowi rzeczywistość uniwersytetu. **Milczenie uczonych — przerywane jedynie sporami o pieniądze i pewne osobiste wpływy — zagraża uniwersytetowi może bardziej niż szczupłość budżetowych dotacji.**

²² Jolanta, córka Ireny: *Miesiączkowanie*. „Nowa Res Publica”, luty 2002, s. 53.

O ile ekonomiczny wymiar kryzysu da się ogarnąć liczbowo, zneutralizować planowaniem, złagodzić stosownymi oszczędnościami, o tyle milczenie uczonych ma charakter kryzysu etycznego, a ten nie poddaje się takim zabiegom. Polega on na tym, że Akademia nie rozpoznaje już (lub rozpoznaje w znacznie słabszym stopniu) tego, co stanowi jedno z jej głównych zadań: jasnego uświadomienia sobie i adeptom, że umiejętności i wiedza fachowa wymagają gleby szerszej refleksji, która warunkuje ich rozwój. Jest nią krytyczne myślenie o kierunkach i sposobach kształtowania się społeczeństwa, o relacjach między tym, co lokalne, a tym, co globalne, o smutku, znużeniu i przygnębieniu, swoistej „ciężkości” myśli, właściwej naszemu życiu. Refleksja ta jest myśleniem etycznym i to ona sprawia, że głos uniwersytetu może być słyszalny.

Świat trzeba nie tylko „rozpoznać”, ale trzeba go również „widzieć”, a tego trudno dokonać bez analizy etycznych powinności. To one bowiem mogą powstrzymać znużenie wywołane zabieganiem, ponieważ dzięki nim człowiek najpierw „służy”, a dopiero potem sięga po korzyści. Leonardo da Vinci, zadawszy sobie słynne pytanie: „czemu tak się trudzisz?” (nie wiem, czy ludzie uniwersytetu w ogóle doceniają dzisiaj znaczenie tej dramatycznej interogacji), odpowiadał: „Raczej śmierć niż znużenie. Nie jestem syt służenia. Nie znużę się pomaganiem”²³. Dzisiejsi profesorowie i adiunkci, asystenci i wykładowcy robią wrażenie, jakby „pomaganiem” byli śmiertelnie „znużeni”. Milczą.

* * *

Dzisiaj, gdy pada pytanie o to, jak można bronić godności uniwersytetu w świecie, w którym edukacja stała się jednym z obszarów biznesu, nie możemy zgodzić się z tym, że sekret owej godności polega na podwyższonym wynagrodzeniu. A taka jest przecież logika sporej części głosów środowiska akademickiego — „gdybym zarobił dwa razy więcej na uczelni, nie dorabiałbym gdzie indziej”. Lista płac jest jednym z elementów statusu uniwersytetu. Powinna ona odzwierciedlać wybitne osiągnięcia badawcze i dydaktyczne uczonego, jego wkład w życie społeczności uniwersyteckiej i autorytet, jakim cieszy się w otoczeniu ze-

²³ L. da Vinci: *Pisma wybrane*. Przeł. L. Staff. Warszawa: Czytelnik, 1958, s. 30.

wnętrznym uczelni. Niestety, spora część Akademii żyje dzisiaj w przeświadczeniu, że status finansowy jest pierwotny wobec osiągnięć uczonego („jestem dobrym uczonym, bo dobrze zarabiam”), i tym samym podważa istotę godności uniwersytetu, która ustawia kwestię statusu ekonomicznego uczonego wtórnie wobec jego/jej dokonań i autorytetu („dobrze zarabiam, bo jestem dobrym uczonym”).

To, co nazwaliśmy przed chwilą kryzysem lojalności wobec uniwersytetu, niepokoi szczególnie dlatego, że obejmuje wszystkich znajdujących się — lub nawet mających się dopiero znaleźć — w jego murach. Kandydaci składają dokumentację w kilku szkołach wyższych, zdają tam egzaminy i w ten sposób jakby „rezerwują” sobie miejsce na uczelni. Nie ma w tym nic niezgodnego z obowiązującym prawem, a jednak nie można nie zauważyć kilku okoliczności, które kształtują oblicze polskiej wyższej edukacji. Po pierwsze — i to optymistyczniejsza lekcja problemu — świadczy to o swoistej presji społecznej nakazującej młodemu człowiekowi podjęcie studiów, nawet jeśli nie będą one odbywały się w jego wymarzonym miejscu. Po drugie — a lekcja to, powiedziałbym, realistyczna — maturzyści kierują się w swoich wyborach nie tyle wiedzą na temat uczelni, w których chcieliby studiować, ile już to specyficzną mitologią społeczno-topograficzną („Kraków to piękne miasto, z wielką ofertą życia kulturalnego”), już to panującą lokalnie modą („w mojej klasie większość kolegów złożyła papiery do Warszawy”). Po trzecie — i to jest lekcja wyraźnie pesymistyczna — młodzi ludzie nie czują ani potrzeby dowiadywania się czegoś na temat uczelni wyższej, nie pragną spotkania z Mistrzem, którego nazwisko znalazłoby z publikacji i wypowiedzi publicznych, ani — co gorsza — uniwersytet nie jest instytucją, w której pracują tego typu ludzie. Już przed wielu laty David Riesmann pisał o „przemysle akademickim w dobie studenckiego konsumeryzmu”²⁴.

Być może mamy więc do czynienia z powszechną i narastającą miałkością: z jednej strony jest miałkość profesorów zamkniętych w najlepszym razie w swoich hermetycznych publikacjach, a w najgorszym — odczytujących w kilku uczelniach te same stare wykłady; z drugiej

²⁴ J. Pelikan: *The Idea of the University. A Reexamination*. New Haven, London: Yale University Press, 1992, s. 156.

strony miałość studentów i kandydatów na studia, którzy nie pragną niczego innego, jak tylko biernego odsłuchania tychże starych wykładów, co ma stanowić niewygórowaną i w miarę nieuciążliwą cenę ich dyplomu. I jednym, i drugim sytuacja ta zdaje się odpowiadać. Pracownicy nie znajdują się pod presją pragnących się dowiedzieć czegoś nowego studentów, studenci nie są obarczani nadmiarem obowiązków. O wielu szkołach niepaństwowych mówi się wprost (lecz zapytajmy się samokrytycznie, czy nie odnosi się to również do naszych płatnych studiów), iż dyplom jest tam nie tyle wynikiem pracy adepta, ile konsekwencją ekonomicznej transakcji. Jaroslav Pelikan, jeden z bacznych obserwatorów dziejów uniwersytetu, zauważa, iż dramat szkoły wyższej polega na stopniowo pogłębiającym się kryzysie zaangażowania wszystkich stron uczestniczących w procesie kształcenia. Chłodni, pozbawieni zapału profesorowie uczą równie wyrachowanych i cynicznych studentów: „Oto ludzie, którzy trafili do tej sfery działania z poczucia fascynacji. Teraz odkryli, iż od owej fascynacji, która przywiodła ich kiedyś do Akademii, oddzieleni są jakimś murem, podobnie jak mur oddziela ich od studentów, od własnej duszy, od samych siebie. Poziom ich ból jest już tak intensywny, iż gotowi są dać posłuch czemuś innemu”²⁵.

U większości studentów dostrzegamy te same symptomy. Apatyczni, niezmuszani do decydowania o czymkolwiek uczniowie szkoły średniej, których pewne ożywienie spowodowane możliwościami wyboru, związanymi z nową maturą, zwarzyła pośpieszna decyzja MEN-u o odwołaniu przygotowań do tejże, pasywni studenci, niechętni do zadawania pytań i indagowania, przygotowujący się do odegrania roli pozbawionych cech indywidualnych „ludzi kariery”, którzy w istocie niechętnie zagłębiają się w prawdy o samych sobie. Bill Reading w swojej głośnej książce nazywa sposób funkcjonowania współczesnych studentów w uniwersytecie „parkowaniem” i paradoksalnie czyni z niego gorzki odpowiednik rewolty studenckiej 1968 roku. Zdaniem Readinga to, „co działo się w 1968 roku jako rewolucja, obecnie przybrało postać apatii studentów, apatii będącej niczym innym, jak swoistą nazwą konsumeryzmu: powszechnym rozczarowaniem instytucją i kontraktem regulującym relacje między państwem a uni-

²⁵ Ibidem, s. 18.

wersytetem. [...] Jest to ich reakcja na to, że nic w ich edukacji nie zachęca ich do tego, by myśleli o sobie jako o bohaterach procesu kształcenia wyruszających w długą podróż do samego siebie”²⁶. Dzisiejszy student nie wędruje do samego siebie, lecz od wczesnych lat przejęty jest do głębi zadaniem „urządzania się” w życiu.

* * *

Trzeba starannie zważać, aby nie pomieszać słusznej krytyki studenckiego konsumeryzmu z apologią częstej w środowiskach akademickich skłonności do kwietystycznego wycofania się w zacisze własnych notatek. Jedną jest kwestią wymierzenie ostrza krytycznej obserwacji w bierność adeptów i brak podstawowej wiedzy, jakiej spodziewalibyśmy się od studenta, całkowicie inną natomiast sprawą jest próba ignorowania przyczyn takiego stanu rzeczy i wypływających zeń wniosków. Możemy zatem krytycznie spytać sami siebie, jak dalece jesteśmy gotowi uznać to, że obecni studenci należą w niższym niż dawniej stopniu do „kultury druku”, z którą w naturalny sposób łączyła się umiejętność twórczego wysłuchiwanie wykładów polegająca na „montowaniu” notatek, zespajaniu ich w zwiazki i całości wymyślone przez słuchacza, a niekoniecznie przez wykładowcę. W ślad za tym pytaniem należy postawić następne: być może są zajęcia, seminaria, wykłady, na których powinniśmy wprowadzić elementy nowych technik elektronicznej wizualizacji materiału lub udostępniania naszych notatek służących za podstawę wykładu w Internecie czy choćby za pomocą poczty elektronicznej. W słynnej McLuhanowskiej tezie *the medium is the message* głoszącej tożsamość przekazu i środka przekazu kryje się cenna lekcja: sposób zorganizowania i wykonania wykładu sam w sobie jest już w stanie zakomunikować coś bardzo istotnego, co może zasadniczo wpłynąć na powodzenie serii zajęć — mianowicie naszą gotowość do nawiązania kontaktu z rozmówcą/słuchaczem. Za natrętnie powtarzaną dzisiaj zachętą, może wręcz koniecznością tworzenia ośrodków i systemów nauczania na odległość (*distance learning*) działa silna zachęta do tego, byśmy poznawali nawyki komunikacyjne studentów, te bowiem zmie-

²⁶ B. Reading: *The University in Ruins*. Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 1996, s. 137—138.

nią się i wątpię, by całą sprawę można było sprowadzić do — słusznego zresztą — ubolewania nad obniżającym się poziomem adeptów.

Spróbujmy więc wpłynąć na ów poziom, wprowadzając przynajmniej po części i tam, gdzie to możliwe, techniki bliskie codziennym zajęciom przyszłego studenta. W czasopiśmie zajmującym się zagadnieniami profesji akademickiej znajduję wyznanie w pierwszym czytaniu przygnębiające, jednak krytyczniejsza lektura pozwala odzyskać w nim ziarno nadziei. Uniwersytecki nauczyciel języka angielskiego w jednej z amerykańskiej uczelni, prezentując swój pomocniczy program zawierający materiały udostępniane w drodze elektronicznej, broni tej innowacji jako procedury pozwalającej przekazać więcej danych w ograniczonym czasie, lecz dodaje także: „Ponadto, studenckie style uczenia się zmieniły się, podobnie jak zmieniła się technika będąca siłą napędową społeczeństwa. Studenci, zwłaszcza ci, którzy stanowią w swych rodzinach pierwszą generację studiujących, nie posiadają przygotowania, pozwalającego im na rozumne wysłuchanie wykładu i wybranie z niego tego, co najistotniejsze”²⁷. Bez wątpienia, budzi przygnębienie zapewne słuszną obserwacja, iż wykład przestaje być formą przyswajalną dla studentów, nie są oni bowiem w stanie wyłowić tego, co stanowi jego zasadniczą treść. Ale w tekście kryje się założenie, że ten stan rzeczy nie zawsze i nie w odniesieniu do wszystkich jest wynikiem abnegacji, lecz w rozumieniu niektórych przynajmniej adeptów jest pewnym „stylem” uczenia się, a dla niektórych studentów pozbawionych domowego zaplecza intelektualnego może być nawet pierwszym stopniem prowadzącym do głębszego studiowania. **Staje więc przed uniwersyte-tem zadanie podwójne: musi on odróżnić abnegację i programowe mentalne prostactwo studenta od jego nieporadności, a także starać się zrozumieć odmiennosć postaw intelektualnych i komunikacyjnych, szybko ustanawiających potencjalne cezury między generacjami.** Jednocześnie ludzie uniwersytetu winni starać się o to, aby owe postawy komunikacyjne poznawać wraz z będącymi ich nośnikami środkami przekazu i nie odrzucać możliwości korzystania z tychże środków w swojej pracy. Michel de Certeau przestrzegał uni-

²⁷ P. Miller: *My Life as an Infomercial. On Tim, Teaching, and Technology*. „Modern Language Association” 2001, s. 138.

wersytet przed odmową podjęcia odpowiedzialnego dialogu z nowymi sposobami komunikacji społecznej, przed nadmiernie uproszczoną dychotomią wpisującą uniwersytet w świat „kultury”, z pogardliwą wyższością spoglądający na świat „rzeczywisty”. Z obawą i troską de Certeau otwiera przed nami niebezpieczną możliwość ześlizgnięcia się na pozycje, które nazywa „wojną okopową prowadzoną przez tradycyjny humanizm w stylu bitwy pod Verdun”²⁸.

Sami musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w naszych szkołach wyższych trwa system proliferacji miałości, który przecież dobrze służy także ograniczającemu się we wspieraniu nauki państwu. Ponieważ miałka nauka nie wymaga wielkich nakładów finansowych, doskonale zatem współgra z praktykowaną od kilku lat polityką wycofywania się państwa z ekonomicznych nakładów na rozwój nauki i szkolnictwa wyższego. Przypomnijmy powszechnie już znane i sprawdzone dane odnoszące się do roku 1999, które czerpię z informacji Głównego Urzędu Statystycznego: nakłady na działalność badawczo-rozwojową w Polsce wynosiły 0,75% PKB, gdy przeciętnie w krajach OECD 2,1%, a w Szwecji nawet 3,5%. Gdy pod koniec 2001 roku przystąpiono do cięć budżetowych, edukacja znów została mocno poturbowana, bo 2%—3% redukcja dotacji oznacza dla uniwersytetu poważny uszczerbek zagrażający na przykład inwestycjom. Jeżeli pamiętamy, że początek roku przyniósł ograniczenie zniżek kolejowych dla studentów, nietrudno zbudować sobie następujący obraz rzeczywistości: **uniwersytetowi przychodzi działać w otoczeniu administracji państwowej, która zdaje się nie dostrzegać wagi nauki, sztuki, edukacji, natomiast rzetelność i odpowiedzialność będące podstawą działania uniwersytetu zostają zakwestionowane przez sam fakt nierzetelności państwa** (tak bowiem należy ocenić niedotrzymanie oficjalnego przyrzeczenia — a takim jest ustawa budżetowa — złożonego uniwersytetowi przez państwo).

* * *

Kwestia słabnących relacji finansowych między państwem a uniwersytetem ma wymiar nie tylko ekonomiczny. Z jednej strony może to

²⁸ M. de Certeau: *Culture in the Plural*. Przekł. ang. T. Conley. Minneapolis: University of Minnesota Press, 1997, s. 60.

być wyraz ukrytej tendencji do prywatyzowania edukacji na poziomie wyższym; z drugiej wszelako strony możemy mieć do czynienia z dążeniem do przerywania tradycyjnego powiązania uniwersytetu i państwa, powiązania w imię i pod patronatem „interesu narodowego”. Z tego punktu widzenia państwu winno zależeć na wykształceniu nie tylko „obywateli”, lecz także „członków narodu” po to, aby temuż narodowi zapewnić pamięć historyczną (często, niestety, skoncentrowaną na własnych dokonaniach świadczących o doskonalszym charakterze „nas” nad „innymi”) i przyszłą pomyślność (równie często opartą na kontynuowaniu owego poczucia wyższości). Wycofywanie się państwa z ekonomicznych zobowiązań wobec szkół wyższych, ba, negowanie, że takowe zobowiązania istnieją, może więc być zagonem globalizacyjnych harcowników wskazujących nie bez racji, że w obecnym stanie rzeczy trudno już mówić o państwie narodowym, ponieważ splót więzów ekonomicznych, politycznych, militarnych jest tak gęsty, iż nie da się dzisiaj zatoczyć okręgu odgradzającego nas od tego, co nas zespala z innymi narodami.

Skomplikowany to temat, którego nie sposób tutaj podjąć, jednak niewątpliwie „ponadnarodowość” obok swoich niezaprzeczalnych plusów ma także minusy, z których największym jest standaryzacja potrzeb i środków ich zaspokojenia. Uniformizacja idzie czasami tak daleko, że to, co następowało pod hasłem pluralizacji i multinarodowej różnorodności, teraz powraca jako swoja karykatura: jako **jeden** — jak to określił Guy Neave — „naród konsumentów” (*the nation of consumer choice*).

Państwo, redukując swoje ekonomiczne zaangażowanie w uniwersytet, opowiadałoby się zatem za odejściem od modelu państwa narodowego, co w obecnej rzeczywistości należałoby przywitać co najmniej ze zrozumieniem, jeśli nie z ulgą. „Naród” i jego romantyczne uwikłania nie przyniosły Europie szczególnie wiele dobrego i nie tylko nie zapobiegły, lecz wręcz walnie przysłużyły się kilku tragicznym wydarzeniom, takim jak choćby obie wojny światowe, które spustoszyły Europę, tę samą Europę, którą uniwersytety pragnęły ocalić i hołubić. Uniwersytet, pamiętny także niechlubnych kart własnej tradycji (niesławna mowa rektorska Martina Heideggera) winien z wielką ostrożnością badać wszelkie konteksty, w jakich pada słowo „naród”, ponieważ uroda tego pojęcia jest niebezpieczna. Przestrzegał przed euforyczną jego akceptacją już w 1927 roku Julien Benda, dostrzegając

w upowszechnianiu się ideologii dumy narodowej zagrożenie roztropności, z jaką winny być organizowane losy społeczeństw. „Kiedy uczucia narodowe stają się popularne, przybierają głównie postać narodowej dumy, narodowej drażliwości” — pisze Benda, opatrując swoje spostrzeżenie wizją demonów już budzących się na horyzoncie Europy: „By zmierzyć, jak dalece stały się [uczucia narodowe] przez to bardziej namiętne, doskonale nieracjonalne, a więc i silniejsze, wystarczy przywołać przykład szowinizmu, formy patriotyzmu wynalezionej przez demokrację i dla niej charakterystycznej”²⁹. Uniwersytet znajduje się więc w sytuacji, w której sprzeciwiając się globalnemu przywództwu czy globalnej korporatyzacji, wspierałby ideę „globalnego obywatela”, o której pisze znamienity socjolog Ulrich Beck w swej koncepcji demokracji ponad państwem narodowym. Zgódźmy się z postulatem Becka, że inteligencja winna zmierzać do tego, aby odegrać rolę budowniczego mostów, to jest stworzyć tkankę społeczną przechowującą historię narodu, lecz wolną od narodowych uwikłań i „drażliwości”. Proces ten właściwie już się dokonał. Na pytanie, gdzie szukać takich ludzi, Beck odpowiada, iż w istocie stanowią oni główny żywioł dzisiejszego świata: „Żyją oni w metropoliach, globalnych miastach, gdzie ma szansę rozwinąć się postnarodowe rozumienie polityki, sztuki, nauki i debaty politycznej...”³⁰

Zakończmy jednak tę dygresję, ponieważ jestem przekonany, iż to nie wizja nowej polityki jest czynnikiem motywującym politykę budżetową państwa. Myślę, że chodzi tu mniej o przemyślenia nad kryzysem państwa narodowego, a bardziej o pewien model świadomości społecznej, dla której uniwersytet nie jest ani miejscem doskonalenia własnej osobowości, ani osiągnięcia określonych kwalifikacji, choć oczywiście obie te nici widoczne są wyraziście w materii uniwersyteckiej. Dodajmy, że coraz więcej badań naukowych wykonuje się także w ośrodkach nieuniwersyteckich. Zmienia się społeczna topografia uniwersytetu: nie jest on już teraz miejscem wyjątkowym, lecz jednym z wielu miejsc kształcenia. Nie chodzi już tylko o to, że istnieje cała gama szkół wyższych i rośnie liczba niepaństwowych instytucji edukacyj-

²⁹ J. Benda: *Zdrada klerków*. Przeł. A. Ostolski. „Krytyka Polityczna” 2002, nr 1, s. 42.

³⁰ U. Beck: *Manifest kosmopolityczny. Demokracja ponad państwem narodowym*. „Krytyka Polityczna” 2000, nr 1, s. 162.

nych, ale o fakt, że uniwersytet utracił, lub bardzo szybko traci, wyjątkowość polegającą na tym, że wchodząc w jego mury, adept musi już dysponować odpowiednią wiedzą, a po zakończeniu studiów będzie wyposażony w niewyczerpany w istocie kapitał wiedzy i umiejętności.

Obydwa te założenia są złudne. Jak już pisaliśmy, wszyscy znamy owo powtarzające się coraz intensywniej zaskoczenie wywołane tym, że prowadząc wykład, w coraz niższym stopniu możemy zakładać, że nasi słuchacze posiadają pewien — uznany za podstawowy — posąg wiadomości. Okazuje się coraz częściej, że szkoła nie wywianowała swoich dzieci i odniesienia wykładowcy zawisają w próżni. Od dawna utyskiwali na to matematycy i fizycy, lecz tłumaczyliśmy to zmniejszającą się liczbą godzin przedmiotów ścisłych w szkole; kiedy na larum zagrali humaniści, odniesienie bowiem do Szekspira czy Kafki natrafia na próżnię, w najlepszym wypadku powoli wypełniającą się mgiełką zakłopotania, dotarła do nas prawda o tym, że **uniwersytet nie jest miejscem „szczególnym”, lecz jedynie kolejnym, następnym ogniwem edukacji, które musi nie tyle posunąć naprzód wiedzę adepta, ile uzupełnić podstawowe w niej braki.**

Absolwent uniwersytetu chciałby widzieć się wyposażonym w umiejętności, które wystarczą do tego, by mógł prowadzić udane życie zawodowe, ale uniwersytet — jeżeli chce być uczciwy — sam musi powiedzieć swojemu studentowi, iż jest to mało prawdopodobne. Zarówno tempo przemian wiedzy, jak i ruchliwość oraz niepewność rynku pracy sprawiają, że absolwent uniwersytetu powróci nań za kilka lat lub uda się na inną uczelnię, aby swoje kwalifikacje uzupełnić lub całkowicie przebudować. Dyplom uniwersytetu, podobnie jak każdej innej uczelni, nie jest już biletem na życie.

* * *

Wśród wszystkich miejsc kultury szkoła zajmuje miejsce szczególne. Widać to zarówno w jej relacji z otaczającą ją rzeczywistością, jak i z uniwersytetem. Z jednej strony między tymi instytucjami wznosi się mur zaznaczający się choćby tym, że szkoła średnia widzi siebie jako „ogólnokształcącą”, co każe jej spoglądać na szkołę wyższą już tylko jako na formę pogłębienia wiedzy wybranej i ukierunkowanej. Względna heterogeniczność liceum wyodrębnia się od pozornej homogeniczności uni-

wersyteckiej edukacji. Z drugiej strony jednak uniwersytet wie, że poziom jego studentów kształtuje się, jeszcze zanim wstąpią oni w progi uczelni, zatem w szkole średniej, a więc w istocie dwie instytucje stanowią kolejne etapy tego samego procesu. Liceum (i inne szkoły) natomiast potrzebuje uniwersytetu, to bowiem stamtąd prowadzą drogi nauczycieli wykształconych w murach uczelni. Im lepiej dzieje się na tych dwóch traktach, im lepsi uczniowie zmierzają w stronę uniwersytetu oraz im lepsi nauczyciele — absolwenci uczelni wracają do szkoły, tym lepiej dla społeczeństwa i jego przyszłości. Z tego punktu widzenia tym bardziej krytycznie należy ocenić zatrzymanie reformy polskiego szkolnictwa, decyzję polityczną niepotrzebnie wzmacniającą kruszejący mur, dzielący dwa sektory edukacyjne.

Czym jest więc uniwersytet wobec szkoły średniej? Nie wdając się w szczegóły, powiedzmy w ryzykownym zapewne uproszczeniu, iż jest to miejsce, w którym „grzeczność” doskonali się w „roztropności”. „Grzeczność” rozumiemy tutaj dwojako: po pierwsze, jako przygotowanie się do rzetelności w postępowaniu, jakie winno być właściwe młodemu wiekowi (stąd, jak pisze filozof, „grzeczność jest rzeczą małą, która przygotowuje rzeczy wielkie. Jest rytuałem, ale bez Boga; ceremoniałem, ale bez religii; etykietą, ale bez monarchy”³¹), lecz także jako umiejętność zwracania się „ku rzeczy”, czyli próbę opanowania przedmiotu, zdobycia określonej wiedzy itd. Roztropność z kolei jest tą dyspozycją, która pozwala nam czynić sensowne wybory („Roztropność określa to, co należy wybrać, i to, czego należy unikać”³²). Mówiąc inaczej, do wiedzy osiągniętej w szkole średniej (znamienne, że język, którym posługujemy się na co dzień w swej militarnej retoryce — wszak powszechnym zwrotem jest „zdobywanie wiedzy” — zdaje się wskazywać na trudności i opór, jakie przychodzi nam pokonać w trakcie kształcenia) uniwersytet dodaje krytyczne myślenie, dzisiaj niezbędne tym bardziej, im wyrazistszy staje się wpływ środków komunikacji społecznej, takich jak telewizja, upowszechniających pewien model kultury. Dzięki takiej postawie krytycznej zyskuję co najmniej dwie ważne instrukcje życiowe: wiem, że muszę wybrać i że z wyborem tym idzie konieczność rozpoznania ryzyka, jakie ponoszę, lecz jednocześnie

³¹ A. Comte-Sponville: *Mały traktat o wielkich cnotach*. Przeł. H. Lubicz-Trawkowska. Warszawa: Oficyna Wolumen 2000, s. 19.

³² Ibidem, s. 37.

wiem, że wszelka decyzja jest wynikiem trudnego procesu starania się, wysiłku, za którego wynik ponoszę osobistą odpowiedzialność (zapiszmy w nawiasie, iż wagę owego „ryzyka” należy szczególnie podkreślić, ponieważ właśnie to pojęcie zdobywa sobie szczególne miejsce w analizach współczesnego społeczeństwa, czego dowodzi choćby tytuł głośnej pracy Ulricha Becka *Risikogesellschaft* z 1986 roku). To, co z należytym łaodem opanowuję w szkole średniej, w uniwersytecie może zostać poddane próbie nie dlatego, jakoby wiedza ta była „niepoprawna”, lecz dlatego, że zwiększa się skala mojego wyboru, a zatem moja wiedza o pewnych przedmiotach rośnie, o innych zaś maleje. Obydwa te rezultaty stanowią wynik mojej decyzji. Comte-Sponville przywołuje św. Augustyna, który pisze, iż „Roztropność jest miłością, która wybiera z przenikliwością”³³. Wprowadzając niewielką zmianę, powiedzmy, że roztropność jest uczeniem się, które wybiera z przenikliwością, a zatem uniwersytet do wszelkich umiejętności właściwych uczniowi szkoły średniej winien dodawać dyspozycję do przenikliwego wyboru. Im lepsze nasze kształcenie uniwersyteckie, tym szerszy zasięg owej przenikliwości, która obejmie nie tylko decyzje dotyczące przedmiotu studiowania, ale i mądre decyzje życiowe.

* * *

Uniwersytet jest więc jednym z etapów procesu poszukiwania swojego miejsca w życiu, dopasowywania się jednostki do stanu społeczeństwa i ekonomii; rzecz w tym, aby „dopasowywanie” owo chcieć uczynić mądrym, czyli dalekim od zwykłego konformizmu (przypomnijmy naukę Emersona „Twoje działanie, zgodne z twoją prawdą, stanie się samo przez się zrozumiałe i pozwoli zrozumieć wszystkie twoje inne, tak samo autentyczne działania. Twój konformizm zaś nie wyjaśnia niczego”³⁴). Taki model edukacji, w którym w zasadzie gubi się już zasadność stosowania przymiotnika „wyższy” (skoro system kształcenia przenosi nas tylko z jednego szczebla na drugi szczebel, lepiej — co już się czyni — raczej owe szczeble numerować niż nadawać im górnolotne miana), odpowiada modelowi

³³ Ibidem, s. 39.

³⁴ R. W. Emerson: *Poleganie na sobie*. Idem: *Eseje*. Przeł. A. Tretiak. T. I. Lublin: Wydawnictwo Test, 1997, s. 74.

amerykańskiemu, w którym edukacja jest procesem socjalizacji. Można zatem przyjąć, że założono podobnie: skoro ewolucja uniwersytetów wyprowadzi je na trajektorię amerykańską, przeto podobnym torem winno posuwać się finansowanie szkół wyższych. Z pewną przesadą można powiedzieć, iż tor ów wyznaczony został następującą linią myślenia: „otrzymasz 1/3 potrzebnych środków, pozostałe musisz zdobyć sam”. Można przyjąć słuszność tego założenia, trzeba też jednak zauważyć, że posłużono się amerykańskim wzorcem w polskich realiach, co wywołało pęknięcia na edukacyjnym gmachu. Uniwersytet znalazł się w konieczności pozyskiwania środków na swój rozwój w sytuacji, w której tylko część możliwości (na przykład granty Komitetu Badań Naukowych czy Fundacji Nauki Polskiej) miała jasno określone źródła finansowania i procedury ubiegania się o nie. Dookoła natomiast, inaczej niż w Ameryce dysponującej potężnym przemysłem i bogactwem kapitału, rozciągała się ziemia niczyja. Tworzyła ją sfera biznesu nastawiona na szybkie zyski, a nie na inwestowanie w naukę, wielki przemysł wraz z dogorywającymi jednostkami badawczo-rozwojowymi stanowiącymi jego (nie)naturalne zaplecze i poszukującymi wsparcia państwowego mecenasa, legislacja niesprzyjająca ani donacjom, ani sprawnemu funkcjonowaniu uczelni (przypomnijmy choćby ustawę o zamówieniach publicznych nijak nieprzystającą do rzeczywistości szkół wyższych, w dodatku z niewiadomych powodów dzielącą uczelnie na te, które muszą ją stosować, i te — niepubliczne — które są z jej gorsetu uwolnione).

Jeżeli więc polityka państwa wobec nauki, edukacji i sztuki nie jest zwykłym miotaniem się w poszukiwaniu oszczędności, lecz przyświeca jej cel, który określimy tu w uproszczeniu mianem „amerykanizacja”, trzeba powiedzieć, że jest to polityka chybiona. Nie dlatego, że cel wybrano niedobrze, wszyscy znamy zalety najlepszych szkół amerykańskich, lecz dlatego, że dobrano go bez należytego wyczucia sytuacji lub też wręcz wbrew warunkom panującym w rzeczywistości. Mówiąc kategoriami Zygmunta Baumana, państwo postanowiło „rozstać się” z edukacją wyższą i nauką, lecz uczyniło to tak, aby z jednej strony zachować sobie poparcie „głosującej większości”, to znaczy nie podbudowując nadmiernie tych sfer działalności ekonomicznej, które mogłyby prowadzić do wykształcenia się potężnych źródeł finansowania pozabudżetowego (mogłoby to zostać uznane przez wyborcę za zdradę

ideału równościowego), z drugiej zaś strony zabiegając o to, aby zarysowujące się obszary takiej działalności pozostały nie kręgiem wolnej konkurencji, lecz terenem łowieckim polityków i partii politycznych (inaczej groziłoby to utratą wpływów politycznych i zachwianiem partyjnych parytetów). Innymi słowy, państwo z wolna „uwłaszcza” uczelnie publiczne, pozwala im się „wykupić” spod swej kontroli, ale czyni to, uprawiając politykę, która nie sprzyja zwiększeniu puli środków pozabudżetowych, które skutecznie pozwoliłyby dopełnić takiej transakcji.

Autoizolowanie się państwa od nauki, sztuki i edukacji nie jest zresztą tradycją europejską. Joseph Bricall, przewodniczący konferencji gromadzącej szkoły wyższe Europy, pisze, iż „60 lub 70% uniwersyteckiego budżetu to minimalna wysokość partycypowania w nim środków publicznych. Na razie przynajmniej w Europie zarówno struktura finansów publicznych, jak i tradycja akademicka nie pozwalają mieć nadziei na poważne wpływy ze strony organizacji alumnów czy prywatnych fundacji [...]. Podaż kapitału nie dorównuje popytowi także w sferze prywatnych środków finansowania. Musimy o tym nieustannie przypominać, jeśli nasza wizja przyszłości nie ma być zamkiem na piasku”³⁵.

* * *

Mamy więc państwo, które — nie mówiąc tego otwarcie, w praktyce uchyla się od sprawy uniwersytetu, mamy studenta, któremu w jakiejś mierze nie zależy na uniwersytecie („mogłem przecież studiować gdzie indziej, lecz akurat tutaj udało mi się dostać”), mamy też profesora, który uniwersytetowi nie chce poświęcić ani swojego czasu, ani pasji. Zarówno jeden, jak i drugi są w stanie permanentnej i panicznej ucieczki od miejsca, w którym się znaleźli, lecz z którym nie chcą łączyć swoich losów. Student czyni tak dlatego, że pewnie niepokoi go trudny rynek pracy, a niepokoju tego nie łagodzi tak często, jak powinien, fascynujący kontakt z profesorem, który pokazałby adeptowi zawile piękno konstruowania na własną odpowiedzialność obrazu świata.

³⁵ J. Bricall: *Potential Convergence and the Cost of Status Quo*. In: *Salamanca Convention 2001. The Bologna Process and the European Higher Education Area*. European University Association 2001, s. 29.

W dzisiejszym uniwersytecie student jest silniej związany telefonem komórkowym z zatrudniającą go firmą lub korporacją niż intelektualnie ze swoim profesorem. Ten ostatni zresztą także „ucieka” z uniwersytetu, ponieważ — co szczególnie smutne — zdaje się nie wierzyć w publiczną misję tej instytucji oraz pragnie wykorzystać nadarzający się moment edukacyjnej *prosperity*. I profesor, i student pragną „posiadać”, to znaczy w sposób maksymalnie niezależny od społeczności i jej wymagań, egocentrycznie dążą do zaspokojenia przede wszystkim własnych pragnień. **Ani jednemu, ani drugiemu nie chodzi o pasję, lecz o pensję.**

Zarówno student, jak i profesor sprzeciwiają się więc temu, aby ich losy zostały w pewien sposób „zawarte” w dziejach jakiejś nadrzędnej instytucji czy racji. Profesor jest „profesorem uniwersytetu” tylko pod warunkiem, że otwiera mu to drogę do dodatkowych źródeł atrakcyjnego zatrudnienia, student „studiuje w uniwersytecie” nie po to, aby poświęcając mu swój czas i zdolności, kształtować swoją indywidualność, lecz po to, aby opanowawszy pewną ilość odpowiedzi (czyli uciekłszy od pytań), stanąć z dyplomem w ręku na progu życia zawodowego. **Jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, iż nie studiuje się po to, aby dzielić się swoimi zdolnościami i pracą z innymi, lecz dlatego, że przede wszystkim pragnie się ubiec innych w wyścigu do tak zwanej kariery.** Mechanikę tych relacji międzyludzkich opisał już Artur Schopenhauer, kiedy obnażając słabości Kantowskiego systemu etycznego, tak charakteryzował egoistyczne podłoże naszej obecności wśród innych: „Z każdą nową znajomością, pierwszą naszą myślą jest pytanie, czy dany osobnik będzie nam mógł być w czymś użyteczny. Jeśli nie może, to z chwilą, gdyśmy się o tym przekonali, dla większości z nas on sam staje się niczym. [...] prosząc kogoś o radę lub wskazówkę, niezwłocznie tracimy ufność w jego zdanie, gdy spostrzeżemy, że on sam jest choćby tylko trochę, choćby w dalszy sposób zainteresowany w tej samej sprawie. Wtedy bowiem zaczynamy przypuszczać, że zechce nas użyć za środek do własnego celu [...]”³⁶.

Nie studiuję zatem po to, aby być „dobry”, ale po to, aby być „lepszy”. Wspólnota losu profesora i studenta polega więc na tym, że w jakimś

³⁶ A. Schopenhauer: *O podstawie moralności*. Przeł. Z. Bassakówna. Warszawa: „Bis”, 1994, s. 64.

sensie każdy z nich zmierza do wyzwolenia się ze zobowiązań wobec instytucji uniwersytetu. Każdemu przyświecają racje materialne, choć inaczej motywowane. **Student pragnie „się urządzić”, ma bowiem jeszcze tyle „przed sobą”** (ma czas, chodzi o brak umiejętności), **profesor dlatego, że ma wiele „za sobą”** (ma umiejętności, lecz wie, że nie zostało mu wiele czasu).

Dzisiaj mało kto chce „zawrzeć siebie” w uniwersytecie, prawdziwie związać się z nim, wielu natomiast — i tyczy się to zarówno studentów, jak i profesorów — chce z niego skorzystać tak, jak ludzie, którzy po całym dniu pracy w centrum miasta wracają na peryferia, do swojego osiedla spełniającego funkcję „zbiorowej sypialni”. Nie brakuje — zwłaszcza wśród polityków — także tych, którzy chcą uniwersytet „posiadać”, to znaczy pragną zostać jego właścicielami i łaskawymi mocodawcami, nie zważając na to, iż uniwersytet ma swoje prawa i wymagania. Do dzisiaj zbieramy owoce bezmyślnych transakcji typu: „odbierzemy wam województwo, ale w zamian damy wam uniwersytet”. Uniwersytet wtedy odgrywa swoją wielką rolę, gdy ci, którzy w nim pracują i studiują, mają przeświadczenie, że ich praca nie jest wyłącznie doraźna, lecz „zawiera się” w większej całości. Gdyby przełożyć to na kategorie czasowe, należałoby powiedzieć: tyle uniwersytetu, ile przekonania, że głęboko krytyczna praca jego „dzisiaj” jest zrozumiała dlatego, że uwikłana jest we „wczoraj” i przygotowuje już materię dla „jutra”. Politycy najczęściej nie są w stanie tego pojąć; **pole widzenia uniwersytetu jest odległe i rozległe, polityk (a mam tu na myśli przede wszystkim polityków pełniących funkcje parlamentarne czy rządowe) widzi zazwyczaj jedynie koniec kadencji i kolejne wybory warunkujące reelekcję „sukcesami” kandydata.** Rozbieżność tych perspektyw przynosi, zważywszy praktycznie całość decyzyjnej mocy po stronie polityka, jak najgorsze efekty dla nauki, sztuki i edukacji.

* * *

Politycyzacja uniwersytetu nie polega dzisiaj na infiltrowaniu go przez jakieś polityczne organizacje, lecz na zawężeniu pola widzenia profesorów i studentów. Jak politycy, widzimy bowiem to, co stanowi głównie o naszym powodzeniu i dla niego gotowi jesteśmy poświęcić kolejne elementy wspólnego losu. Na płaszczyźnie

instytucjonalnej oznaczało to jeszcze do niedawna nierzadkie dążenie wydziałów do demonstrowania swojej obojętności na losy uniwersytetu, połączone z ignorowaniem okoliczności, w jakich przyszło mu działać. W sferze etycznej bierność studentów i apatia profesorów przejawiają się zanikiem poważnej debaty i rozmowy o pryncypiach (do dziś słyszę owo ironiczne „co mi pan rektor tutaj opowiada o misji uniwersytetu, mnie interesuje pensja”, rzucone niedbale przez pewnego profesora po godzinnej próbie wytłumaczenia, w czym upatrujemy istoty „kontraktu” uniwersytetu z otoczeniem); miejsce tej debaty zajęły albo spory finansowe, albo rozmowy na tematy incydentalne, zastępcze, najlepiej poszukujące przyczyn wszelkiego zła w nieobecnych na spotkaniu.

Podobnie jak nie sposób wyobrazić sobie wspólnoty słuchaczy radiostacji typu RMF opierających się na tandetnej, jazgotliwej muzyce i głoszonej otwarcie i bez żenady zasadzie „granie bez cienia mówienia”, tak coraz trudniej jest mówić o wspólnocie uniwersyteckiej. Instytucja, której wewnętrzna kultura słabnie, obniża swoją żywotność wskutek mniejszego zapału do pracy wypływającego ze wspólnoty celów. Gdy ludzie nie mają sobie do opowiedzenia łączących ich z sobą i instytucją historii i anegdot, firma dla której pracują, staje się tylko doraźną lokalizacją, chwilowym miejscem pobytu. To, co nazwaliśmy wyżej „politycznością” uniwersytetu, jest w istocie jego „eremefizacją”. **„Doraźność” polityki kłóci się z obowiązującą uniwersytet zasadą dalekowzroczności.**

* * *

Mamy zatem do rozstrzygnięcia dwa dylematy dotyczące miejsca i partnerów dialogu, który stanowi o miejscu i znaczeniu uniwersytetu. Po pierwsze, uniwersytet w swoich relacjach z licznymi partnerami musi pamiętać o tym, że jest strażnikiem i rzecznikiem dialogu, czyli że respektując wezwania płynące, często w kategoriycznym tonie, z rzeczywistości, uniwersytet nie może im po prostu ulegać. Prowadząc rozmowę, nie tylko odpowiadam na pytania zadawane mi przez Drugiego, lecz odpowiadając, także kształtuję tok dysputy, wpływając na następne pytania. Uniwersytet winien więc być uczestnikiem rozmowy z licznymi partnerami, nie może natomiast stać się jedynie jej przedmiotem. Posłużmy się przykładem. Jednym z ważnych efektów przemian zacho-

dzących w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu był znamienny zwrot w nastawieniu władz lokalnych: ich polityka stała się bardziej dalekowzroczna i wykalibrowana w skali dalszej przyszłości. Miarą owej zmiany były wysiłki zmierzające do przyciągnięcia wyższych uczelni do miast i gmin. Chociaż podejmowane z różnym stopniem realizmu, nie mogą nie krzepić; nachylenie lokalnej polityki w przyszłość kształtowaną przez wyedukowanych obywateli, znających miejscowe problemy i potrzeby, budzi uznanie. Niemniej uniwersytet, skłaniając się z szacunkiem przed takim nastawieniem, musi odpowiadać na propozycje otwierania nowych placówek z najwyższą rozważą. Stawką jest nie tylko jakość kształcenia, trafność praktycznych rozwiązań codziennych problemów funkcjonowania owych placówek, lecz w efekcie — jakość życia tych, którzy zechcą skorzystać z ich działalności. **Uniwersytetowi chodzi bowiem nie tylko o wspieranie działań edukacyjnych, nie tylko o mądre współdziałanie w rozwiązywaniu społecznych problemów, lecz przede wszystkim o to, aby jego działania wiodły do życia lepszego, godniejszego, szczęśliwszego.**

Dialog prowadzony ze środowiskami samorządowymi winien więc zmierzać do uznania faktu, że w edukacji nie chodzi o rozwiązania doraźne (choć i te mają swoją wagę), lecz o długotrwałe poczucie bycia na „swoim miejscu” wypływające z jednej strony z trwałego zaangażowania się (także, choć nie wyłącznie, ekonomicznego) samorządów, z drugiej zaś — z przekonania uniwersytetu, iż w nowej placówce prowadzić może kształcenie na najwyższym poziomie, korzystając z wiedzy najlepszych fachowców ze swojego grona. Jakiegokolwiek inne rozwiązanie będzie jedynie początkiem frustracji i poczucia rozczarowania po obu stronach. Uniwersytet, prowadząc dialog ze swoimi partnerami, ma świadomość, że często nierozważne spełnianie życzeń prowadzi do być może odległego w czasie, ale niechybnego zaprzeczenia autentycznym motywom, które owe życzenia zrodziły. Stawką dialogu, w którym uczestniczy uniwersytet, jest znalezienie najwłaściwszego czasu i miejsca do podjęcia działania. **Uniwersytetowi bowiem przyświeca zasada odnajdywania właściwego rytmu rzeczy i zdarzeń.** Złożoność rzeczywistości i samego uniwersytetu sprawiają, że nie jest to monotonna rytm metronomu. **Nic pochopnie, nic za późno — oto dewiza uniwersytetu.** Dlatego tak zgrzytliwym dźwiękiem rozbrzmiewają niewczesne wnioski profesorskie, przedłużane nad miarę

uniwersyteckie profesury, oddalane aplikacje o prawa akademickie. Porażka tych inicjatyw nie sprowadza się jedynie do niepowodzenia poszczególnych jednostek; jest groźną porażką całego uniwersytetu. Świadczy bowiem o tym, iż uniwersytet stracił miarę czasu, zapomniał o właściwym umiarze i w rezultacie niebezpiecznie zbliżył się do postawy, dla której najważniejszy jest „sukces” osiągany za wszelką cenę. Zdradliwość pojęcia „sukces” polega na tym, iż aby nie być „powodzeniem” czy — nie daj Boże — „zwykłym biegiem rzeczy”, musi on dokonać się szybko, najlepiej natychmiast, musi być „błyskotliwy” lub „spektakularny”, słowem — musi zdarzać się poza spokojnym rytmem wydarzeń. W tym sensie „ambicje”, rozumiane jako spełnianie za wszelką cenę własne zamierzenia, sprzeciwiają się uniwersytetowi, który wie, że „wszelka ambicja jest naruszeniem miary i czymś absurdalnym [...] [dlatego, że — T. S.] Człowiek kierujący się ambicją zapomina zupełnie o jednym: o pojęciu związku”³⁷.

* * *

Drugi dylemat sprowadza się do podobnego pytania, lecz kieruje je do wnętrza uniwersytetu. Nie możemy nie zauważyć, iż rzeczywistość kształtuje się pod naciskiem zasady konkurencyjności i współzawodniczenia, często nadmiernego i doprowadzonego do skrajnej formy. Tej formuły współczesnego świata uniwersytet nie może po prostu wzniośle zignorować; winien natomiast rozważyć krytycznie, w jakim stopniu określa ona także jego codzienność. Zabieganie o środki finansowe na prowadzenie badań, konferencje, zakupy sprzętu i aparatury, realia awansów określone wyścigiem publikacji, poddawanych coraz bardziej rygorystycznym klasyfikacjom na wzór „listy filadelfijskiej”, stały się trwałym elementem pejzażu uniwersytetu. **Czy wszakże owo konieczne zabieganie nie przebrało miary, stając się podstawowym, a może nawet jedynym źródłem postaw uczonych?**

Innymi słowy, czy świat uniwersytetu i szerzej — życia naukowego nie stał się głównie areną zmagania i wzajemnego dyskredytowania siebie i swoich wysiłków zarówno na polu nauki (każdy zetknął się z wy-

³⁷ S. Weil: *Świadomość nadprzyrodzona*. Przeł. A. Olędzka-Frybesowa. Warszawa: Pax, 1999, s. 468.

powiedziami uczonych pod adresem kolegów, które to enuncjacje urągały dobrem obyczajom; czy nie zdumiał nas profesor mówiący o cudzoziemskim koledze jako o „paryskim mędrku”) jak i działań administracyjnych (każdy z nas był zapewne choćby raz świadkiem zdumiewających wypowiedzi na spotkaniach komisji senackich czy samego Senatu, które to gremia stawały się sceną dla nagłośnienia obecności poszczególnych przedstawicieli Akademii, występujących nie tyle merytorycznie, ile głównie *ad hominem*).

Jeżeli zadaniem nauki i edukacji jest stworzenie warunków godniejszego życia, powiedzmy szczerze, że uniwersytet sam oddalił się od możliwości sprostania owemu zadaniu. Wobec świata ponad miarę zadłużonego wobec zasady indywidualnego sukcesu i osiąganego za wszelką cenę powodzenia, uniwersytet winien stanowić przejaw zalet i korzyści wynikających nie z myślenia „przeciwko” Drugiemu (a takie — śmiem twierdzić — pojawia się nadmiernie często wśród sporej liczby kolegów), lecz z myślenia „razem” z Drugim. Bill Reading ma rację, gdy pisze, że zadaniem uniwersytetu jest „słuchać Myśli, myśleć wraz z drugim, współmyśleć, penetrować siatkę zobowiązań, która otwiera przed nami kwestię znaczenia jako miejsca debaty”³⁸. Cnoty te znajdują się dzisiaj w cieniu także w samym uniwersytecie, choć to właśnie uniwersytet winien zabiegać o to, aby przywrócić ich znaczenie.

Konkurencja, o której tyle się mówi w dzisiejszej rzeczywistości, ma dwa oblicza. Pierwsze ujawniło się to, które dostrzegaliśmy wtedy, gdy edukacja stała się sposobem robienia lukratywnych interesów. Z początku rynek był tak chłonny, iż zdawało się, że konkurencja jest jedynie przyjacielskim współtowarzyszeniem sobie na wspólnej drodze: smutna rzeczywistość niedokształconego społeczeństwa wymagała gwałtownej interwencji i szybkiej metamorfozy. Gdy zarówno sytuacja na rynku pracy (rosnące bezrobocie absolwentów), jak i demografia (zblizający się niż młodego pokolenia) okazały się czynnikami zmieniającymi warunki gry, współdziałanie ustąpiło miejsca przeciwdziałaniu.

Powołanie do życia szkół niepaństwowych należało i należy przywitać z uznaniem; nowe uczelnie, jeżeli były do tego dobrze przygotowane,

³⁸ B. Reading: *The University in Ruins...*, s. 165.

otwierały nowe możliwości rzetelnego kształcenia i współzawodnictwa uczonych. To, co stało się dalej, jest już tylko historią parweniuszostwa wynikłego z nieudolności administracyjnej (nadmiernie liberalne, by wyrazić się elegancko, wymogi stawiane przez MEN nowo powstającym uczelniom), przebiegłości polityków (kreowanie uczelni już to gwoźli usatysfakcjonowania własnego lobby politycznego, już to dla zapewnienia samemu sobie możliwości działania po zakończeniu pełnienia politycznego urzędu), nieokiełznanej ambicji przedsiębiorczych jednostek i zimnego wyrachowania, czyli braku poczucia etyczności, w samym środowisku akademickim. Nie może być przecież mowy o „rzetelności” uczelni wtedy, gdy jej kadra składa się niemal wyłącznie z ludzi zatrudnionych na trzecim, czwartym, piątym etacie, a już z pewnością nie wchodzi tu w rachubę naukowe współzawodnictwo. Zresztą z kim ów pracujący na piątym etacie profesor miałby współzawodniczyć? Z sobą samym zatrudnionym w swej macierzystej uczelni (państwowej, rzecz jasna) czy z sobą samym jako pracownikiem kilku innych szkół wyższych?

* * *

Kiedy mówiliśmy poprzednio o tym, iż uniwersytet był zbiorem technik porządkowania świata, gdy miał pomóc swym adeptom w lokalizowaniu ich własnego miejsca w rzeczywistości, nie sposób nie zauważyć, że to, co nazywamy potocznie biznesem edukacyjnym, wprowadziło tu znaczne zakłócenie. Polega ono na tym, iż konkurencyjność w edukacji została pojęta tak samo, jak rozumie się ją w innych dziedzinach działalności gospodarczej. Oznacza to poddanie szkół wyższych terrorowi tzw. wskaźników obiektywnych, które precyzją danych liczbowych udają, że mówią rzeczy dotyczące się istoty działania uniwersytetu. To prawda, że liczba studentów i kadry wskazuje na skalę działalności szkoły, ale nie mówi przecież nic o tym, co jest sercem jej funkcjonowania — liczby te nie są w stanie dostarczyć nam żadnej wiedzy na temat jakości dydaktyki i pracy badawczej. Dowolność kryteriów, jakie przyjmują autorzy popularnych rankingów, pozwala w znacznej mierze na ustawianie szkół w sekwencji, potwierdzającej założony przez porządkującego ład świata. Jaki sens ma w obecnej chwili uwzględnianie kategorii oceny pozycji szkoły w oczach pracodawcy, skoro wiadomo, że

większość atrakcyjnych miejsc pracy i opiniotwórczych firm znajduje się i tak w Warszawie, a pracodawca zagraniczny w ogóle zna pewnie dwa polskie miasta — Kraków i Warszawę. Pierwsze z racji historii i renesansowej architektury, drugie z powodu centralizmu urzędniczego, który wszystkie sprawy każe rozstrzygać w murach stołecznych urzędów, do których dotrzemy po żmudnym przebijaniu się przez permanentnie zakorkowane ulice.

Oprócz zdradliwej statystyki konkurencyjność rynkowa szermuje ideą „statusu” jako narzędziem zachęty wobec potencjalnego kandydata. O ile szkoły państwowe zachowują w tej mierze pewien umiar (choć nie wiem, na jak długo starczy owej godnej wstrzeмиęźliwości), ich młodszy niepubliczny bracia i siostry traktują element statusu jak punkt ciężkości swoich zabiegów o studenta. Dla uważnego czytelnika (powątpiewam w dużą liczbę takowych wobec zatrważających informacji o ponad 50% biernym analfabetyzmie Polaków, którzy nie rozumieją najprostszego pisemnego komunikatu) wysiłki te zmierzają do kreowania obrazu rzeczywistości jako zespołu faktów służących do manipulacji. Gdy studiuje my owe ogłoszenia, nasuwa się nam podejrzenie, że **mnogość rankingów ma w istocie nie tyle oświetlić pole usług edukacyjnych, ile skutecznie je zaciemnić.**

Na jednej tylko stronie „Gazety Wyborczej” pewnego styczniowego dnia 2002 roku znajdujemy tuż obok siebie dwa inseraty prywatnych szkół wyższych. Z ogłoszeń tych wynika, że obie są „najlepsze” na Śląsku; to, iż wynik ów pochodzi z dwóch innych rankingów, odnotowano w dalszej kolejności, a w jednym z ogłoszeń uczyniono to małym drukiem i typograficznie umieszczono tak, że aby przeczytać ów przypis, należało obrócić całą stronę gazety. Dowiadujemy się także o licznych międzynarodowych certyfikatach wydawanych przez jedną ze szkół oraz o medalach i odznaczeniach, jakie otrzymała szkoła; nazwy i jednych, i drugich są niewiele mówiące i wyraźnie mają na celu epatowanie czytelnika „międzynarodowym” wymiarem instytucji. Aby zwieńczyć dzieło, wstępna autorekomendacja „Polecamy najlepszą...” umieszczona jest poza ramką samego inseratu, co oczywiście chytrze sugeruje, że rekomendacja owa ma charakter „zewnętrzny”, jest osądem „obiektywnym” i od szkoły niezawisłym. I tak, to, co było siłą edukacji — stworzenie pola porządku poznawczego i etycznego, który choć koniecznie zmienny, miał jednak swoje stałe azymuty i wartości — ulega erozji i zamieniania się

w miłąką grę umizgiwania się do klienta. Czar wiedzy ustąpił pola czarowi uwodzenia, a porządek wartości i jakości zastąpiony został pozornym porządkiem nalepek z nazwami mniej lub bardziej słynnych firm, które czemuś „patronują”, coś „sponsoringują” lub na coś „udzielają zgody”. Rzetelność odstępuje pierwszeństwa „metce” i „logo” firmy.

Znajdujemy się w sytuacji zgoła niejasnej. Naciera na nas fala retoryki lansującej pojęcie „sukcesu” jako hegemoniczny wzorzec kulturowy; ale równocześnie jesteśmy poddawani zabiegom (rankingi są ich doskonałym przykładem) podsuwającym nam konkluzję, iż w całej mitologii „sukcesu” mniej chodzi o pracę i wysiłek niż o dobrą pozycję startową, mającą na samym początku pozwolić nam wyprzedzić wszystkich innych. Mówiąc metaforycznie, na starcie do biegu na 10 kilometrów otrzymuję 1 kilometr tzw. forów. Ranking uczelni podaje (nie zawsze opierając się na jasnych kryteriach) dwie informacje: są miejsca „prowincyjne”, w których uczyć się nie warto lub przynajmniej łączy się to z dużym ryzykiem, oraz są instytucje, których sama nazwa wystarcza dla osiągnięcia dobrego wyniku życiowych zabiegów. Taka sugestia budzi podejrzenie, iż łatwo tu o interpretację odrywającą „sukces” od pracy i wysiłku, a przypisującą go właściwej szkole (swoistą mutacją tej sytuacji są kolejne fale politycznych rozgrywek personalnych, w których wyniku rekomendacją ostateczną do pełnienia funkcji jest fakt historycznej przynależności do pewnych organizacji, na przykład dawnego Związku Studentów Polskich). Już 40 lat temu John Canelti zauważał ten dylemat: „Ideal *self-made* mana wykruszył się, nie dając w zamian żadnego nowego wzorca, mogącego wyznaczyć cele indywidualne i społeczne [...]. Współczesny chłopiec na posyłki wie dobrze, że rok w Harvard Business School uczyni dla jego kariery więcej niż pracowitość, oszczędność, wstrzeźliwość i pobożność całego życia”³⁹.

Jeszcze jednym z negatywnych efektów rankingów jest presja, jaką ich wyniki wywierają na instytucje edukacyjne, które zdają sobie sprawę, iż w nieodległej być może przyszłości pozycja przypisana danej szkole w klasyfikacyjnej procedurze najprawdopodobniej zaważy na liczbie abiturientów wybierających daną uczelnię na miejsce przyszłych studiów. Zapewne niechcianym efektem takiej sytuacji będzie upodabnianie się szkół wyższych do siebie w drodze dostosowywania swoich

³⁹ W: Z. Bauman: *Wolność...*, s. 70.

programów nauczania i sposobów działania do tych placówek, które zajmują najwyższe pozycje w klasyfikacji. Oczywiście, podążanie szlakiem najlepszych może być wyznacznikiem godnej polecenia i uznania ambicji, lecz rezultatem takiej tendencji jest także homogenizacja kształcenia, ucieczka zdolnych, młodych ludzi z mniejszych uczelni, kolejna fala wewnątrzpolskiego drenażu mózgów i umiejętności wyrzucająca wciąż nowych absolwentów na progi biur i urzędów Warszawy.

* * *

W tej sytuacji **uniwersytet musi w dwójnasób strzec rzetelności swoich dociekań naukowych, nauczania, powagi swojego postępowania**. Doraźności praktyk reklamowych (by nie rzec reklamarskich) uniwersytet musi przeciwstawić cierpliwą sumienność pracy, którą rozpoznaje się „po jej owocach”. To znakomita jakość wykładów, seminariów i zajęć laboratoryjnych, prestiż powszechnie znanych nazwisk wykładowców i profesorów mają przyciągać studentów do uniwersytetu. Na tej samej stronie tego samego numeru „Gazety Wyborczej” czytamy ogłoszenie jeszcze innej szkoły prywatnej, w którym główny akcent spoczywa nie tyle na prezentacji instytucji, ile na zachęcającej procedurze naboru. Czytamy: „Osoby, które zapiszą się na studia do..., biorą udział w losowaniu — 5 osób zwolnionych z »wpisowego«. Dwie kwestie zatrważają w tym ogłoszeniu. Gdy uniwersytet w swej historii opowiadał się zawsze za porządkowaniem pola poznania, czyli za ograniczaniem roli elementu przypadku (nie wyklucza to w żadnym razie badań nad przypadkowością, aleatorycznością itp.), wspomniana szkoła czyni z owej przypadkowości działania główną zachętę dla kandydatów na studia. Zachęca ich nie do świadomego wyboru kierunku studiów, lecz do wejścia w swoisty układ z losem, który w razie powodzenia wynagrodzi przypadkowość wyboru korzyścią finansową (zwolnienie z „wpisowego”; zauważmy, iż nic nie wspomniano o zwolnieniu z czesnego, mamy zatem do czynienia z chytrym zabiegiem, ponieważ kandydat, przeczytawszy ów anons, nawet gdy mu się poszczęści i zostanie wylosowany, i tak zapewne zmuszony będzie do opłacenia czesnego stanowiącego główny ciężar finansowych zobowiązań wobec szkoły). Co więcej, reklamująca się w tej manierze szkoła świadomie odwołuje się do utrwalonych w znacznej części społeczeństwa nawyków reago-

wania na wszelkie sytuacje wzywające do pozornej interakcji. „Zadzwoń i powiedz”, „zadzwoń i wygraj”, „napisz i uzyskaj” (po których następuje zazwyczaj sakramentalne „za jedyne... złotych”) — to schemat obsługujący przeróżne „tele-” i „radiokonkursy”, „telefoniady”, a także liczne inne dochodowe przedsięwzięcia w sferze masowej kultury. Jeżeli tyle ludzi daje się wciągnąć w nonsensowne uwikłania (przypomnijmy: ponad 9 milionów Polaków oglądało finał pierwszej edycji programu *Big Brother*) dające im namiastkę poczucia oddziaływania na rzeczywistość (tak, jak w realnym socjalizmie skąpe ogródki działkowe miały być namiastką własności ziemi i nieruchomości), zdaniem reklamującej się instytucji nic nie stoi na przeszkodzie, aby edukację poddać działaniu tego samego mechanizmu. Karykatura demokratycznych zasad pozwalających obywatelowi oddziaływać na kształt otaczającej go rzeczywistości stosowana w erze *reality show* oznacza, że także w edukacji ma odegrać swoją rolę *vox populi*: zgłaszam się do szkoły nie tyle jako kandydat do podjęcia poważnego wysiłku, ile przede wszystkim natychmiastowość mojej decyzji wymuszona jest tym, że widzę siebie przede wszystkim jako kandydata do „szczęścia” wymiernego wynikiem losowania. Świadomy wybór przeciwstawiony „szczęściu” losowania: zamiast analizy własnej możliwości i dyspozycji przedsięwziętej przez maturzystę, kandydata na studia — atrakcyjność loterii, w której może on okazać się zwycięzcą. Wobec takich anonsów **uniwersytet tym bardziej musi kierować swoją ofertę nie do tych, którzy chcą „wygrać”, ani nie do tych, którzy pragną być „wylosowani”, ale do tych, którzy dążą cierpliwie do rozwijania swoich talentów i umiejętności pod kierunkiem mistrzów.** Jeżeli uniwersytet zaniedba starania o to, aby pozyskać mistrzów i by adepci mogli korzystać z ich wiedzy i osobowości, sam będzie musiał zwrócić się w stronę loterii i telefoniady. Lecz to oznacza kres uniwersytetu. Powiedzmy także, iż zagraża to również demokratycznym praktykom społecznym, w sytuacji bowiem, w której długotrwały wysiłek zostaje zastąpiony „łutem szczęścia”, a efekty wieloletniej pracy — grą stóp zysku oraz indeksów giełdowych, niknie poczucie niezbędności trwałych zobowiązań i więzów społecznych. „Charakterystyczna dla liberalnej demokracji retoryka praw obywatelskich [...], odpowiedzialności społecznej, minimalnej płacy i jej bezpieczeństwa, równości i sprawiedliwości jest dziwnie nie na miejscu w kraju [USA — T. S.],

w którym zapowiedź demokracji zastąpiono pokusą loterii i wskaźnikiem Dow-Jonesa, wspartymi uporczywym lękiem przed dniem dzisiejszym i głęboko zakorzenionym powszechnym przekonaniem, że przyszłość nie zapowiada nam nic innego poza mdłą wersją teraźniejszości”⁴⁰.

* * *

Gdy politycy deformowali obraz polskiej edukacji, Akademia milczała. Milczenie to miało pewnie wiele przyczyn.

Po pierwsze, było zapewne wyrazem dobrej wiary i aprobaty dla zachodzących zmian: oto powstawały szkoły niepaństwowe, a tym samym ludzie rzetelnie zyskiwali nową płaszczyznę działania, wolną od wielu ograniczeń, które z racji oczywistych właściwe są sferze państwa. Na naszych oczach rodził się ów pluralizm przedsiębiorczych działań, o którym wszyscy marzyli i mówili od lat. Mało kto przypuszczał, że szlachetne zmagania oparte na jasnych regułach zamienia się rychło w wolnoamerykanke.

Po drugie, my wszyscy, których przedstawił na swym rysunku Andrzej Mleczek jako zabiedzonych inteligentów w połatanych paletkach, którzy śnią sen o kulturze śródziemnomorskiej pośród szaroburej mazi rzeczywistości realnego socjalizmu, pozyskiwaliśmy możliwość „zarobienia”. To, co było niedostępne, stawalo się z wolna rzeczywiste; szarość nabierała kolorów, a chudzi nabierali ciała i w sposób dostrzegalny, a czasami nawet wręcz manifestacyjny zaokrąglali się. Oto w ciągu paru lat rysowała się szansa odrobienia, już nie straconego czasu, to bowiem leży poza zasięgiem ludzkich możliwości, ale utraconych pieniędzy i tego, co z ich posiadaniem się łączy — tzw. szans życiowych.

Nie było w tym nic złego. Prócz jednej rzeczy: **politykom zabrakło wyobraźni, aby wtedy, kiedy powstawały nowe, niepaństwowe szkoły, w sposób zdecydowany, może nawet wręcz radykalny zmienić realia płacowe w uczelniach państwowych. Należało tak uczynić nie tylko po to, aby dać do zrozumienia, iż państwu zależy na nauce i edukacji, ale przede wszystkim po to, aby w nowo powstającym modelu życia nie zatriumfowała mentalność chałtury i wyścigu dorabiania się w każdej sytuacji**

⁴⁰ H. A. Giroux: *Public Spaces, Private Lives. Beyond the Culture of Cynicism*. New York, Oxford: Rowman & Littlefield, 2001, s. 58.

i za każdą cenę. Zjawisko to zawsze niebezpieczne, w edukacji, sztuce, nauce — zabójcze, przynosi bowiem zagładę rzetelności pracy, zubaża kontakt nauczyciela z adeptem, zamienia wynagradzające trudności indywidualnego stylu uniwersyteckiej katedry na złudne korzyści powszechnie dostępnej stylistyki estrady. Otwierając nowy rozdział w historii polskiej edukacji, należało jednocześnie zadbać o to, by rozwój jej instytucji odbywał się według jasnych reguł. Nieodzowne były dwa ruchy: radykalne podwyższenie, nawet zwielokrotnienie pensji oraz zwiększenie pensum dydaktycznego. W ten sposób powiększylibyśmy liczbę studentów w szkołach publicznych i jednocześnie ograniczylibyśmy tendencję do powstawania coraz to nowych szkół prywatnych o coraz bardziej wątpliwym poziomie.

Po trzecie, ponieważ nie doszło do owej znaczącej przemiany, wśród narastającej *publicity* na rzecz przedsiębiorczości, jako naczelnej cechy osobowości człowieka, i wzmagającej się presji bogacenia się, jako azy-mutu wszelkich poczynąń jednostki, Akademia stworzyła, lub przynajmniej walczyła o stworzenie, Golema niezliczonej ilości szkół wyższych, Golema który miał wspaniałą cechę obracania w banknoty wszystkiego, czego dotknęły jego palce. To oczywiste, iż twórcy nie uchodzi protestować przeciwko swojemu dziełu, zwłaszcza wtedy, gdy jest ono źródłem jego utrzymania.

Po czwarte, milczenie owo wyniknęło także z poczucia nieczystego sumienia. Akademia nie oponowała po pierwsze dlatego, że sama tworzyła zjawisko mające być przedmiotem jej sprzeciwu i czerpała z niego korzyści, a po wtóre w obrębie samych państwowych szkół wyższych pojawił się student „komercyjny”, fenomen pozwalający uczelni funkcjonować w sytuacji rosnącego *desinterressement* ze strony państwa.

Rzeczywiście, protest musiałby wydawać się nieskuteczny, skoro wystawiony byłby na sztych dziecinnie prosty: to, co ganicie u nas, sami praktykujecie we własnym gronie. Gorzej, prowadziłby w istocie do sytuacji schizofrenicznej, w której profesor *X* nie tylko potępiałby sam siebie za to, iż prowadzi płatne zajęcia w szkole niepaństwowej, ale co więcej — czyniłby to, być może, wróciwszy z wieczornych zajęć, które w swoim uniwersytecie prowadził dla studentów zaocznych wnoszących do finansów jego uczelni około 25% rocznego budżetu. Hipokryzja polityków upamiętniona zapisem art. 70. Konstytucji dopełniła reszty.

Po piąte, Akademia milczała, w jej bowiem gremiach zadziałało prawo Kopernika—Greshama: zaradny profesor finansowego sukcesu wyparł profesora żmudnej i cierpliwej pracy. I tak powoli dopełniało się dzieło triumfu sfery prywatnego powodzenia nad społecznym zobowiązaniem; przymiotnik „prywatna” poprzedzający tyle wyższych uczelni określa wszak nie tylko ich administracyjno-legislacyjno-ekonomiczną strukturę, ale przede wszystkim jest wyrazem ideologii „indywidualnego”, prywatnego sukcesu. Wraz z triumfem zaradności nad rzetelnością, któremu spokojnie przyglądało się Ministerstwo Edukacji Narodowej, dokonujące rejestracji coraz to nowych niepaństwowych szkół wyższych o coraz bardziej wątpliwych rekomendacjach i na coraz wątleszych podstawach, zanikał etos uczonego, nauczyciela, artysty. Zapanowało milczenie. W tej ciszy, do której przerwania nie udaje się namówić nawet luminarzy środowisk naukowych, nikogo nie dziwi już to, że ten sam profesor bywa dziekanem czy dyrektorem instytutu w uniwersytecie, pełniąc zbliżoną funkcję w szkole prywatnej. Zapobiegliwie i konkurencyjnie działa szkoła prywatna, gdzie jest rektorem, prorektorem, dziekanem, a być może szefem takiego samego instytutu, jaki najczęściej „dożywotnio” prowadzi w uniwersytecie.

* * *

Zarówno inflacja tytułów rozmaitych szczebli administracyjnej struktury szkół wyższych (już nikt chyba nie wie, ilu dokładnie mamy w Polsce rektorów), jak i kurczowe trzymanie się swoich stanowisk (w większości szkół prywatnych nie obowiązuje zasada kadencyjności) doprowadziły do nadwyrężenia autorytetu pewnych funkcji uniwersyteckich. Zostały one właściwie w znacznej mierze odarte z autorytetu, to bowiem, co liczy się w nich teraz, to głównie zewnętrzne atrybuty władzy, regalia funkcyjne będące odzwierciedleniem odpowiednio wysokiego wynagrodzenia. Kazimierz Władysław Kumaniecki, prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz w 1922 roku minister oświecenia publicznego, zostawił nam niewielki druk, mało dzisiaj znany, a jednak o uderzającej aktualności. W wydanej w księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie w 1937 roku broszurze *Praecepta Praefecti*, w której przedstawił osobistą wizję pełnienia publicznego urzędu, autor kończył swój wywód rozdziałem poświęconym „moralnemu sensowi

autorytetu". Czytając Kumanieckiego, dostrzegamy, iż we wszystkich sferach życia publicznego, w tym także w szkołach wyższych, nastąpiło znamienne przesunięcie: **wewnętrzna, cicha powaga urzędu ustąpiła przed ostentacyjnym obnoszeniem go po rynku**. Skupiając się nad tajemnicą autorytetu, Kumaniecki przestrzega, że „nie jest to władza, ani żaden z jej zewnętrznych objawów, ani żaden ze środków, którymi się posługuje. Jest to raczej pełna powaga szacunku, wcielona w pewne funkcje służby publicznej i z nich promieniująca na zewnątrz”. Nie możemy nie zauważyć z goryczą, że sposób pełnienia funkcji publicznych w Polsce stał się właściwie już tylko stylem najpierw zabiegania o władzę, a następnie obnoszenia się z nią.

Uniwersytet nie jest wolny od tego schorzenia. Odeszliśmy od wzoru profesora będącego nie tylko urzędnikiem swojej dyscypliny wiedzy, ale przede wszystkim urzędnikiem działającym na rzecz społeczności; wszelkiego rodzaju funkcje pełnione w uczelni stały się przedmiotem nie „piastowania”, lecz „posiadania”. Może dlatego podejrzenie o plagiat nie przeszkadza nikomu w administracyjnej karierze, ba, może stanowić nawet specyficzną rekomendację („patrzcie, daję sobie radę, sprytny”). Kumaniecki w swych rozważaniach nie bez powodu odsyła nas do czasownika „piastować”. Stwierdziwszy, że autorytet moralny polega między innymi na tym, że „publiczna funkcja wchłania do pewnego stopnia prywatnego człowieka, tkwiącego w jej piastunie”, powie wręcz, że marne to czasy, w których publicznie popełniane czyny szpetne usprawiedliwiamy prywatną „porządnością” (historia naszego parlamentu dostarcza aż nadto przykładów takiego postępowania).

Człowiek jest więc „piastunem”, a nie „posiadaczem” funkcji. Bycie „piastunem” oznacza wypełnianie obowiązków z koniecznym nadmiarem ofiarności, nędzny wszak byłby to „piastun”, który swoją opiekę nad dzieckiem (bo takie przecież jest oryginalne znaczenie tego słowa) ograniczyłby ściśle do litery ustnego choćby tylko kontraktu. „Piastować” to troszczyć się o kogoś z odsunięciem siebie na plan daleki. „Posiadanie”, w którym wydobywam przede wszystkim siebie, musi stać w opozycji do „piastowania”.

Ewolucja przebiegająca jednak w odwrotnym kierunku, mnożąc — także w szkołach wyższych — przykłady „posiadania”, a nie „piastowania” urzędu, znalazła odbicie w stanie języka. Znamienne, że *Słownik języka polskiego* odnotowuje czasownik „piastować” w znaczeniu

otaczania troską już tylko jako „książkowy”, czyli rażący swoją zamierchłością. Pozostało już tylko „piastowanie” w znaczeniu sprawowania urzędu, a nie językowa, która połączyłaby „urząd” z „troską”, „mnie” z „drugim”, została już przecięta. **Uniwersytet musi odnaleźć w sobie siłę, aby odtworzyć dar troszczenia się i tak też kształtować swoich studentów, aby potrafili pełnić swoje obowiązki w owym „książkowym” znaczeniu „piastowania”.**

* * *

Już tylko milczeniem możemy skwitować fakt, że ludzie wykształceni i obcy w świecie akceptują sytuację odpowiadającą mniej więcej takiej, w której możliwe byłoby zajmowanie kierowniczego stanowiska na przykład w Pepsi-Coli i w Coca-Coli równocześnie, albo jednocześnie trenowanie w tym samym sezonie Realu Madryt i Barcelony. Uniwersytety znalazły się na rozdrożu między wiernością swojej misji (czego żąda od nich społeczeństwo, dając wyraz swoim zawodowym i życiowym aspiracjom wyznaczonym standardami europejskości) a narastającą koniecznością zachowywania się jak każda inna firma funkcjonująca na rynku (czego wymaga państwo sukcesywnie obniżające dotacje na naukę i edukację). Niezależnie jednak od tego, w którą stronę popatrzymy, Akademia w Polsce coraz bardziej pogłębia kryzys, w którym przyszło jej się znaleźć. W wypełnianiu misji uczonego i mistrza przeszkadza — po przekroczeniu pewnych zdroworozsądkowych granic — zwielokrotnione zatrudnienie; identyfikowanie się z zachowaniem rynkowym w istocie rzeczy utrudnia zapal neofity i zachwyty, z jakim oddaliśmy się rynkowemu grom edukacyjnym. Tak ochoczo bowiem skorzystaliśmy z możliwości urynkowania edukacji, że zapominamy o regułach, jakie z owego urynkowania wypływają. Przypomnijmy, iż gdyby skrupulatnie zastosować zasady wytyczające horyzont uczciwej konkurencyjności, znaczna część Akademii znalazłaby się w kłopotcie: jej uwikłanie w działalność szkół prywatnych kształcących na tych samych kierunkach, w których koledzy zaangażowani są w macierzystych uniwersytetach, mogłoby podpaść w konflikt z pryncypiami prawa. Nie jest moim zadaniem szczegółowa analiza stanu prawnego; przedmiot niniejszych rozważań stanowi raczej stan ducha środowiska akademickiego. Wiele jednak daje do myślenia umieszczona w ramce z adnotacją „ważne” opinia, którą

znajduję w dwutygodniku „Ubezpieczenia i Prawo Pracy” (nr 2 z 10 stycznia 2002 roku): „**Ważne:** Z powyższych orzeczeń wynika, że działalność konkurencyjna prowadzona przez pracownika może stanowić uzasadnioną podstawę wypowiedzenia, jeżeli może zagrozić interesom pracodawcy i stanowi naruszenie obowiązków pracowniczych”.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że znaczna część środowisk akademickich dąży do wykorzystania wszelkich ekonomicznych możliwości tkwiących w aktualnej sytuacji, wszelako czując się zwolnioną z respektowania zasad regulujących grę prowadzoną w tej rzeczywistości. To, co słusznie pisze Leszek Kołakowski na temat naszej postawy wobec świata, a mianowicie, iż „jesteśmy w fazie żarłoczności nieposkromionej. Może starczy nam mądrości, by wiedzieć, że jest to choroba, chociaż lekarstwa nie znamy. Jeśli jednak nam tej mądrości nie starczy, może to być choroba śmiertelna”⁴¹ — jest także prawdą w odniesieniu do profesji akademickiej.

* * *

Kultura podejmowania decyzji w uniwersytecie jest zasadniczo odmienna od tej kultury, która charakteryzowała tradycyjnie uniwersytet. Dawniej była to kultura oparta głównie na dobrze ustalonych w profesji akademickiej przekonaniach, kanonach, kierunkach działania. Dzisiaj te same elementy wchodzą oczywiście również w grę, ale poprzedzone są oceanem kwestii ekonomicznych i jakby w nim zanurzone; kwestii, które poprzednio mogły być drugorzędne. Innymi słowy, aura debaty decyzyjnej jest aurą ekonomii. Nie krytykuję tego stanu rzeczy, przeciwnie — rozumiem go doskonale; ale nie mogę powstrzymać się od zapytania, czy dominacja owej aury nie wyparła wszelkich innych czynników uniwersyteckiej „pogody” na zbyt odległy plan. Nie wiem, czy słynna tabliczka Billa Clintona z napisem: *It's the economy, stupid!*, nie strzaskała, mimo swych niewielkich wymiarów, innych tablic z innymi napisami, o których uniwersytet winien pamiętać.

Być może, pierwszy rodzaj konkurencji, o którym tu mówimy, jest tyleż rzeczywisty (szkoły istotnie zaczynają zalecać się do studentów),

⁴¹ L. Kołakowski: *Niepokój wieku naszego*. „Gazeta Wyborcza” z 2—3 lutego 2002, s. 7.

co absurdalnie iluzoryczny (czyż można konkurować z samym sobą?). Jedno jest pewne: **milczenie Akademii nie jest dowodem jej zdrowia, wręcz przeciwnie — stanowi symptom groźnej choroby**. Być może, rzeczywistość jest formą pokusy; ulegnięcie jej może się okazać koniecznością, a nawet potrzebą, ale niezbędne jest ustalenie granic owej uległości. Choroba świata akademickiego polega na stracie zmysłu rozpoznawania owej granicy. Idąc śladem MacIntyre'a, powiedzielibyśmy, iż tendencja do zamazywania granic, a tym samym — do utraty miary, odwzorowuje losy greckiego pojęcia *pleonasia*, które oznaczając w starożytności nacechowane ujemnie gromadzenie przedmiotów konsumpcji, zachowało dzisiaj swoje brzmienie, lecz zmieniło etyczny wektor. Ponieważ z punktu widzenia nowoczesnego indywidualizmu gromadzenie dóbr nie stanowi przedmiotu krytyki, przeto dzisiaj „zanika z wolna przekonanie, że zawsze chcieć czegoś więcej *simpliciter*, czyli gromadzenie dóbr jako takie, może być występkiem”⁴². Akademia zaakceptowała nie tylko ogólną tendencję do bogacenia się (w tym nie ma nic złego), ale także przyzwoliła na niepodnoszenie jakichkolwiek pytań na temat mechanizmów spełniania się owej tendencji. Także w środowiskach akademickich trwa mniej lub bardziej ukryta konkurencja między kolegami porównującymi swój stan posiadania i aktualnie zajmowane stanowiska. Wobec tej tendencji do gromadzenia i kumulowania aktualne staje się zarówno pytanie, jak i wątpliwość Schopenhauera, który sceptycznie spoglądając na zawartość naukowych sądów („Prawdy autentycznej i wytrzymującej próbę czasu, niezniszczalnej, jest we wszelkiej wiedzy zawsze mało [...]”), jednocześnie opowiadał się za własnością mierzoną nie tyle rozległością dóbr, ile ich jakością: „Może znajdują się tacy, co wraz ze mną przedłożą własność pewną nad własność znaczną — odrobinę pozostałego w tyglu złota nad wielką masę, która rozmywa się w czasie płukania”⁴³.

Jest to sytuacja niedobra, oznacza bowiem kryzys etosu uniwersyteckiego, pozwalający wyjaśnić osłabienie czy wręcz wycofywanie się elit inteligenckich zastępowanych koteriami, układami rodzinnymi i salonami towarzysko-politycznymi. Wyższość tych ostatnich polega zresztą także na nieporównanie wyższym stopniu atrakcyjności medialnej, co

⁴² A. MacIntyre: *Dziedzictwo cnoty. Studium z teorii moralności*. Przeł. A. Chmielewski. Warszawa: PWN, 1996, s. 254.

⁴³ A. Schopenhauer: *O podstawie moralności...*, s. 12.

łatwo zauważyć, wertując popularne magazyny pełne fotograficznych reportaży z przeróżnych gali i rautów, na których panie ścigają się w długości futer, a panowie w wykwinności garniturów i nazwiskach ich projektantów. „Salon” ma nad nowocześnie rozumianą inteligencją elitą także tę przewagę, że stanowi właśnie pewną „okazję”, konkretną okoliczność dającą się ogarnąć jednym spojrzeniem kamery, mieszczącą się w rozmiarach reporterskiego doniesienia ubarwionego fotografią. Inteligencja natomiast jest „rozproszona”; wykazuje mniejszą chęć gromadzenia się „z okazji”, nie jest widowiskowa, gdyż dotąd jej życiem były dysputy prasowe, artykuły odpowiadające na inne artykuły, polemiki i debaty, czyli wydarzenia, którym odmówiona została łaska pojęcia opartego na tak zwanym szybkim „rzucie oka”. **Elita inteligencka wykruszyła się także dlatego, że w świecie, w którym funkcję hegemonu sprawują media narzucające model szybkiej i powierzchownej konsumpcji, poddanej władzy nie uważnego spojrzenia, lecz „rzutu oka”, następujący w zupełnie innym rytmie wywód intelektualny stracił wszelką atrakcyjność.** Świat turboprofesorów (jak we Francji nazywają zatrudnionych w kilku miejscach akademików) jest już światem „salonu”, co najwyżej telewizyjnego programu, a nie intelektualnej debaty, nie „lektury”, lecz „wertowania stron”.

Z ciekawych danych wynikających z badań, jakie przeprowadzono w Australii, wynika, że etos uniwersytecki zajmuje najniższe miejsce w ocenie aktualnej sytuacji profesji akademickiej. Na pytanie, które z elementów profesji oceniają „wysoko” lub „bardzo wysoko”, morale, wymienione przez 22% odpowiadających akademików, uplasowało się najniżej. Co więcej, lojalność wobec instytucji ulokowała się również nisko, zyskując ledwie 25,5% wskazań⁴⁴. Mamy więc wybór: albo profesorowie i inni pracownicy nauki formułują swoje odpowiedzi z żalem („szkoda, że tak jest”, „dawniej było inaczej”), albo też konstatują oni istnienie nowej rzeczywistości, w której dawne pryncypia przestają obowiązywać („teraz etos istotnie znaczy już niewiele, i tak jest, i być powinno”). Jeżeli spojrzymy na aktywności zawodowe stawiane przez członków gildii wysoko, bardziej prawdopodobne stanie się drugie przypuszczenie. 62,8% i 63,1% wskazań uzyskały akademickie standardy

⁴⁴ G. Harman: *Academics and Institutional Differentiation in Australian Higher Education. „Higher Education Policy”* 2001, vol. 14, s. 335.

kształcenia i jakość nauczania, profesja zatem, godząc się z wyraźnym osłabieniem roli morale własnego środowiska, jednocześnie podtrzymuje wysoką rangę profesjonalizmu czynności edukacyjnych.

O ile dawniej dobry nauczyciel budował swój autorytet nie tylko na doskonałości wiedzy i fachowości w jej przekazywaniu, lecz także na sposobie życia i działalności publicznej, o tyle dzisiaj zauważamy powiększające się pęknięcie między tymi dwoma dziedzinami. Wyniki autooceny dokonanej przez Akademię wskazują, że nastąpił w niej wyraźny przełom polegający na odcięciu doskonałości zawodowej od norm etosu. Środowisko akademickie opowiedziało się za „profesjonalizacją” i czysto „sprawnościową” wizją swego zawodu. Mówimy więc o sobie „dobry”, rozumiejąc pod tym określeniem jedynie akademicką sprawność oraz techniczną umiejętność przekazu właściwą nie tyle nauczycielowi, ile ekspertowi. **Profesor, niczym opisany przez Alasdaira MacIntyre’a menedżer⁴⁵, coraz częściej opiera swój autorytet (faktyczny lub domniemany) na przekonaniu, że działa i porusza się w środowisku moralnie obojętnych faktów, oraz na podejrzeniu, że wszelkie odesłanie się do tego, co moralne, narazi go na zarzuty naiwności, nienowoczesności, a w konsekwencji wyeliminuje z uprawianej przez państwo i instytucje gry, w której stawką są korzyści i beneficja.**

Owo rozbicie semantyczne przymiotnika „dobry”, który nie tylko odnosi się do różnych sfer naszej działalności i nie obejmuje sobą sfery naszych zachowań publicznych czy „wspólnościowych”, lecz także sugeruje możliwą lub nawet wręcz pożądaną sytuację, w której jesteśmy „dobrym” ekspertem/fachowcem/menedżerem, lecz marnym obywatelem, jest spełnieniem marzenia Oświecenia, które wyśniło sobie rozwód nauki i etyki. Sposób mojego postępowania i traktowania innych nie wiąże się już niczym z decyzjami, jakie podejmuję jako osoba oficjalna wypełniająca swoją funkcję. Mówiąc inaczej, nie udzielam się, skąpię swojego czasu i wiedzy, nie odślaniam kulis swojego rozumowania, przestaję być Mistrzem, zostaję ekspertem, skutecznym fachowcem. Ale to oznacza również, że wycofuję się ze sfery publicznej, rezygnuję z czynnej roli w życiu społeczności.

Taki model nauczyciela i studenta (ten ostatni bowiem zmierza również do ideału eksperta/fachowca/specjalisty) utrudnia w istocie

⁴⁵ A. MacIntyre: *Dziedzictwo cnoty...*, s. 148—154.

partycypowanie w kulturze, ponieważ wprowadza zamieszanie polegające na podstawieniu kultury firmy w miejsce kultury jako zasobu wartości, z którego mam korzystać, aby wzbogacić siebie, przy czym muszą to czynić tak, aby jednocześnie odnawiać zasoby kultury, z których zaczerpnąłem. Mój zysk powinien mieć także w jakimś stopniu wymiar i zasięg wspólnotowy; to, co dobre wyłącznie dla mnie i „mojej” firmy, najczęściej nie przynosi pożytku społeczności.

Przyjąwszy model uniwersytetu, którego wzorem kształcenia jest ekspert/specjalista, bierzemy na siebie ryzyko stworzenia społeczeństwa, które kulturowo będzie pozbawione siły. Cornelius Castoriadis pokazał dobitnie⁴⁶, iż społeczeństwo, które popadłszy — wbrew pozorom zabieganiu poszczególnych jednostek noszącemu wszelkie znamiona euforii — w stan apatii, nierozważnie powierza bez reszty sferę publiczną władaniu „zawodowych”, „fachowych” polityków, czyni to dlatego, że uprzednio zaniknęły mechanizmy pobudzające aktywność publiczną obywateli, w efekcie czego stali się oni, jako wyizolowane jednostki, oddane wyłącznie pościgowi za własnym sukcesem, ubezwłasnowolnionymi przedmiotami działania „ekspertów”. W demokracji bowiem nie chodzi o same formalne procedury głosowania (z których znaczna część społeczeństwa nie korzysta z powodu niewiedzy lub bezwolności), lecz o skuteczność i siłę oddziaływania sfery znaczeń społecznej wyobraźni (*social imaginary significations*) na nasze życie codzienne. Ta zaś kształtuje się tylko w procesie odpowiednio szerokiej w swych horyzontach edukacji. Gdy zadaniem uniwersytetu stanie się jedynie wyuczenie specjalisty/eksperta/fachowca obojętnego na potrzeby etyki solidarności publicznej, bezpowrotnie zubożymy sferę tego, co w kręgu społecznej mitologii jawi się jako ważne i istotne dla człowieka. Zredukujemy zarazem to, co dla demokracji jest niezbędne: możliwość kompetentnego, odpowiedzialnego (a więc niepowodowanego partyjnym interesem, lecz poczuciem rzetelności wobec społeczności) krytycznego komentarza otwierającego sposobność do modyfikacji rzeczywistości. Zadaniem edukacji jest kształcić tak, aby otwierać adeptom możliwości nie samego korzystania z mechanizmów rynku, ale przede wszystkim krytycznego ich rozumienia i modyfikowania. W ten bowiem sposób uniwersytet

⁴⁶ Patrz np. C. Castoriadis: *The World in Fragments*. Przekł. ang. D. Curtis. Stanford: Stanford University Press, 1997.

przyczynia się walenie do osłaniania zasad demokracji opierających się na przeświadczeniu, iż „kultury rynku, moralności rynku, mentalne przekonania rynku rozbijają wspólnotę, przyczyniając się do erozji społeczeństwa obywatelskiego”⁴⁷.

Tak więc, głośno reklamowane jako standard nowoczesności i powodzenia siła nabywcza i moc osobistej kariery dyskontowane będą przeżywaną w milczeniu depresją jałowości i brakiem uczestnictwa. Przestrzegał przed tym Wittgenstein, dla którego współczesna kultura była jedynie „widowiskiem tłumy, podczas którego najlepsi dążą tylko do celów prywatnych”: „Kultura jest niczym wielka organizacja, wskazująca każdemu, kto do niej należy, miejsce, w którym może on pracować zgodnie z duchem całości, a jego siły słusznie mierzy się wkładem, jaki zdoła do tej całości wnieść”⁴⁸.

W istocie bowiem poczucie kryzysu towarzyszące dzisiaj uniwersytetowi, a wynikające z upowszechniającego się ruchu od „wykształcenia” (*education*) do „nabywania umiejętności” (*training*) jest doznaniem braku uczestnictwa opartego z jednej strony na rozpoznaniu reguł panujących w danej rzeczywistości, a z drugiej — na satysfakcji płynącej z ich twórczej i krytycznej oceny i modyfikacji. Mówiąc jeszcze inaczej, jesteśmy świadkami zmagania się uczonych, nauczycieli i studentów z doskwierającą im potrzebą wspólnoty w spełnianiu pewnej misji i z pokusą całkowitego ulegnięcia pokusom świata regulowanego zasadą konsumpcji. Człowiek uniwersytetu nie wie dzisiaj, czy ma — jak ufam, wciąż chciałby — utożsamiać się z człowiekiem pewnych wspólnotowych ideałów, czy też (a w tę stronę popycha go presja otoczenia) ze skrajnie zindywidualizowaną, „sprywatyzowaną” osobą definiującą się głównie przez pryzmat asortymentu dóbr, z których korzysta. Dylemat: „uniwersytet czy korporacja” stanowi ważny przyczynek do obrazu współczesności, odzwierciedla bowiem również wątpliwości dotyczące kształtu dzisiejszej demokracji; tego, czy jest ona istotnie krytycznym udzielaniem się na rzecz dobra publicznego, czy też jedynie (a patrząc na ewolucję polskiego życia politycznego, takie podejrzenie coraz bardziej staje się pewnością) wygodną kulisą zasłaniającą skrzętne i bezkrytyczne zabiegi o dobro prywatne. Henry Giroux dotyka istoty problemu:

⁴⁷ C. West: *America's Three-Fold Crisis*. „Tikkun”, 9 February, s. 41—44.

⁴⁸ L. Wittgenstein: *Uwagi o religii i etyce*. Przeł. M. Kawecka, W. Sady, W. Walentukiewicz. Kraków: Znak, 1995, s. 114.

„W obrębie języka i wyobrażeń związanych z kulturą korporacyjną bycie obywatelem ukazywane jest jako rzecz całkowicie oddana pragnieniom jednostki, rzecz, której celem jest powołanie do życia rywalizujących z sobą egoistycznych jednostek, zabiegających o swe własne materialne i ideologiczne korzyści. Redefiniując sprawy społeczne jako wyłącznie dotyczące się jednostek i kwestii ekonomicznych, działanie kultury korporacyjnej zmierza przede wszystkim do unieważnienia demokratycznych impulsów i praktyk społeczeństwa obywatelskiego przez ich dyskredytowanie lub wciągnięcie ich w obieg logiki rynku. Tracąc wymiar politycznej debaty, kultura w modelu korporacyjnym staje się wszechogarniającym horyzontem, w którego obrębie wytwarza się wartości, zachowania i produkty na użytek rynku. W retoryce tej sfery oznacza to, iż godne życie »kształtowane jest według naszej tożsamości jako konsumentów — jesteśmy tym, co kupujemy«⁴⁹».

Nasze zachowania świadczą więc o tym, iż zastanawiamy się, czy jako nauczyciele akademicki i uczeni poruszamy się jeszcze w ogóle w sferze publicznej czy też już wyłącznie w kręgu wyborów dyktowanych interesami ekonomicznymi.

* * *

Gdyby przyjąć trafność diagnozy Wittgensteina, należałoby uczynić następny krok i powiedzieć, że obecnie kultura szkoły wyższej jest bliższa kulturze korporacyjnej niż wspólnościowej, tzn. **inteligenta wkraczającego w mury uniwersytetu będą uczyli ludzie, którzy sami widzą się już głównie w roli ekspertów, w związku z czym absolwent szkoły wyższej będzie wykazywał co najmniej tę samą, jeśli nie większą tendencję do całkowitego poświęcania uwagi sprawom prywatnego sukcesu, doskonaleniu obszaru zawodowego i powiększaniu mocy oddanych mu korporacji przy coraz większym braku zainteresowania publicznym wymiarem swojej pracy.** Stanley Aronowitz uczy nas w swej książce, iż proces transformacji mentalności człowieka uniwersytetu w mentalność człowieka biznesu był już wyraźnie rozwinięty na początku XX wieku, a jego pierwszym wybitnym krytykiem był nie kto inny jak

⁴⁹ H. A. Giroux: *Vocationalizing Higher Education; Schooling and the Politics of Corporate Culture*. In: *Beyond the Corporate University. Culture and Pedagogy in the New Millenium...*, s. 30.

Thorstein Veblen wytykający takie praktyki, jak zamienianie kursów uniwersyteckich na kursy zawodowe czy nadmierne promowanie tak ważnego dla Ameryki elementu sportu akademickiego. W efekcie owego procesu człowiek wykształcony będzie (dla osobistej kariery lub utrzymania zatrudnienia) wnosił coraz więcej do firmy, która go zatrudnia, lecz coraz mniej — do kultury „całości” ustalającej warunki bytowania społeczności. Posługując się terminem Wittgensteina, powiemy, że „siła kulturowa” owego człowieka będzie niewielka. **Obniżająca się gwałtownie jakość polskiego życia politycznego jest wymownym dowodem wypierania kultury „wspólnotowej” przez kulturę „korporacyjną”.**

* * *

Uprzywilejowywanie tendencji zmierzającej do wylansowania modelu skutecznego eksperta jako wizerunku absolwenta uniwersytetu jest procesem niebezpiecznym także dlatego, że wprowadzając dwoistość w nasze istnienie (z jednej strony obojętny, chłodny fachowiec, z drugiej człowiek moralny — oto swoista nowoczesna wersja Stevensonowskiej opowieści o doktorze Jekyllu i panu Hyde’em), jednocześnie w sposób niedozwolony lansuje uproszczone pojmowanie „naukowości” jako działalności wynikającej wyłącznie z respektowania wypracowanych w danej dyscyplinie — i w dużej mierze wspólnych dla różnych nauk — zasad i reguł prowadzących do osiągania weryfikowalnych rezultatów. W ten sposób nie tylko odcinamy uniwersytet od domeny sztuk pięknych, ale zamykamy go przed uznaniem faktu, że pewne głębokie i kształtujące nasze codzienne życie wnioski płyną z obszarów i działań niepoddających się rygorom wąsko pojętej naukowości. Ucieczka uniwersytetu — jego profesorów i studentów, od kwestii związanych z etyką stanowi po części efekt przyjętego milcząco założenia, iż naukowe jest to, co przynosi kwantyfikowalne rezultaty (książki, publikacje) osiągnięte przy zastosowaniu ustalonych i przyjętych procedur. Zapewne naukoznawcze opisy i ujęcie nauki w gorset algebraicznych algorytmów, choć na swój sposób konieczne (o tym, jak zawodne to mechanizmy, niech świadczy fakt zakłopotania Komitetu Badań Naukowych, który po kilku latach zrezygnował z klasyfikowania wydziałów artystycznych, powołując się na fakt, iż instytucja ma zająć się „nauką”,

a nie „sztuką”), odegrały także rolę w obniżaniu się prestiżu spraw związanych z etosem profesji.

Tymczasem sprawy etyki pozostają właśnie w owej sferze *ubi leones*, do której nauka zagląda niechętnie, a przecież to właśnie etyka kształtuje praktyczną stronę naszego postępowania. Skoro Wittgenstein utrzymuje, że „filozofia może być tylko poezją”⁵⁰, nie obniża przez to jej naukowego wymiaru, lecz przenosi go na inny poziom, którego ekspert/fachowiec nie będzie na ogół chciał dostrzec i zaakceptować. Oddajmy głos filozofowi, który tak ujmuje to zagadnienie: „[...] gdyby człowiek mógł napisać książkę o Etyce, która naprawdę byłaby książką o Etyce, to z hukiem zniszczyłaby ona wszystkie inne książki na świecie. Nasze słowa użyte tak, jak używamy ich w nauce, są naczyniami zdolnymi pomieścić i przekazać znaczenie i sens, naturalne znaczenie i sens. Etyka, jeśli jest czymkolwiek, to jest ponadnaturalna, nasze słowa zaś będą jedynie wyrażać fakty, tak jak filiżanka pomieści tylko określoną ilość wody, choćbym wylał na nią kilka litrów”⁵¹.

Uniwersytet ekspertów i dla kształcenia ekspertów powołany nie będzie się więc zajmował etyką, gdyż jest ona „ponadnaturalna”, co oznacza, że słowa mają jedynie moc aproksymacyjną, a nie konkwistadorską, lecz przede wszystkim dlatego, że do końca nie wiemy, **czym** jest etyka, a jak wiadomo, warunkiem podstawowym pojawienia się eksperta jest ściśle określenie jego specjalności (najczęściej humorystycznie zbyt ściśle. W jednym z programów niezrównanego Monty’ego Pythona pojawiła się karykatura owej tendencji do precyzowania rygorystycznych kategorii eksperckich w życiu biurowym, przyjmując postać propozycji powołania ministra do spraw biegania parami po schodach czy ministerium wciskania się między fotel a ścianę). Nie można być skutecznym fachowcem od nie wiadomo czego. Uniwersytet, jego nauka i kształcenie, winien więc, dbając o ścisłość naukowych procedur, bronić także poglądu, iż słowa, wzory, wykresy, komputerowe symulacje to jedynie pojemniki o ograniczonej pojemności, przez które wciąż w sposób dla nas niedostrzegalny „przelewają się” dalsze informacje i sensory. Uniwersytet winien bronić tego poglądu i praktyki z niego wynikającej, a uprawianej przez różne dyscypliny nauki i sztuki.

⁵⁰ L. Wittgenstein: *Uwagi o religii i etyce...*, s. 134.

⁵¹ Ibidem, s. 79.

Drugi rodzaj konkurencyjności polega na ścieraniu się wewnątrz uniwersytetu rozmaitych punktów widzenia na jego teraźniejszość i przyszłość. Jest to zmaganie się nie tyle z innymi instytucjami o podobnym charakterze, ile przypatrywanie się instytucjom odmiennym od samej uczelni, mającej inną specyfikę, historię, profil działania. Spłycilibyśmy pytanie, „czy uniwersytet jest dzisiaj konkurencyjny?“, gdybyśmy sprowadzili je wyłącznie do pola edukacji i nauki. Uniwersytet obserwuje to, co dzieje się w gospodarce, ekonomii, społeczeństwie, polityce, i chciałby widzieć się w tym świecie, często na początek niezrozumiałym, jako byt „konkurencyjny“, co w naszym rozumieniu oznacza — taki, który zachowuje swoją atrakcyjność dla rozmaitego rodzaju uczestników życia publicznego. Można powiedzieć tak: gdy tradycyjnie uniwersytet zawdzięczał swój status swojej postulowanej niezmienności wynikającej z działania jakby „obok” i „mimo” rzeczywistości (co tłumaczy zarówno słuszny kult badań podstawowych, a więc wolnych od wszelkiego „zamówienia“, jak i anegdotyczne zjawiska oryginalności, a nawet ekscentryczności uniwersyteckich profesorów), dzisiaj chciałby nie tylko w zmianach uczestniczyć, ale nawet je przewidzieć i ubiec. Czy zatem uniwersytet wychyli się dostojnie w stronę wielkiej, nieruchomej przeszłości i obroni się skutecznie tym spojrzeniem, czy też wda się w grę z niepewną, ruchliwą przyszłością?

Osobiście jestem przekonany o owocności tej drugiej postawy, pozostanie bowiem wyłącznie w kręgu „teraz” nie wystarcza. Partnerstwa z samorządami, instytucjami, firmami świadczą o tym, iż uniwersytet winien włączyć się w konstruowanie obrazu przyszłości i jednocześnie wiedzieć, że tego rodzaju partnerstwo jest trudnym ćwiczeniem w modyfikowaniu jego własnych przyzwyczajęń i upodobań. Uniwersytet koncentruje się dzisiaj na próbach komunikowania się ze światem, a zabiegi owe opierają się na sztuce czasem powolnego i żmudnego przekonywania innych do siebie oraz samego siebie do racji i motywów drugiej strony dialogu. **Uniwersytet zapatrzony w siebie i we własne racje ustąpił miejsca uniwersytetowi uważnie analizującemu argumenty i postulatory świata.** Ale uniwersytet nie powinien zatracić się bez reszty w zmieniającej się rzeczywistości, nie może stać się drewnikiem unoszonym biernie przez żywioł wodnego wiru. Dlatego przy

całej elastyczności swojej postawy uniwersytet również komunikuje światu swoje wartości, z których płynie obowiązek komentowania spraw publicznych, zabierania głosu w kwestiach stanowiących materię, poruszającą społeczność. Uniwersytet aktywny, uniwersytet zaangażowania publicznego winien więc konkurować z uniwersytetem biernej konsumpcji polegającej na zbieraniu owoców tego, co jest. Uniwersytet pychy i zadufania (wciąż wiele tych cech w samym uniwersytecie) z uniwersytetem pokory. Gdy czytamy uwagi Schopenhauera o specyfice pracy intelektualnej, odległej rzekomo od „kurzu i zgiełku”, odważamy się wytknąć Filozofowi błąd. Píše Schopenhauer: „[...] jesteśmy tu w miejscu jak najbardziej oddalonym od miejsc publicznych, gdzie ludzie poruszają się i pracują w kurzu i zgiełku; że jesteśmy w schronieniu, gdzie panuje głębokie milczenie, w sanktuarium Akademii, do którego nie dochodzi z zewnątrz żaden hałas i gdzie żadne bóstwo nie ma ołtarzy, prócz nagiej, majestatycznej prawdy”⁵². Rzecz jednak w tym, że uniwersytet musi dzisiaj być i jednym, i drugim; miejscem, „gdzie nie dochodzi żaden hałas”, i jednocześnie domeną, w której wyraźnie rozbrzmiewają głosy dochodzące z otoczenia.

James Duderstadt, dokonawszy przeglądu wszelkich instancji podejmujących ze swego punktu widzenia krytykę uniwersytetu, konkluduje, iż najpoważniejszym i najgroźniejszym z wszystkich zarzutów kierowanych w stronę uczelni przez społeczeństwo znajdujące się w stanie kryzysu jest ten, że dostrzega się w uniwersytecie „wahanie i niechęć do sprostania wyzwaniu i wymogom zmiany”. Choć amerykański autor, były rektor University of Michigan, mówi jedynie o „zniechęconym” społeczeństwie (*frustrated society*), zapewne trafniej jest mówić o społeczeństwie w stanie permanentnego kryzysu, ponieważ konieczność zmian obejmuje w istocie wszelkie poziomy życia. Píše o tym sam: „Gwałtownie ewoluujący świat wymaga zmian większości, a może nawet wszystkich instytucji działających w społeczeństwie. Korporacje zostały poddane restrukturyzacji i przebudowie. Po to, by uczynić je bardziej sprawnymi, dokonuje się przeglądu konstrukcji i zmniejszenia składu osobowego rządu i innych instytucji publicznych. W coraz większym stopniu każdy człowiek z rosnącą niepewnością staje w obliczu przyszłości zarówno w swoim miejscu

⁵² A. Schopenhauer: *O podstawie moralności...*, s. 10.

pracy, jak i w domu, i rodzinie. W świecie wciąż gęstniejącej siatki wzajemnych powiązań państwo narodowe traci na znaczeniu”⁵³. Przed uniwersytetem staje zadanie reagowania na szybko transformującą rzeczywistość, ale jednocześnie musi on zarówno chronić swoją autonomię, jak i znaleźć sposób działania w sytuacji rosnącej wewnętrznej niepewności jego adeptów. Byłoby niedobrze, gdyby uniwersytet, skupiając się na sprostaniu wezwaniu dopasowania się do nowych potrzeb coraz bardziej korporacyjnej natury świata publicznego, nie postawił sobie pytania: „Co możemy uczynić dla człowieka głęboko dotkniętego niepewnością swojej przyszłości?”. Uniwersytet musi odnaleźć własną drogę rozwoju, po której poruszając się, byłby w stanie ocalić swoją tożsamość, jednak ocalenie to nie może przybrać postaci aroganckiego odwrócenia się plecami do rzeczywistości, lecz przeciwnie — musi zarówno uwzględnić jej potrzeby, jak i starać się złagodzić lęk jednostki przed oczekującą ją przyszłością.

Kłopot polega na tym, iż są to zadania wewnętrznie z sobą kolidujące. Broniąc prawa do prowadzenia badań podstawowych, uniwersytet musi się wyłamać spod praw rynku głoszących bezwzględne pierwszeństwo zasady zysku, nasuwającej niebezpieczną pokusę sprzyjania rozwojowi jedynie tak zwanych rynkowych kierunków studiów. To pierwsza kolizja: postrzegając generalny kierunek ewolucji rzeczywistości, uniwersytet musi w pewnym momencie oddalić się od tej marszruty. Otwierając możliwość studiowania coraz szerszym kręgom młodzieży (i nie tylko młodzieży, bo jest już zjawiskiem powszechnym, że „student” utracił swoją precyzyjnie oznaczoną „czasowość”; dzięki temu gościmy dziś w swoich murach studentów trzydziesto- i czterdziestoletnich, bujnie rozwija się uniwersytet trzeciego wieku, a Stanley Aronowitz dedykował swoją wspomnianą już w tym eseju książkę swojej matce, która otrzymała dyplom licencjata City University of New York, mając lat 74), uniwersytet bez wątpienia sprzyja lepszemu jej wyposażeniu na starcie drogi zawodowej, ale jednocześnie pojawiające się rzesze dyplomantów czynią rynek pracy bardziej konkurencyjnym, a więc na swój sposób „utrudniają” znalezienie pożądanego zatrudnienia. To druga kolizja: spełniając marzenie o wykształceniu jako najlepszym wyposażeniu życiowym, uczelnie, zagęszczając rynek pracy, poniekąd

⁵³ J. Duderstadt: *QA University for the 21st Century...*, s. 37.

sprawiają, iż marzenie owo spełnia się trudniej, niżbyśmy wszyscy sobie życzyli. Tym samym otwierają się drzwi przed „niepewnością” i „brakiem perspektyw”, na które uskarżają się studenci.

Problem jest trudny, a jego rozwiązanie nie może polegać ani na ograniczaniu naboru na studia, ani na negowaniu przez uniwersytet potrzeb społecznych. Są dwa obszary, w których należałoby poszukiwać rozwiązania, a przynajmniej złagodzenia wymienionych kolizji. Przede wszystkim rozwijająca się gospodarka powinna zapewnić nowe miejsca pracy, natomiast porządkujące się procedury działania sfer gospodarczych powinny doprowadzić do uformowania się hierarchii uczelni, których dyplomy dawałyby najlepsze szanse zatrudnienia. Zaczątki tego ładu dostrzegamy już dzisiaj, a w miarę krzepnięcia może on stać się naturalnym „filtrem” regulującym status uczelni, w konsekwencji zaś doprowadzającym do wyeliminowania tych, które najslabiej przygotowują studentów do podjęcia obowiązków zawodowych i społecznych. O ile jednak nad tą sferą uniwersytet nie sprawuje kontroli, o tyle drugi obszar znajduje się głównie w jego gestii. Jest to sfera dydaktyki, tego, czego i jak uczymy swoich studentów. Chodzi nie tylko o doskonalenie programów i czynienie ich nowocześniejszymi, nie tylko o nieodwracanie się plecami do nowych, stosowanych z należytą rozwagą technik uczenia, lecz przede wszystkim o to, by uczenie owo swoimi procedurami i praktyką nauczania przeciwdziałało syndromowi „braku możliwości”, a zarazem stymulowało aktywność i zaangażowanie studenta. Nie wdając się w szczegóły, zasygnalizujemy jedynie, że stawką jest tu przesunięcie akcentu z natury monologicznej na podwójnie dialogiczną naturę uczenia. Mówimy o „podwójnej dialogiczności”, gdyż z jednej strony winniśmy podkreślić, że wciąż za rzadko praktykuje się dialogiczny charakter relacji nauczyciel — uczeń, a z drugiej strony — spowodować, by nasze działanie dydaktyczne sprowokowało studenta do tego, by zaprzestał traktować tekst (przez to pojęcie rozumiem tutaj każdy materiał dydaktyczny) jako całkowicie wobec niego zewnętrzny i obojętny, a zaczął odnosić go do swojego życia, swojego systemu znaczeń, ambicji i planów. Giroux nazywa ten rodzaj działania „pedagogiką krytyczną”, objaśniając ją w następujący sposób: „Rozwój zdolności krytycznego myślenia winien służyć studentom do tego, aby mogli odnaleźć swoje własne historie, to znaczy, aby mogli sięgnąć do swoich biografii i hierarchii

znaczeń. Tak więc, pedagogika krytyczna winna stworzyć studentom możliwość przemawiania własnym głosem⁵⁴. W innym miejscu, powołując się na książkę Thomasa Keenana, Giroux pisze, iż taka właśnie postawa daje studentom szansę na przeciwstawienie się zwątpieniu i syndromowi „braku szans”, szansę, którą wiązać należy z dialogiem prowadzonym z Drugim i dialogiem nawiązanym z tekstem. Chodzi tu o „otwarcie się na drugiego człowieka, gotowość do praktykowania »polityki możliwości« dzięki stałemu krytycznemu dialogowi z tekstami, obrazami, wydarzeniami i innymi nośnikami znaczeń w momencie, w którym stają się one przedmiotem działań pedagogicznych”⁵⁵. Pamiętajmy, że choć zadanie praktykowania i propagowania „polityki możliwości” spoczywa na uniwersytecie, jednak wypełnia je on w warunkach konkurencji z innymi szkołami, tym bardziej winien więc dbać o zachowanie swoich cech odrębnych.

* * *

Konkurencyjność, o której teraz mówimy, a z której — chcę wierzyć — wyłoni się zwycięsko uniwersytet otwarty i nasłuchujący, zdolny otrząsnąć się z własnych dogmatyzmów, lecz nie rezygnujący z właściwego mu prawa do twardej opozycji wobec rzeczywistości, wtedy gdy wykracza ona poza zasady etyczności określające to, co młody Hegel nazwał »sprawami, jakich potrzeba człowieczeństwu«⁵⁶, jest efektem rozpoznania, iż uniwersytet czerpie swą mądrość nie z upojenia się przeszłością, lecz z pokory wobec przyszłości. To znaczy ze świadomości faktu, że nie jest sam i nie może w swym działaniu nie dostrzegać realiów świata. W tym sensie uniwersytet mógłby powtórzyć za Proustem, że „tylko wtedy rozporządzamy całym potencjałem naszego umysłu, gdy uświadamiamy sobie, że nie działamy niezależnie i celu naszych dążeń nie wybieramy arbitralnie”⁵⁷.

⁵⁴ H. A. Giroux: *Theory and Resistance in Education: A Pedagogy for the Opposition*. New York: Bergin and Garvey, 1983, s. 203.

⁵⁵ H. A. Giroux: *Public Spaces, Private Lives...*, s. 99.

⁵⁶ G. W. F. Hegel: *Pisma wczesne z filozofii religii*. Przeł. G. Sowiński. Kraków: Znak, 1999, s. 114.

⁵⁷ M. Proust: *John Ruskin*. Przeł. J. Margański. W: M. Proust: *Pamięć i styl*. Wybór oprac. i wstęp W. P. Markowski. Kraków: Znak, 2001, s. 71.

Jest więc naszym pragnieniem określającym przyszłość uniwersytetu, aby był on uczestnikiem wielu społecznych kontaktów i kontraktów, nie tracąc jednocześnie prawa do krytycznej refleksji nad owymi zjawiskami. Uniwersytet jako krytyczny uczestnik w grze społecznych planów i ambicji, zamierzeń i negocjacji nie może się w tej grze zatopić bez reszty. Nie wolno sprawić, by ową „resztą” stało się „milczenie” panujące często w świecie, w którym dzięki rozpowszechnieniu się technik komputerowych następuje proces **dezintermediacji**, zanikania agencji i jednostek pośredniczących między partnerami dialogu czy transakcji. Sklepy coraz częściej są sklepami wirtualnymi, w których nie spotykamy żadnego ekspedienta; nawet edukacja w swojej wersji elektronicznej, zwana nauczaniem na odległość, odbywa się (pozornie, na szczęście) bez pośrednictwa profesora.

Uniwersytet z jednej strony musi wyjść ze swych murów i dyscyplin i przestać korzystać z usług „pośredników”. Odpowiada to duchowi autonomii uczelni: nie potrzeba jej zgody ani pośrednictwa władz centralnych na podejmowanie wielu przedsięwzięć. To nie „resort” ustala nam partnerów i określa warunki współpracy; uniwersytet dokonuje tego sam, często z własnej inicjatywy. Nim Ministerstwo spostrzegło konieczność istnienia szkół wyższych w rejonach szczególnie dotkniętych procesami transformacji gospodarczej (patrz „Gazeta Wyborcza” z 8 marca 2002 roku), uniwersytety i inne uczelnie dawno odpowiedziały na tę potrzebę (Rybnik, Jastrzębie Zdrój). Jest kwestią bardzo istotną, aby bronić autonomii wyższej uczelni przed wciąż widocznymi zakusami centralistycznej mentalności, wedle której jedynie „rząd” winien decydować o lokalnych wydarzeniach.

Z drugiej zaś strony uniwersytet winien dążyć do tego, by stać się swoistym „pośrednikiem”, by w przerośniętym i dosłownie spotykali się w nim ludzie reprezentujący rozmaite rodzaje działalności i zaangażowania. Także, aby student zetknął się ze swym potencjalnym przyszłym pracodawcą, by absolwent, poczuwając się do serdecznej więzi ze swą Alma Mater, mógł wesprzeć ją w jej działalności. **Uniwersytet będzie więc chronił ducha dobrej „mediacji”, rzetelnego pośrednictwa będącego duchem spotkania.** Przedsiębiorczość uniwersytetu mierzy się nie tylko cyframi bilansu, te bowiem bywają zawodne i krótkotrwałe, lecz przede wszystkim gotowością do podjęcia roli pomostu



Jerzy Handermayer *Pejzaż Katowic*
olej



Roman Nowotarski *Dom*
olej/akryl



Roman Nowotarski *Podwórko*
olej/akryl



Jacek Rykała *Podwórko Sielec*
olej/akryl



Jan Szmatoch *Okno*
akwaforta



Maciej Bieniasz *Podwórko*
rysunek/gwasz.



Tomasz Jura i Arleta Guździół *Tradycja i nowoczesność*



Marian Oslislo *Księgi*
grafika komputerowa



Eugeniusz Delceta *Przenikania katowickie*
(akwaforta)



Eugeniusz Delekta *Widok z okna*
(akwaforta)

między rozmaitymi dziedzinami życia społecznego. „Jako wyposażona w pewne normy społeczność, uniwersytet dążący do tego, aby być przedsiębiorczym, jest instytucjonalną wersją społeczeństwa obywatelskiego pośredniczącą między państwem a rynkiem, nie poddającą się przy tym dominacji żadnej ze stron”⁵⁸. Andrzej Kiepas słusznie wprowadza zagadnienie wspomagania aktywności społeczności lokalnych w krąg problematyki odpowiedzialności nauki i techniki. Poszerzenie pola odpowiedzialności tych dziedzin nie tylko „nakłada odpowiednie wymagania na poszczególne podmioty uczestniczące w tym procesie”, wymagania łączenia „kultury technicznej z kulturą polityczną i wrażliwością moralną”, ale konieczne jest także „upodmiotowienie społeczności lokalnych oraz pogłębianie warunków dla rozwoju demokracji uczestniczącej”⁵⁹. Tak więc z racji etycznych, politycznych i ekonomicznych pierwszorzędym partnerem uniwersytetu są uczestnicy lokalnych społeczności. To w dialogu z nimi uniwersytet winien wypracować nie tylko własną przyszłość, ale być głównym partnerem miast, gmin, regionów w kreśleniu wizji ich przyszłości, a następnie w tejże wizji wypełnianiu. Pisząc o relacjach między uniwersytetem a władzą lokalną (*town-gown relationships*), Duderstadt zauważa: „Przypuszczalnie najważniejsze jest to, aby uniwersytet mógł pomagać miastu w kształtowaniu wizji przyszłości. [...] Jest nadzwyczaj istotne, by podtrzymywać sieć relacji i strategicznych wysiłków podejmowanych po to, by wspierać lokalne społeczności. [...] Uniwersytety winny zabiegać o to, aby stać się wzorami zachowania obywatelskiego oraz aby pracować wraz z miejscowymi społecznościami w celu stworzenia w przyszłości jak najlepszej jakości życia”⁶⁰.

* * *

W pewnym sensie „spotkanie” jest — mówiąc dramatycznie — warunkiem przetrwania uniwersytetu. Jednym z zasadniczych problemów, które ujawniły się wraz z rosnącą rolą studiów płątnych w pań-

⁵⁸ B. Clark: *The Entrepreneurial University: New Foundations for Collegiality, Autonomy, and Achievement*. „Higher Education Management” 2001, vol. 13, s. 23.

⁵⁹ A. Kiepas: *Człowiek wobec dylematów filozofii techniki*. Katowice: Gnome 2000, s. 108.

⁶⁰ J. Duderstadt: *A University for the 21st Century...*, s. 59.

stwowym uczelniach, była kwestia jednolitości uczelni. Tożsamości uniwersytetu jako jednej struktury zagrożiło dążenie do coraz silniejszych separatyzmów, zyskujące zwolenników z racji choćby „twardości” kryteriów, jakimi kierowano się przy doborze argumentacji na rzecz takiej koncepcji. W grę wchodziły bowiem już nie ulotne i nieporównywalne sprawy związane z jakością dorobku naukowego czy dydaktycznego zawsze będące zaczynem niekończącej się dyskusji i utyskiwań. Tym razem przemawiały wyłącznie cyfry, w dodatku często ubrane w retorykę neoliberalnej ekonomii: oto „sprawni” i „rynkowi” „wnosili swój wkład”, a nawet wręcz „utrzymywali” „nierynkowych” i, o zgrozo, „niezaradnych” lub „samiych sobie winnych”. Jednym z najbardziej przykrych doświadczeń w trakcie sprawowania urzędu było oświadczenie jednego z profesorów wydziałów tak zwanych rynkowych, który w trakcie spotkania komisji budżetowej naszego Uniwersytetu oznajmił, iż „nie będzie utrzymywał fizyków”.

Uniwersytet miał więc dwie drogi: albo stać się luźną federacją całkowicie niezależnych wydziałów, albo wypracować sposób godzenia rozbieżnych interesów. Dla nas nie ulegało wątpliwości, iż właściwą jest ta ostatnia ścieżka, lecz aby móc się nią poruszać, należało wykonać ogromną pracę przygotowawczą i opracować etapy marszu. Nie wnikając w szczegóły, powiedzmy jedynie, że w ciągu kilkunastu miesięcy powstał program reformy sposobu prowadzenia polityki finansowej w Uniwersytecie, mozolnie dopracowano się właściwego wzoru dokumentacji stanowiącej podstawę prac, lecz aby wszystko to mogło okazać się skuteczne, należało przede wszystkim pozyskać dla tych zamierzeń pracowników samego Uniwersytetu.

Organizując trudną do zliczenia ilość spotkań gremiów uniwersyteckich, zdawaliśmy sobie sprawę, że stopień wsparcia naszych zamierzeń zależy od tego, z jakim skutkiem uświadomimy sobie trzy fakty. Po pierwsze, ten, że jeśli poszczególne wydziały szczytą się wysokimi dochodami, wynika to z faktu, że są **wydziałami jednego uniwersytetu**. Wszelka zatem dyskusja o **osobności** i niezależności wydziału musi być poprzedzona skrupulatnym rozważeniem, iż jej źródłem jest **wsobność**, czyli zanurzenie, zakorzenienie w strukturze uniwersytetu. Po drugie, wydziały i wszelkie inne jednostki uczelni dają świadectwo o uniwersytecie, dlatego sposób ich działania musi być zestrojony ze skomplikowanym mechanizmem potrzeb całej szkoły. Ktoś zatem, kto

reprezentuje wydział, nie może, bez dyskredytowania się jako „człowiek uniwersytetu”, zgłosić całkowitej obojętności na to, co dzieje się w całej uczelni. „Dawać świadectwo” w naszym rozumieniu — to nie tyle „heroicznie” i przy użyciu wszelkich środków walczyć o cel swojej grupy interesów po to, aby zniwelować cele, do których zmierzają inni, ile **modyfikować swoje cele tak, aby nie rezygnując z nich, zmniejszyć pole ich kolizji z celami innych**. Po trzecie, czysto ekonomiczna retoryka generowania dochodów musi zostać skorelowana z odrębnym mechanizmem ukazującym stopień udziału poszczególnych wydziałów w tym, co stanowi podstawę funkcjonowania uczelni — dotacji ministerialnej. Dopiero po ustaleniu, jak jednostki organizacyjne uniwersytetu przedstawiają się w owym algorytmie będącym elementarną formułą Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu określenia wysokości dotacji na kolejny rok, trzeba ponownie spojrzeć na bilans przychodów wydziałów.

Należąca już szczęśliwie do przeszłości tendencja do radykalnego separowania się wydziałów od uniwersytetu rodziła się więc z pewnego przemilczenia. Niektóre jednostki zresztą chętnie je przyjmowały: ignorując bowiem to, co stanowi o przyszłości uczelni — siłę naukową kadry czy liczbę studentów dziennych, dwa ważne elementy algorytmu ministerialnego, można było od razu odczytać sumę przychodów wydziału pochodzących z działalności dydaktycznej w błogosławionym a złudnym zapomnieniu, iż zniekształca ona obraz podstawowej rzeczywistości uniwersytetu i opiera się na groźnym dla przyszłości szkoły wyższej przeroście liczby studentów zaocznych oraz jego konsekwencji — na spowalniającym awans naukowy przeprowadzaniu uczonych.

Uświadomienie sobie tych trzech elementów warunkuje to, co stanowi istotę polityki w obrębie uczelni: wzmacnianie i rozszerzanie samodzielności wydziałów z jednoczesną ochroną prawa uniwersytetu do ustalania hierarchii potrzeb i zapewnienie rektorowi środków na ich realizację. Aby zamierzenie takie zostało zaakceptowane, potrzebne są rozmowy i rektor jest tym, który — aby pełnić swój urząd z dobrym dla uczelni skutkiem — mógłby powiedzieć za Gabrielem Marcellem: „Należę do tych, którzy przywiązują niezmierną wagę do spotkań. Są w nich naprawdę istotne dane duchowe [...]”⁶¹.

⁶¹ G. Marcel: *Być i mieć...*, s. 306.

Owe „istotne dane” były przede wszystkim nie tylko „duchowe”: jak powiedzieliśmy, stopniowo gremia zarządzające jednostkami uniwersytetu zapoznawały się z wszystkimi danymi dotyczącymi się wielu aspektów jego działalności i za wiele z nich przejmowały część odpowiedzialności. Ale mówiąc o odpowiedzialności, dotykamy przecież również innej dziedziny owych spotkań, o której Marcel rzekłby, iż była ona „duchowa”. Wartością spotkania jest jego wpływ na to, jak jego uczestnicy postępują, jak dalej kształtują swoje wybory i preferencje; **spotkanie daje do myślenia**. Wszystkie dane przedstawiane w trakcie zebrań komisji senackich czy na posiedzeniach Senatu miały bez wątpienia walor poznawczy, ale jednocześnie wywoływały efekt wrywania z pewnych wygodnych złudzeń, wybijania z utartych stereotypów. Zapatrzonym we własne finansowe przychody wydziałom mówiły: „uzyskujecie je jako uniwersytet, a ten kreowany jest głównie przez tych, których pozycja w algorytmie Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu jest silna” (wydziały „rynkowe” na ogół wypadały słabo na owej fotografii sporządzonej przy użyciu aparatu zwanego algorytmem). Ale pozostaliśmy kolegom komunikowały wyraźnie, iż w coraz wyższym stopniu ich zasobność, możliwość prowadzenia badań, wykonywania remontów zależą od przychodów, jakie uzyskują jednostki prowadzące licznie obsadzone studia zaoczne czy podyplomowe.

Spotkania owe, dając do myślenia, budziły z pewnego odrętwienia, a otwierając pole dla sporów, jednocześnie stwarzały podstawę porozumienia i kompromisu. Co więcej, to w trakcie tych spotkań, często trudnych, a nawet przykrych, można było obserwować, jak powoli odfunkcjonalizowuje się ich uczestnik: przestaje być zamknięty w kręgu czynności i celów odrębnych dla każdego wydziału, natomiast owe cele zaczynają się łączyć we w miarę spójną całość, jak w uniwersytecie zarysowuje się kontur wspólnoty losu. **Był uniwersytetu nie pokrywa się z bytem mojego wydziału; uniwersytet przerasta swoje wydziały** — oto najogólniejsza konkluzja tych spotkań.

Stopień, do jakiego wniosek ten został wyciągnięty, jest stopniem, do jakiego uniwersytet może czuć się bezpieczny. Ponieważ to rozumiem i przyjmuję za *modus vivendi* uniwersytetu, przeto jeżeli nie osiągnąłem wszystkich celów mojego wydziału, jeżeli musiałem z czegoś ustąpić, zrezygnować, **nie traktuję tego jako odmowy, lecz jedynie jako niezbędne wyrzeczenie zapewniające dalsze istnienie tak-**

że mojemu wydziałowi. Stopień, do jakiego świadomość ta upowszechni się pośród zarządzających uniwersytetem, jest stopniem gwarancji jego przyszłości.

* * *

Ten negocjacyjny wymiar rozmowy jest możliwy tak długo, jak długo choćby jedna ze stron nie ucieknie się albo do taktyki ślepego uporu („jestem pewny, że tylko tak ma być”), często uwiarygodnianej w sposób gorszący manipulatywnym posługiwaniem się zbiorowością („chciałbym ustąpić, ale nie mogę, taka bowiem była wola i życzenie rady wydziału”), albo do aktów otwartej wrogości i arogancji. Obie te taktyki są aktami „niegrzeczności”, przy czym w określeniu tym chodzi nam nie o dosłowną poprawność manier (choć i to rzecz niebagatelna), lecz o coś znacznie dla uniwersytetu groźniejszego — o przesunięcie akcentu z wymiaru wspólnotowego, gdzie porozumienie jest kwestią podstawową, na sferę prywatną, w której porozumienie ustępuje całkowicie pola osobistemu sukcesowi. Jeżeli uniwersytet broni „grzeczności”, czyni to dlatego, że oznacza ona przede wszystkim nienużącą się, trudną dyspozycję do porozumienia „na rzecz”, która jest rzeczą wspólną; bycie „grzecznym” w tym znaczeniu, jakie nadaje temu pojęciu uniwersytet, to nic innego, jak bycie „ku rzeczy”, czyli kierowanie się celem wyższym nad moje idiosynkretyczne upodobania. **„Niegrzeczność” wyraża się w bezpardonowym dążeniu do własnych racji w drodze postponowania, usuwania czy wręcz niszczenia racji cudzych, przy czym stawką nie jest względny przynajmniej i możliwy w danych warunkach dobrostan wspólnoty, lecz poczucie własnego triumfu** („musi stanąć na moim”, z wersją poboczną „a nie mówiłem”).

Inna ważna różnica między tymi dwoma pojęciami polega na tym, iż „grzeczność” dopuszcza odrębność sądów i zdań, czyli różnienie się, które wszelako nie kończy się sytuacją „po-różnienia”, czyli powszechnej niezgody na cokolwiek. „Dorzeczność” grzeczności kryje się w jej poszukiwaniu konstruktywnego rozwiązania. „Niedorzeczność” niegrzeczności natomiast zasadza się na tym, iż dąży ona do bezwzględnego zwycięstwa, czyli wymusza poważne „po-różnienie” się, konflikt, tylko bowiem w takiej sytuacji może

być mowa o zwycięzcy, tym, po którego stronie była racja miażdżąca stronę przeciwną.

Mówiąc jeszcze inaczej, „niegrzeczność” jest dlatego tak niebezpieczna, że burzy wszelką wzajemność. Tam bowiem, gdzie miejsce rozmowy zamienia się w plac boju, zwycięzca pozostaje sam na pobjawisku, gdyż **istotą sukcesu jest właśnie brak wzajemności**. Zwycięzcom po to, aby usunąć choćby cień wzajemności, ponieważ zwycięstwo jest jednostronne i nie ma partnera. Sukces ma co prawda „wielu ojców”, lecz każdy z nich uznaje pozostałych za uzurpatorów i samozwańczych bohaterów. Gdy rozmawiający, pragnąc uszanować swoją odrębność, nie stronią od wprowadzania do swoich poglądów zmian i modyfikacji, zwycięzca utwierdza się w swojej postawie i własnej słuszności. Staje się coraz bardziej „taki sam”, żądając, aby inni stali się na jego obraz i podobieństwo. Ponieważ **uniwersytet z założenia i z racji działania wielu dyscyplin naukowych i artystycznych strzeże wielości obrazów świata, ujednolicając mentalność zwycięzcy musi mu być obca**. Pierre Bourdieu słusznie pisze, iż oddanie rzeczywistości w całkowite i niekwestionowane władanie praw logiki rynku grozi triumfem (a jego oznaki są już wyraźnie w Polsce widoczne) „moralnego darwinizmu, który przez kult »zwycięzcy« ustanawia walkę przeciwko wszystkim i cynizm jako dominujące normy naszego codziennego postępowania”⁶².

Zwycięzca nie rozmawia, lecz co najwyżej dzieli łupy i rozdaje beneficja, zmierzając do tego, aby w zamian utwierdzano go w jego słuszności. Tymczasem — jak pisze Józef Tischner — rozmowa i wzajemność jednoczą się w możliwości zmiany: „Rozmawiamy. Znaczy to: ty kwestionujesz mnie, a ja mimo wszystko potwierdzam ciebie w twoim akcie kwestionowania mnie. [...] odpowiadając na twoje pytanie, potwierdzam siebie. [...] Po pytaniu i odpowiedzi nie jesteśmy już tacy sami, jacy byliśmy przedtem. Coś sobie zawdzięczamy”⁶³.

Zwycięzcy obca jest wdzięczność, bo nie zaznał on wzajemności. Niech więc uniwersytet ćwiczy się we wzajemności i nie ustaje w wypracowywaniu poczucia, że oto coś sobie wzajemnie zawdzięczamy. W osta-

⁶² P. Bourdieu: *Acts of Resistance*. New York: Free Press, 1998, s. 102.

⁶³ J. Tischner: *Filozofia dramatu*. Kraków: Znak, 1998, s. 106.

tecznej bowiem analizie w uniwersytecie chodzi o dobra wewnętrzne; kto zaznaje uniwersyteckości prawdziwej, temu każdy wpis w indeksie, dyplom, napisana praca mówią o pewnym wspólnym doznaniu, w którym stawką nie była rywalizacja czy egzaminowanie, lecz rozmowa, lub ujmując rzecz szerzej — dzielenie się. Alasdair MacIntyre tak rozróżnia między dobrami zewnętrznymi a wewnętrznymi: „Dobra zewnętrzne są zatem przedmiotami rywalizacji, w której muszą być zwycięzcy i przegrani. Dobra wewnętrzne są wprawdzie wynikiem dążenia do wyróżnienia się, bycia najlepszym, ale ich cechą wspólną jest to, że ich osiągnięcie jest dobrem dla całej wspólnoty biorącej udział w tej praktyce”⁶⁴. Najbardziej przykrym doświadczeniem dla zarządzającego uniwersytetem są sytuacje, kiedy okazuje się, że są profesorowie, którzy nie wyobrażają sobie istnienia takiej wspólnoty (na przykład niewłaściwie traktując studentów), i studenci, którzy do owej wspólnoty nigdy poczuwać się nie chcą (lekceważąc swoje obowiązki).

* * *

Pragmatyzm uniwersytetu jest więc pragmatyzmem rozmowy. Z jednej strony można znaleźć jego filozoficzne uzasadnienie w dziele Richarda Rorty’ego i jego mistrza Michaela Oakeshotta. Gdy pierwszy formułował swoje pryncypium jako pogląd, że rozmowa winna zastąpić konflikt (*conversation replaces confrontation*), drugi wysyłał ważną przestrożę, że tym, co niszczy rozmowę, są „złe maniery jednego lub kilku uczestników. Każdy bowiem głos podpada łącznie pod pokusę superbii, czyli wyłącznego zajęcia się samym sobą [...], a w tej sytuacji barbarzyństwo jest bliskie triumfu”⁶⁵. Lecz czy ów sprzeciw uniwersytetu wobec superbii nie zawierał się już w Newmanowskiej filozofii tej instytucji? Spytajmy zatem przekornie: Czy w istocie to, o czym pisze Newman w 1852 roku, paradoksalnie nie powraca także, choć ukryte w nowoczesnej terminologii *public relations*, w technikach i urzędach zajmujących się kreowaniem wizerunku przyszłego absolwenta uczelni oraz planowaniem jego drogi zawodowej? Jeżeli Newman w swej klasycznej rozprawie pisze, iż w uniwersyteckim

⁶⁴ A. MacIntyre: *Dziedzictwo cnoty...*, s. 343.

⁶⁵ M. Oakeshott: *Rationalism in Politics and Other Essays*. London: Methuen, 1960, s. 201.

kształceniu chodzi nie tylko o wiedzę, lecz o sposób funkcjonowania człowieka nią dysponującego w społeczeństwie („Filozof tak samo panuje nad materią myśli, jak prawdziwy obywatel i dżentelmen panuje nad materią załatwianych spraw i postępowania”), a zasadą człowieka o uniwersyteckim cenzusie jest konsensualność jego działania i myślenia („Ono [wykształcenie — T. S.] ukazuje mu, jak przystosować się do innych, jak wczuć się w ich sposób myślenia, a im przybliżyć własne stanowisko, jak na nich wpłynąć, jak dojść z nimi do porozumienia, jak z nimi współżyć”⁶⁶), to rozpoznajemy w tych uwagach zasadę rozmowy biorącą górę nad zasadą zimnej, bezlitosnej konfrontacyjności. Gdy Kardynał zauważa, iż człowiek uniwersytetu jest człowiekiem służebnym („Jest zawsze do dyspozycji, a nigdy nie zawadza”), i kiedy zastrzega się, że w grę wchodzi to coś, co zyskuje nazwę „społecznego” — czyli bezinteresownego, a nie kokieteryjnie upudrowanego i wciągającego innych w pułapkę własnych celów — „wdzięku” obcowania z ludźmi („ma to niezawodne poczucie taktu, dzięki któremu jego lekkości towarzyszy wdzięk i swoboda, a jego powaga odnosi skutek”), jesteśmy niedaleko Oakeshotta i jego napomnień o groźnych dla rozmowy skutkach braku „taktu”, lecz pewnie dźwięczą nam w uszach nauki instruujące młodych, jak ubiegać się o pracę, aby zachęcić do siebie potencjalnego chlebobdawcę.

Gdy uniwersytet sprzeniewierza się „grzeczności” nie tylko oddala się od własnego wizerunku, lecz także zdradza sprawę studentów, to bowiem z uniwersytetu winni wynieść sztukę „rozmowy” tak im niezbędną w dalszej drodze życiowej. Kulturowanie i rozwijanie dyspozycji do rozmowy jest wrośnięte w samą tkankę uniwersytetu. Gdy przyrzeć się badaniom naukowym, można zobaczyć, jak powstają one i rozrastają się, oparte na rozmowie, dialogu uczonych, prowadzonym ponad granicami państw i ośrodków. Lektura artykułów z dziedziny nauk ścisłych jest pouczająca; nierzadko pod tytułem publikacji widnieje kilka, a nawet kilkanaście nazwisk ludzi z rozmaitych krajów i kontynentów. Owa zdolność do porozumienia się i podtrzymania kontaktu jest nicią przewodnią dzisiejszych badań także dlatego, że ułatwia

⁶⁶ J. H. Newman: *Idea uniwersytetu*. Przeł. P. Mroczkowski. Warszawa: PWN, 1990, s. 249. Następne cytaty pochodzą z tego samego wydania, ze strony 250.

znalezienie źródła finansowania. Za tak powszechną dzisiaj ideą „montażu finansowego” stoi umiejętność rozmowy i nieustrudzonego porozumiewania się.

* * *

Uniwersytet należy do domeny czasu. Musi ją więc rozpamiętywać, nawet wtedy, gdy jest to czas, a w przypadku Śląska czas to bardzo długi, w którym uniwersytet był tylko marzeniem (a był nim jeszcze w latach dwudziestych poprzedniego stulecia). Ale uniwersytet ma także swoją przestrzeń, która — tak ułożyło się to w jego historii — była przestrzenią miasta, ponieważ miasto i uniwersytet to para bliźniąt, jakby jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Kiedy dziś wznoszą uniwersytety w szczerym polu (jak w Louvain-la-neuve, którego budynki stanowią znakomity przykład dialogu projektanta z mieszkańcami, dialogu, który umożliwia uniknięcie wielu smutnych pomyłek architektonicznych), wkrótce obrastają one domami, przebijają się przez nie ulice i pieszne trakty, witryny sklepowe rozświetlają je wieczorem, ludzie zamieszkują w domach pomiędzy budynkami wydziałów i bibliotek lub w ich najbliższym sąsiedztwie.

Nasz Uniwersytet, mimo że nowy, nie należał do tych budowanych na uboczu, choć pewnie na prywatnej mapie pamięci starych katowiczán ulica Bankowa nie była jedną z życiodajnych arterii miejskich. Gdy tworzone Uniwersytet w czerwcu 1968 roku, Rynku nie obramowywały już stare kamienice, zamknęły się na głucho drzwi sklepu Boryńskiego, w którym dawno temu znajdowała się, jedna z pierwszych w Europie, palarnia kawy, i kawiarni „Teatralna”; w ich miejsce powstawało coś, co miało być oznaką nowego świata, którego znamię naczelnym była jaskrawie manifestowana wspólność. Nie „wspólnota”, lecz właśnie „wspólność”, a w istocie może nawet wręcz „tłumność”, gdy bowiem „wspólnota” zakłada jakieś źródło etycznego porozumienia i skupienia wokół tego, co ważne, „superjednostka” czy ponure bryłowatości (bo przecież nie „bryły”) „Skarbka”, „Domu Prasy” i „Zenitu” były niczym innym, jak wyznaniem jazgotliwej, hałaśliwej mieszaniny wszystkiego z wszystkim, braku jakiegokolwiek wspólnego punktu, gdyż chodziło przecież specjalnie o to, aby życie było z jednej strony „tłumne” („złe” myśli przychodzą człowiekowi do głowy w samotności), a z drugiej stro-

ny, aby nic go nie jednoczyło, żadna sprawa, żaden kod, i by w tej jarmarcznej niełączliwości, w której wszystko może sąsiadować z wszystkim, lecz nic z niczym nie może wchodzić w prawdziwy kontakt, życie płynęło „rozpiezchliwie”. To, co w owym architektonicznym hałasie było stawką, polegało na ograniczeniu możliwości rozmowy i wzajemności.

* * *

Właściwie, spoglądając na architekturę nowych Katowic, tę powołaną do życia w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, możemy powiedzieć, iż jest ona z gruntu antyuniwersytecka. Gdy bowiem uniwersytet istnieje dzięki więzom między tworzącymi go ludźmi, wydziałami i dyscyplinami nauk, budowie, o których tu mówimy, służyły rozpadowi więzi, a przynajmniej takiemu jej pojmowaniu, które czyni wzajemne relacje czysto biznesowymi, technicznymi, komercyjnymi. Przechodząc obok tych budynków, zastanawiamy się, czy aby nie są one wykwitem społeczeństwa, któremu jedynie uporczywie wpajano, że jest nader świadome i wykształcone, gdy rzeczywistość mówiła prawdę o najniższych wskaźnikach skolaryzacji i zawodówkach jako o głównym ogniwie edukacyjnego łańcucha.

Moje ciepłe uczucie dla Katowic, w których moi Rodzice znaleźli schronienie po upadku Powstania Warszawskiego, motywowane jest pewnie tym, że były one jak żadne inne miasto w Polsce, bezbronne. Wystawione na działalność partyjnych i urbanistycznych technokratów, nie miały na swoją obronę monarszych rezydencji, ciągów komunikacyjnych, którymi kroczyli królowie, umieszczanych w bedekerach muzeów; pozostawione same sobie przez historię, opuszczone przez autorytety, nie miały żadnych sojuszników w swym oporze przeciwko pozornie funkcjonalnej brzydocie. Jeszcze dzisiaj dziennikarz potwierdzi ów uparty stereotyp i w artykule o polskim ruchu hippisowskim napisze bezmyślnie: „Nawet na nieugięcie budującym socjalizm Śląsku działała grupa z Jerzym Illgiem, »Misjonarzem«, dzisiaj redaktorem naczelnym wydawnictwa »Znak«”⁶⁷. Uwaga jest bezmyślna, bo gdyby nieugiętość w budowie socjalizmu była tak wielka, zapewne nie mielibyśmy później pacyfikacji kopalni „Wujek” i strajków górniczych. Sam Jerzy Illg,

⁶⁷ G. Łyś: *Bunt Cherubinów*. „Rzeczpospolita” z 1 marca 2002, Magazyn.

pracownik naszego Uniwersytetu, był dyskryminowany w stanie wojennym i zmuszony, jak wielu innych kolegów, do opuszczenia Śląska. Lecz — jak powiedziałem — Śląsk był bezbronny.

To, co dwa, trzy dziesiątki lat temu być może jeszcze dało się wpisać w rytm (katorżniczej) pracy, teraz, gdy zamiera górnictwo i stają huty, często nie znajduje już żadnej innej formuły prócz bezmyślnego rytmu dyskoteki i godzin wzruszeń dostarczanych przez tandetne seriale. W takim stanie rzeczy pozostaje zwrócić się w stronę Gabriela Marcela i przeczytać jako właściwy komentarz kilka zdań z jego *Być i mieć*: „Nie widzę, czemu społeczeństwo nieuków, których jednostkowy ideał polega na podrygiwaniu na dansingach lub przeżywaniu sentymentalnych filmów, nie byłoby również jako całość społeczeństwem nieuków. [...] tu leży różnica między społeczeństwem a wspólnotą [...]. Wspólnota taka jest jednak możliwa tylko dlatego, że jednostki te potrafiły zachować w sobie samych rodzaj sanktuarium, przeciw któremu powstaje każda technika jako taka, a które trzeba jednak nazwać duszą”⁶⁸.

Mijając „Zenit”, „Skarbek” i „Dom Prasy”, przemykając się w cieniu „Superjednostki” czy „Separatora”, trzeba więc pamiętać, że budowle te powstały przeciwko temu, co w każdym z nas jest niezależne od tłumnych, mrowiskowych poruszeń, czyli przeciwko duszy. **Tą drogą zmierzamy w stronę Uniwersytetu, którego powołaniem jest w skromnym choćby zakresie duszę ową ocalić.** Zadanie to jednak nie jest nigdy proste do wykonania, a w przypadku naszego Uniwersytetu było szczególnie trudne, gdyż same przyznane mu na początku jego istnienia pomieszczenia należały do rodzaju tych, które „duszy” zagrażają.

Ta sama zasada, którą nazwijmy tutaj „zasadą rozpieńczającego się tłumu”, czyli kształtowania przestrzeni społecznej tak, aby móc grupować jednostki w liczne masy, ale jednocześnie nie pozwolić, by między tworzącymi je ludźmi powstawały jakieś trwalsze więzi, spowodowała, że nigdy nie zbudowano w Katowicach właściwego uniwersyteckiego kampusu. Pomimo to, iż sposobność po temu była niepowtarzalna, gdyż na wschód od „Torkatu” rozciągały się tajemnicze chaszcze, stawy i zdziczałe łąki, obszar nieokreślonych bliżej magazynów, na którym w końcu powstało osiedle mieszkaniowe, którego wysokie budynki o nie-

⁶⁸ G. Marcel: *Być i mieć...*, s. 274.

zmiennie łuszczącym się tynku zwane są gwiazdowcami, a tuż przed nimi wyśnił się sen o luksusowym życiu nocnych klubów i kasyn metropolii zwany hotelem „Warszawa” (dzisiaj już „Novotel”).

* * *

Uniwersytet mógł więc zająć w topografii miasta miejsce znaczące, wraz z sąsiednią starszą siostrą Akademią Ekonomiczną mógł ożywić i wzbogacić teren wówczas obcy i dziki, mógł sprawić, że ożyłby on, wprowadzony w ruch nie tyle abstrakcyjnym wykresem planisty, ile wyobraźnią młodych ludzi. Mógł, lecz nie otrzymał tej szansy, co zawdzięczamy zapewne wspomnianej przed chwilą zasadzie, ale chyba po trosze także połowiczności, niekompletności świata realnego socjalizmu.

Miał on bowiem swój dominujący schemat jedynej prawdy, ale przecież w polskim wydaniu nie miał siły ani być może, głębokiej ochoty, aby plan ów w całości wcielić w życie. Stąd tłumy, ale (Bogu dzięki!) nie do końca poddane nieubłaganej jak w Rosji mechanice marszu, stąd własność państwowa, lecz (znów Bogu dzięki!) prywatna ziemia i sporo tak zwanej prywatnej inicjatywy. Ten, kto decydował politycznie o powołaniu Uniwersytetu, wiedział, że to instytucja ważna i miejscem jej przynależnym, także dla splendoru władzy, jest centrum miasta; lecz wiedział także, że nie starczy mu siły na stałe i wszechstronne kontrolowanie owego tworu, nie chciał i nie mógł pozwolić na to, by jego dzieło rosło i powiększało się, zajmowało coraz więcej miejsca i uwagi. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że dlatego właśnie powstał taki kształt Uniwersytetu, jaki znaliśmy do niedawna: centralny i uboczny jednocześnie, nieodległy od dworca, teatru i Rynku, a jednak jakby schowany za wilgotnym oparem rzeki, niby celebrowany należną mu odrębnością i spokojem, lecz przecież plany już przewidywały, że niebawem uniwersyteckie budynki miała przedzielić ulica Bankowa, dotąd ustronna, teraz nagle przelotowy dojazd do drogi w stronę Warszawy. Uniwersytet wyniośle rezydencjalny i przydrożny zarazem; skupiony wokół oazy zieleni w centrum miasta, lecz ocieniony obcymi mu wieżowcami i rosnącym tuż obok centrum biurowo-rozrywkowym.

Trzeba wmyśleć się w przestrzeń uniwersytetu, a zadanie to oznacza przede wszystkim to, że musimy wyzbyć się przekonania, że miejsce zajmowane przez budynki uniwersyteckie było zawsze takie samo lub

bardzo podobne do tego, które widzimy dzisiaj. Przechodząc tymi samymi ulicami, wchodząc do tak samo wyglądających budynków, milcząco zakładamy, że tak było „zawsze”. Tymczasem przywilej młodych uniwersytetów polega na tym, że nim dochowają się swoich Collegiów Maius trwających w niezmienniej postaci od setek lat, mogą odtworzyć, a ponieważ czas jest względnie nieodległy — nieomal przeżyć, wszystkie przemiany miejsca, nim przybrało ono postać znaną nam dzisiaj. Możemy zatem spróbować odzyskać poczucie miejsca, sporządzić jego „mapę”, która połączy zmieniające się w czasie wyglądy poszczególnych fragmentów przestrzeni z rolą, jaką odgrywają one w sferze społecznej wyobraźni.

Gdy wspomnieliśmy przed chwilą o uniwersyteckim kampusie jako o wyspie nieregularnej zieleni pośród kamiennie-asfaltowych poziomych i pionowych płaszczyzn pociętych w uporządkowane wzory, być może nie podejrzewaliśmy, że dotknęliśmy czegoś bardzo istotnego. Otóż dobrze się stanie, jeśli to właśnie zieleń będzie naszym przewodnikiem w eskapadzie po metamorfozach przestrzeni Uniwersytetu. Obok budynku dzisiejszego Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska na ulicy Jagiellońskiej, który jako Oberrealschule pojawia się na pocztówkowych widokach Katowic już pod koniec XIX wieku, w zdumieniu spoglądający na łąkę, jaką był wówczas obecny plac Sejmu Śląskiego, zwany później placem Nowym, ze zdziwieniem zdają sobie sprawę, że zieleń dojrzałych drzew jest najstarszym towarzyszem ludzi w uniwersyteckiej dzielnicy. Spoglądam na serię czterech zdjęć związanego z Katowicami (choć jako kolejarz z zawodu przemieszczał się po całej Polsce) wybitnego fotografa Józefa Dańdy pochodzących z lat dwudziestych ubiegłego wieku. Na jednym z nich Dańda, uczeń słynnego mistrza Bułhaka, uchwycił widok kopalni „Ferdynanda” (znanej dzisiaj jako kopalnia „Katowice”) fotografowanej najpewniej z brzegu Rawy (fot. 1). Na horyzoncie szyby wyciągowe i kominy, przed nimi urzędnicze domy, dzisiaj rozebrane, aby zrobić miejsce na drogę szybkiego ruchu; ale najbliższej nas, pewnie tam, gdzie dzisiaj biegnie ulica Roździeńskiego z odnogą stacji benzynowej BP, długa łąka pola ze sнопami zboża. Drugie zdjęcie datowane jest na rok 1925 i widać na nim — wciąż na tle kopalnianych szybów — sielski staw, łąkę i skrawek brzegu Rawy ze stojącymi nań dziećmi, które pewnie przerwały zabawę przyciągnięte widokiem aparatu (fot. 2). Zieleń (domyślna oczywiście, ponieważ zdjęcia Dańdy są

czarno-białe) jest duszą przestrzeni, która użyczyła gościny Uniwersytetowi, i drzewa w okolicach ulic Bankowej, Uniwersyteckiej, Augusta Chełkowskiego winny być przedmiotem naszej troski, to one bowiem przechowują pamięć o najstarszym wyglądzie naszej przestrzeni.

Na odwrocie innego zdjęcia Dańdy, zdjęcia przedstawiającego ów przemysłowo-wiejski pejzaż okolicy Bankowej, znajduję wiele mówiącą notatkę: „Katowice 1922: gdzie dziś jest Torkat, Uniwersytet itd.” Zieliń, którą fotografował na Bankowej artysta, opiera się naporowi szarości przemysłu (kopalnia) i rytmowi jego mechanicznej pracy, daje bowiem schronienie wolności zabawy. Można na to odpowiedzieć, iż dzieje każdego budynku prowadzą przecież nieuchronnie do kawałka zielonej lub brązowej ziemi, i jest to uwaga słuszna. A jednak nie możemy zlekceważyć owego wezwania zieleni w przypadku naszego Uniwersytetu, ponieważ czas oddzielający budynek od ziemi jest nieodległy, być może bowiem żyją jeszcze ci, których nieporęczny aparat Dańdy uwiecznił jako dzieci, które dopiero co przerwały zabawę na łące nad uregulowaną kamiennymi kostkami Rawą.

* * *

Trzecia fotografia chwyta następną fazę metamorfozy. Jest chyba rok 1932 (zdjęcie nie jest datowane) i na łące, na której bawiły się dzieci, stoi już pokaźny budynek z napisem na frontonie „Sztuczny tor łyżwiarski” (fot. 3). Przed nim błotniste kałuże, lecz można wyczuć, że budowla mówi już o nowych czasach, o zabawie, która nieformalną beztroskę porzuciła na rzecz twardej konkurencji i żelaznych reguł wychynowego sportu. Nie był to jedyny przybytek sportu w tej okolicy; na pochodzącym z 1939 roku planie Katowic w miejscu dzisiejszych budynków Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii widnieją dwa boiska należące do organizacji oznaczonych skrótami K.K.S. i Pol.K.S. Oznacza to, iż jedno z boisk było wojskowe, drugie zaś policyjne. Niebo na fotografii wciąż zdobi ornament kopalnianych szybów, między którymi a „Torkatem” (bo to on właśnie jest tym „Sztucznym łyżwiarskim torem”) rozciąga się pusta przestrzeń pola. Na pierwszym planie dostrzeżemy most na Rawie, niepozorny, lecz jakże istotny fragment miasta (ulica Szkolna nie była wówczas przeprawą przez rzekę), któremu przyjdzie nam jeszcze poświęcić trochę uwagi. Ostatnie, czwarte zdjęcie prze-

nosi nas na drugi koniec ulicy Bankowej. Pogodnego, letniego dnia fotograf doskonale uchwycił aurę świata porządku i zasobności: elegancko ubrani panowie kroczą po nienagannie prostym bruku, skręcając z Warszawskiej (wówczas Piłsudskiego) w stronę Banku Polskiego. Ulicę zdobią drzewa osadzone w przyszytych gazonach, jakby stanowiąc kontrast z dziką i nieuporządkowaną nadrawską łąką. Wszystko spowite jest woalem letniego, leniwego ciepła, dalekim od wszelkiego pośpiechu i niecierpliwości (fot. 4).

* * *

Trzy światy rozciągają się w odległości kilkunastu metrów od siebie: to, co zaczyna się staranną brukową kostką i pałacowym, niepozbawionym urody gmaszyskiem banku, przed którym ogrodnicy ćwiczą się w sztuce przyszywania drzew, po kilku krokach zapadnie między chwasty i trawy żywione nie do końca czystą wodą z rzeki kojarzącej się z najdzikszymi przygodami, aby wreszcie skruszone, dojść — przekroczywszy wąską ulicę Ferdynanda zapowiadającą nieśmiało dzisiejszą przelotową arterię — do świata, którego żywot i śmierć regulowane były rytmicznymi obrotami kopalnianej maszyny wyciągowej.

Te trzy światy spotykają się w zieleni, która jest ich wspólnym mianownikiem. Zadziwiające są te ciągi i całe wyspy zieleni w dawnych Katowicach. Wzdłuż Warszawskiej (dawnej Friedrichstrasse) cały długi szpaler, który gęsto punktowany pojedynczymi drzewami na Trzeciego Maja (Grundmannstrasse), kończy się wspaniałą starą zielenią placu Wolności (Wilhelmsplatz). Ta sama zieleń spływała w stronę Rawy i hołubiła przestrzeń, która miała ugościć Uniwersytet. Na innej słynnej fotografii, którą wykonał w 1933 roku niemiecki artysta Max Steckel, panoramiczne ujęcie w stronę południa ukazuje dachy obecnego budynku Instytutu Chemii na ulicy Szkolnej (wówczas i długo jeszcze potem ślepej) oraz użyczonego przez parafię Kościoła ewangelicko-augsburskiego gmachu Wydziału Prawa i Administracji, ledwie widoczne spoza pięknych i bujnie rozrośniętych starych drzew stojących nad samą Rawą (później, po wojnie wycięto je, czyniąc miejsce dla potworkowatych garaży). I tak, w drzewach opodal Uniwersytetu czytamy pamięć wszystkich przemian tej przestrzeni, która na pozór wydaje się od zawsze powierzona betonowym klockom.

Staram się wyobrazić sobie, czym jest owa topograficzna przestrzeń dla studentów i pracowników Uniwersytetu. Większość zapewne zmierza w stronę ulicy Bankowej od zachodu, od długiej i zapomnianej przez planistów estakady Dworca Głównego, ukrytych pod nią przystanków autobusowych lub tramwajowego rozgwaru Rynku i Trzeciego Maja. Idąc ulicą w stronę teatru, pewnie zauważą dobrodziejstwo bliskości Uniwersytetu; spacer nie trwa przecież dłużej niż 12—15 minut. Potem, być może, przyjrzą się mijanym sklepom; uwaga nie musi być nadmiernie skupiona, ponieważ aż do Szkolnej nie natrafia właściwie na prawdziwy ruch samochodowy. Pewnie nawet dociekliwsi spośród tych, którzy przyjechali pociągiem i dopiero co opuścili duszny dworzec budowany przed ponad 30 laty jako nieudolne wyobrażenie nowoczesności, nie skomentują w duchu z żalem zaniedbania starej stacji kolejowej, z której część dożywa swoich dni pośród rozpadających się cegieł i murszejących desek.

Warto wspomnieć o tych przybytkach kolei, tradycyjnie bowiem to właśnie w nich przeglądało się całe miasto, a styl dworca mówił wiele o życiu ludzi w tym miejscu. Gdy dwa budynki stacyjne wzniesione przy ulicy Dworcowej na przełomie XIX i XX wieku emanowały spokojną solidnością i starannością wykonania na miarę potrzeb i zamożności mieszkańców, sąsiadujący z nimi przez ulicę potężny hotel „Monopol” potwierdzał, iż przeznaczeniem dworca jest służyć wygodzie podróży. Dzisiejszy betonowy dworzec nie ma nic wspólnego z dostojeństwem podróżowania; nie wywołuje skojarzeń z odległymi miejscami, do których jedzie się długo i po starannych przygotowaniach. Wchodząc do zimnej, przeszklonej hali, mamy świadomość tego, że możemy mówić co najwyżej o **dojeżdżaniu**, lecz nie o podróży, o pospiesznym przemieszczaniu się z miejsca w miejsce, o przemieszczaniu nie mającym nic wspólnego z magią dalekich wojaży. Pospiesznosc ową widać w straganach, kioskach, stoiskach, które zawładnęły przestrzenią dworca, spychając na daleki plan kasy biletowe, jakby w ogóle nie chodziło tutaj o żadną podróż, lecz wyłącznie o spieszny i byle jaki interes.

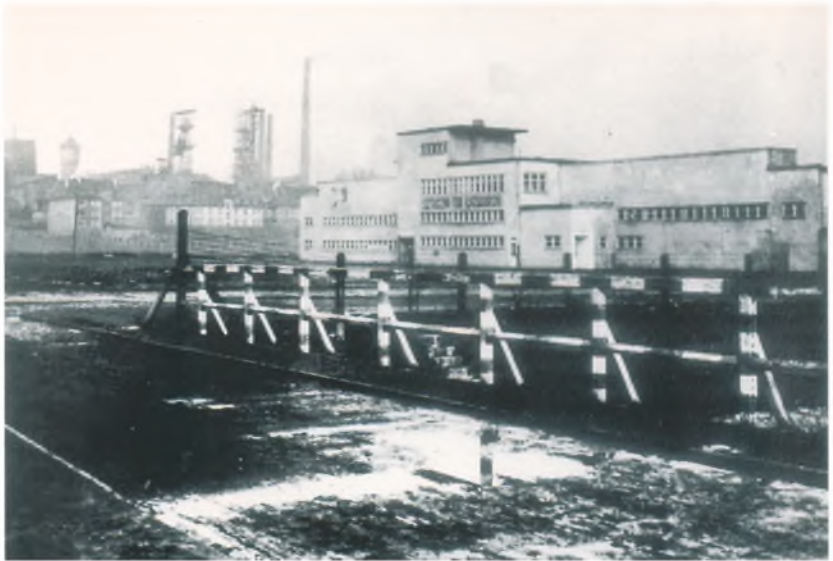
Skrzyżowanie dróg nieimplikujące odległości, osobliwe znużenie właściwe dojeżdżaniu, nowe centrum z późnych lat sześćdziesiątych, które jedynie wzmacnia aurę chaotyczności — Katowice są miastem,



Fot. 1. Józef Dańda
Widok na kopalnię „Ferdynand” od strony ulicy Bankowej (lata 20. XX w.)
Muzeum Historii Katowic



Fot. 2. Józef Dańda
Widok znad brzegów Rawy na kopalnię „Ferdynand” (lata 20. XX w.)
Muzeum Historii Katowic



Fot. 3. Józef Dańda
 Widok z mostu na Rawie na kopalnię „Ferdynand”
 oraz nowo wybudowany sztuczny tor łyżwiarski (lata 30. XX w.)
 Muzeum Historii Katowic



Fot. 4. Józef Dańda
 Budynek Banku Polskiego na ulicy Bankowej (lata 20. XX w.)
 Muzeum Historii Katowic



Fot. 5. Józef Dańda
Widok na kopalnię „Ferdynand” i staw kopalniany od strony ulicy Bankowej (lata 20. XX w.)
Muzeum Historii Katowic



Fot. 6. Józef Dańda
Obecny Wydział Biologii i Ochrony Środowiska UŚ — pierwotnie budynek Oberrealschule z lat 60. XIX w.
Muzeum Historii Katowic



Fot. 7. Karta pocztowa
Dworzec autobusowy i zakole Rawy (początek lat 60. XX w.)
Muzeum Historii Katowic



Fot. 8. Karta pocztowa z początku XX w.
Rzeka Rawa z aleją nabrzeżną, huta „Marta”, kopuła synagogi
Muzeum Miejskie w Zabrzu



Fot. 9. Karta pocztowa
Aleja prowadząca wzdłuż rzeki Rawy od obecnego rynku do dawnej huty „Marta”
Muzeum Historii Katowic



Fot. 10. Karta pocztowa
Aleja nad Rawą (pocz. XX w.)
Muzeum Historii Katowic



Fot. 11. Józef Dańda
Willa Grundmanna na rogu ulic Warszawskiej i Bankowej (koniec lat 40. XX w.)
Muzeum Historii Katowic

w którym kilkanaście pięknych, mieszczańskich kamienic na Dyrekcyjnej, Warszawskiej czy Trzeciego Maja nie jest w stanie zapobiec temu, iż czujemy się w nim nie tyle jak przejezdni w dalekiej podróży, ile jak mieszkańcy nędzniejszych dzielnic i miasteczek zjeżdżający do nieodległego centrum. Czujemy się w nim dobrze, bo nie onieśmiela nas ono przepychem innego świata, lecz stanowi jedynie nieco lepszą wersję zjawisk tworzących boczniejsze i podrzędniejsze ulice. W tym rajach przychodzi zuboższej dzielnicy, który dotarł tutaj po krótkiej podróży tramwajem lub niebiesko-żółtym dojazdowym pociągiem, czy raczej kolejką, i teraz dookoła rozpoznaje zwielokrotnienie tego, co dobrze zna ze swojego otoczenia, Uniwersytet w swoich tuzinkowych budynkach o charakterystycznych dla epoki realnego socjalizmu mankamentach konstrukcyjnych i budowlanych podjął wyzwanie stworzenia aury odbiegającej od otaczającej go podmiejskości (dobry przykład tej ostatniej stanowią do dzisiaj ulice Wodna i Pawła). Gdy wszystko dookoła czarowało urokiem placu, na który przybywają mieszkańcy podmiejskich dzielnic po to, aby za chwilę powrócić do swoich sypialni kiedyś w „familokach”, a później głównie w ponurych blokach Tysiąclecia czy Paderewskiego, przeznaczeniem Uniwersytetu — bo innego przecież mieć nie mógł — było bycie „światowym”, a w każdym razie „ponaddzielnicowym”, nauka bowiem, nawet jeżeli uprawia się ją w lokalnych, niewielkich centrach, tylko wtedy zasługuje na swoje miano, jeśli pozostaje w kontakcie z tym, co robią uczeni w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Rosji, Japonii. Temu przeznaczeniu Uniwersytet w wielkiej mierze sprostał.

* * *

Sprzyjała mu historia tej dzielnicy, paradoksalnie bardziej internationalna, niż świadczyłaby o tym powierzchowna jej znajomość. Choć losy Śląska i jego skomplikowanych relacji z resztą ziem polskich stanowią przedmiot badań historyków odsłaniających kolejne zakola ich meandrów, można by twierdzić, iż to, co dla Śląska charakterystyczne, to ów dziwny klincz między wieczną „podmiejskością” czy lokalizmem „osiedlowym” a głębokim otwarciem tej ziemi na wszelkie poddmuchy ze świata. Z dzisiejszej perspektywy rysującej horyzont europejskiej wspólnoty od Atlantyku po Bug powrót Śląska do Polski oznaczał fakt niezwykle istotny, choć być może niełatwo poddający się analizom

historycznym. Oto **wraz ze Śląskiem Polska zyskała region, w którym intuicje wspólnoty europejskiego losu dały o sobie znać znacznie wcześniej niż gdzie indziej.** Umieszczenie na politycznym i militarnym pograniczu mocarstw sprawiło, że Śląsk pustoszyły maszerujące armie, ale ta sama lokalizacja, jak pisał Goethe po swojej wizycie w Tarnowskich Górach, „na krańcu państwa”, *am Ende des Reiches*, przyciągała tych, którzy z myślą o jak najlepszym wykorzystaniu bogactw naturalnych przynieśli tutaj nową technikę i organizację pracy. To, co z jednej strony tak boleśnie odbiło się na dziejach Śląska, przydając tragicznych tonów jego dziejom, z drugiej strony uczyniło tę ziemię otwartą na wpływy i obecność innych. To Szkot John Baildon oraz pochodzący z Niemiec baron Friedrich von Reden i Georg von Giesche budowali podwaliny śląskiego, a więc polskiego przemysłu. **Jeżeli Stanisław Brzozowski miał rację, zarzucając polskiemu społeczeństwu klaustrofobiczną ucieczkę w mity szlacheckiej kultury, w której przedsiębiorczość nie odgrywała większej roli, to Śląsk ze swoją kulturą pracy i miejskiego życia był dzielnicą obwieszczającą gotowość do podjęcia wyzwań cywilizacyjnych, których tradycja szlachecka podjąć nie była już w stanie.**

* * *

Uniwersytet zawsze szanował specyfikę miejsca, któremu go powierzono, ponieważ zadaniem uniwersytetu jest zrozumieć; nie potępiać, nie ferować wyroki, lecz wzięwszy pod uwagę to, co widoczne, i to, co niewidoczne, co ukryte przed powierzchownym spojrzeniem — zrozumieć. Uniwersytet Śląski chce więc Katowice zrozumieć i być dla Miasta ważnym czynnikiem zmiany. Fakt, że nie jest to — jak pisze Czesław Miłosz — „Miasto gęste od krytych pasaży, wąskich / placyków, arkad, / schodzące tarasami ku morskiej zatoce”⁶⁹, nie umniejsza serdeczności Uniwersytetu wobec niego. Wręcz przeciwnie, jakby Uniwersytet poczuwał się do tego, aby swoim działaniem zastąpić owe uroki urbanistyki i pejzażu. Uniwersytet chciałby być tym, czym dla innych miast o zamierzchłej historii, która pozostawiła w ich materii cekiny wspaniałych zabytków, był czas, owocujący teraz siłą turystycznego przyciągania, emanującą z owych miast.

⁶⁹ Cz. Miłosz: *Na moje 88 urodziny*. W: Idem: *To*. Kraków: Znak, 2000, s. 25.

Ale jednocześnie pozostała w Uniwersytecie i wokół niego atmosfera dojazdowego znużenia, jakby przestrzeń tego miasta powstającego na przecięciu szlaków była zbyt silna, aby ustąpić pola w tym względzie. Przechodząc wędrujący ulicą Bankową lub oczekujący po zmierzchu na autobus w okolicach placu Sejmu Śląskiego dziwi się ciemnym oknom budynków uniwersyteckich. Pozostaliśmy uniwersytetem „biletu miesięcznego”, jakby nie starając się zbudować spójnej uniwersyteckiej przestrzeni wypełnionej szczelnie różnymi rodzajami działalności. Uczelnia wykazuje zadziwiająco uporczywą tendencję do tego, aby pozostać miejscem pracy zamkniętej w ramach określonych godzin, poza które wyjście byłoby już pogwałceniem praw zupełnie innej przestrzeni. Nierozświetlone okna Uniwersytetu (zwłaszcza bolączka to wydziałów humanistycznych) mówią o tym, że po odbyciu zajęć, po wybiściu godziny wyznaczonej ich rozkładem, studenci wybiegają z ulgą na ulicę i pędzą na dworzec, do tramwaju czy autobusu, zmierzając do domu. Czynią to przy wsparciu i aprobach pracowników.

Chodzi w tym nie tylko o względy ekonomiczne, o wykorzystanie sal zięjących pustką, podczas gdy wokół rozlegają się jękliwe utyskiwania na brak pomieszczeń wykładowych; rzecz idzie także o coś może ważniejszego — o przeświadczenie, że Uniwersytet jest czymś więcej niż „pracą”, że nie może być naginany do własnych upodobań (dobrze znamy te złowróżbne ostrzeżenia adiunktów, asystentów, profesorów: „mogę mieć zajęcia tylko we wtorki przed południem”), jego życie bowiem, jeżeli ma być pełne i satysfakcjonujące, winno toczyć się i trwać, wolne od ograniczeń właściwym pracy czysto biurowej. Nie da się na dłuższą metę tworzyć uniwersytetu opartego wyłącznie na własnych preferencjach i upodobaniach; kto myśli o uniwersytecie z perspektywy dziesiątków lat, kto chciałby zostawić go swoim następcom jako miejsce, które wyzwoli ich energię twórczą, a nie tylko jako adres płatnika wynagrodzenia, ten nie będzie ograniczał uniwersytetu barierami swojego czasu. **W rzeczywistości i urbanistycie podporządkowanej dojeżdżaniu Uniwersytet, poganiany niecierpliwością spieszących się studentów i nerwowym spoglądaniem na zegarki profesorów biegnących do kolejnej pracy, przeszkadza samemu sobie w pełnieniu swojej misji. Uczy i prowadzi badania na najwyższym poziomie, który podziwiają nasi goście ze świata; lecz jednocze-**

śnie na co dzień zachowuje się jak prowincjusz i parweniusz, który ideologii dorobienia się poświęci sporą część swojego zdrowia i zapału.

* * *

Uniwersytety, zapewne w stopniu wyższym niż politechniki przyzwyczajone od lat do bliskich związków z przemysłem, znalazły się w fazie wczesnokapitalistycznego dorabiania się w drodze najdostępniejszej i wymagającej stosunkowo małych nakładów. Warunki te spełniała dydaktyka, za którą student zainteresowany taką usługą musiał zapłacić. Dzisiaj, gdy — powtórzmy po raz kolejny — państwo redukuje swoje finansowe zaangażowanie w sprawy nauki, sztuki i edukacji, budżet uniwersytecki w około 25% pochodzi wprost z kieszeni studenta, trzeba powiedzieć o dwóch kwestiach. Po pierwsze, o tym, że ideologicznie motywowane pozostawienie kształcenia na poziomie wyższym darmowym wyrządza nauce i edukacji sporą szkodę, gdyż czyni ją podatną na wszelkiego rodzaju gry polityczne (tak zwana nowa matura jest klasycznym tego przykładem), a także stworzyło fatalną sytuację, w której obok siebie (czasami nawet w jednej sali) znajdują się ci, którzy płacą za naukę, i ci, którzy wolni są od tego rodzaju obciążeń. Po drugie, przy jeszcze wątych zasobach ekonomicznych pochodzących z tak zwanych źródeł pozabudżetowych (biznes, banki *etc.*) poszukiwanie środków na pokrycie niedoboru dotacji ministerialnej czy też na prowadzenie niezbędnych inwestycji rozwija się właśnie w kierunku płatnych zajęć dydaktycznych. Tendencja ta znajduje dodatkowe uzasadnienie w fakcie, że liczba studentów odgrywa znaczącą rolę w algorytmicznym oznaczeniu dotacji budżetowej; zredukowanie liczby studentów zaocznych w tej algebraicznej formule do jednej trzeciej tylko nieznacznie osłabia zainteresowanie powiększaniem ich liczby. Niebezpieczeństwo rysujące się na horyzoncie polega na możliwości załamania się wpływów uczelni pod naciskiem takich czynników, jak demografia czy konkurencja. **Uniwersytet silnie uzależniony ekonomicznie od przychodów pochodzących z portfeli studenta staje się nadmiernie podatny na niekorzystne zmiany koniunktury.**

Co więcej, idąc zbyt energicznie tą ścieżką, uniwersytet odwraca uwagę od tego, co winno stanowić podwalinę zarówno jego statusu, jak

i dobrostanu materialnego, to znaczy od badań naukowych. Rzecz nie tylko w słusznym przekonaniu, że nie możemy mówić o dobrej dydaktyce bez dobrego poziomu pracy naukowej uczącego, ani nie tylko w tezie, że o poziomie szkoły wyższej wcześniej czy później zadecydują nazwiska ludzi tam wykładających i znane w świecie książki przez nich sygnowane; chodzi o to, iż **w nieodległej przyszłości to oryginalność badań i atrakcyjność ich rezultatów staną się jednym z ekonomicznych filarów uniwersytetu.**

Sheila Slaughter i Gary Leslie w wydanym przed kilku laty studium uniwersytetów amerykańskich, australijskich i brytyjskich dowodzą, że profesorowie będą niebawem ubiegać się głównie o finanse związane z badaniami naukowymi, coraz bardziej odchodząc od zainteresowania zyskami płynącymi z płatnego nauczania⁷⁰. Źródłem takiej reorientacji jest zarówno zabieganie o prestiż związany z pozyskiwanymi z zewnątrz środkami finansowymi, jak i swoisty „test” zdolności funkcjonowania na rynku naukowo-edukacyjnym. Już dzisiaj wiele uniwersytetów amerykańskich żąda od kandydatów na profesorów udokumentowania ich dotychczasowych osiągnięć w tej dziedzinie jako ważnego elementu *dossier* składanego przez aplikującego o pracę. Trzeba jednak dodać, że nawet w realiach zachodnich uniwersytetów jest to czynnik wzbudzający kontrowersje. Ciekawe analizy McInnisa przeprowadzone w australijskim środowisku naukowym wykazały, że profesorowie co prawda akceptują w praktyce wymagania rzeczywistości rynkowej, natomiast nie zgadzają się z nimi w teorii. Przyglądając się ankietom McInnisa, zauważymy, że w hierarchii elementów wpływających na awanse w środowisku akademickim *ability to attract external funds* znajduje się na wysokim, drugim miejscu. Zyskuje ono aprobatę 82% respondentów; ale jednocześnie tylko 46%, a więc niewiele mniej niż połowa z nich, sądzi, że jest to pożądane i słuszne⁷¹. Przyczyny takiego stanu są zapewne zawile, jednak dadzą się chyba zmieścić między biegunami tradycji wolności badań uniwersyteckich a nieufnością intelektualistów do rozmaitych struktur władzy politycznej czy — szczególnie w tym wypadku — finansowej. Akceptuje się więc konieczność prowadzenia pracy nauko-

⁷⁰ Patrz S. Slaughter, G. Leslie: *Academic Capitalism*. Baltimore: John Hopkins University Press, 1999.

⁷¹ C. McInnis: *Changing Academic Work Roles: The Everyday Realities Challenging the Quality of Teaching*. „Quality in Higher Education” vol. 6, no 2, s. 143—152.

wej „pod zamówienie” sponsora, przy jednoczesnym krytycznym dystansowaniu się do tej sytuacji. Pozwala to prognozować, że z biegiem czasu coraz częściej będziemy mieli do czynienia z badaniami, do których prowadzenia uczeni będą skłaniali się pod wpływem nie tyle własnych zainteresowań, ile zapotrzebowania zgłoszonego przez instytucję finansującą prace. Łagodniejsza wersja tej prognozy mówiłaby o nadchodzącej „dwoistości” badacza: zachowa on swoje fascynacje naukowe, jednak spełniać je będzie mógł w zależności od tego, jak skuteczna okaże się jego praca w dziedzinach, które wcale nie muszą się pokrywać z jego ulubionymi sferami nauki, lecz na które uzyskał zlecenie i środki finansowe.

Można zatem postawić tezę, że **polski „kapitalizm akademicki”** (termin stanowiący tytuł wspomnianej przed chwilą książki) **znajduje się we wczesnej fazie, w której zdobywa on zyski w drodze najmniejszego oporu** (płatne studia); **jednak zaniechanie wysiłków podtrzymujących i doskonalących gotowość do skutecznego sięgania po zasoby finansowe związane z uprawianiem nauki może w niedalekiej przyszłości doprowadzić do sytuacji, w której uniwersytet nie potrafi przejść do następnego, znajdującego się już w zasięgu ręki, etapu „akademickiego kapitalizmu”, jakim jest trafność wyboru tematyki badawczej i skuteczność aplikacji o jej finansowanie do agencji pozarządowych i pozauniwersyteckich.** Wnioski nasuwające się z lektury misji różnych uniwersytetów wskazują na to, że sporej liczbie szkół nie wystarcza już miano „uniwersytet”. Interesujące jest prześledzenie owych dokumentów towarzyszących uniwersytetowi, okazuje się bowiem, że większość z nich ma na celu zbliżenie uczelni do ideału rynkowej firmy, połączenie w doskonałym reklamowym sloganie perfekcji i zawodowstwa menedżera z tradycją kojarzoną z uniwersyte-tem. I tak, Bazylea nazwie się „uniwersyte-tem dokonania” (*performance university*), Brema „uniwersyte-tem zastosowań” (*application-oriented university*), Sheffield Hallam „uniwersyte-tem profesjonalnym” (*professional university*), a kopenhaska Business School przedstawi się jako „uniwersyte-tem uczący się” (*learning university*). Nawet w tym ostatnim określeniu aluzja do tradycyjnego elementu bezinteresownego kształcenia jest mocno zabarwiona czynnikiem „rynkowym” — uniwersyte-ty uczy się na błędach, wyciąga wnioski z owych nauczerek, sam jest przedmiotem i uczestnikiem nieustającej edukacji.

Patrzę na tę grę określeń z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony doceniam gotowość władz uczelni do sprostania warunkom (po)nowoczesnego świata, z drugiej jednak — zastanawiam się, czy nie za wiele w owych nazwach konformistycznego uznania za własne elementów do uniwersytetu nienależących. Proces ten stanowiłby potwierdzenie sądu Slaughter i Rhoadesa na temat zjawiska charakterystycznego dla współczesnej edukacji publicznej, a polegającego na tym, iż „Nie służące generowaniu zysku (*not-for-profit*), instytucje akademickie przybierają cechy organizacji nastawionych na zysk (*profit-making organizations*) i postępują w sposób dla nich typowy”⁷². Dlatego pisząc o naszym Uniwersytecie, woleliśmy posługiwać się terminologią wskazującą na to, iż uważną obserwację rzeczywistości można połączyć z pojęciami nawiązującymi do wartości, którym Uniwersytet zawsze winien służyć, niezależnie bowiem od stanu ekonomii są one podstawą naszego bycia. Dlatego mówiliśmy, że **Uniwersytet winien chronić to, co kruche, być miejscem przyjaznym i gościnnym; dlatego na brak jednego rozległego kampusu odpowiadaliśmy teorią i praktyką dialogu ze środowiskami miast i gmin oraz rozwojem koncepcji edukacji „promienistej”**. Tymi zasadami kierowaliśmy się w codziennym działaniu.

* * *

Miasto i Uniwersytet związane są od setek lat więzami przyjaźni. Trudno zrozumieć Uniwersytet, nie studiując i nie doświadczając przestrzeni, która go piastuje, a której ducha odnajduję w sztuce Jana Szmatlocha, Jacka Rykały, Eugeniusza Delekty, Romana Nowotarskiego, Jerzego Handermamera, Tomasza Jury czy Macieja Bieniasza. Gdy przebijamy się przedpołudniem przez wypełnione przechodniami ulice Trzeciego Maja lub Mickiewicza, na których przystanki tramwajowe i autobusowe przyciągają ludzi tworzących na chodnikach miejsca szczególnego zagęszczenia, mamy wrażenie doświadczania miasta. Miasto bowiem jest w zasadzie nie do pomyślenia bez owych tłumów. Idziemy więc, potrącani i sami potrącając innych, w stronę Uniwersytetu, który wobec owej tłumności życia znajduje się w osobiwej sytuacji.

⁷² G. Rhoades, S. Slaughter: *Academic Capitalism, Managed Professionals, and Supply-Side Education*. „Social Texts” no 51, s. 9—38.

Z jednej strony wymaga sam od siebie, aby znaleźć się najbliżej potrzeb rzeczywistości, a więc tłumność nie może mu być obca, to ona bowiem stanowi wyznacznik dzisiejszego miasta, a problemy studentów i pracowników coraz mniej łączą się ze sprawami czysto uniwersyteckimi, coraz częściej zaś wypływają z nacisków gęstości zbiorowego życia (w trakcie dyskusji przedwyborczych w Uniwersytecie głównym dylematem zgłoszonym przez studentów był brak miejsc do parkowania).

Z drugiej strony zarówno skupienie niezbędne w trakcie w badań naukowych, w pracy w bibliotece, cisza wymagana na zajęciach, wreszcie procedura samych egzaminów wstępnych mają tłumności postawić jakąś tamę, wyznaczyć granice, które byłyby dla niej trudne do przebycia. Uniwersytet jest i nie jest zjawiskiem miejskim. Jest nim dlatego, że pozwala spełnić ambicje zbiorowości. Nie jest dlatego, że w przeciwieństwie do miasta uniwersytet ma faktycznie ograniczoną pojemność; gdy miasto, mimo ciasnoty, wchłania wciąż nowych przybyszów, uniwersytet nie może tego uczynić i w pewnym sensie jego populację reguluje czas wyznaczony przez kończących studia i opuszczających mury uczelni oraz zajmujących ich miejsce studentów pierwszego roku. Moglibyśmy powiedzieć, że **uniwersytet jest miasteczkiem, ale nie jest wielkim miastem**. Kontroluje swoją liczebność, jego „mieszkańcy” znają się wzajemnie, ich cnoty i przywary stanowią przedmiot powszechnej wiedzy (to cechy miasteczka); z trudem przychodzi mu pogodzić się ze świadomością, że oto mógłby stać się powszechnie dostępny, że każdy mógłby w nim zamieszkać, że — jak wielkie miasto — stałby się nieskończenie elastyczny i pojemny (może tu leży podświadoma przyczyna ostrożności uniwersytetu wobec idei nowej matury mającej stanowić bilet wstępu na uczelnię, bilet, którego dystrybucja nie leżałaby już w pełni w gestii samego uniwersytetu).

Idziemy więc przez tłumne ulice Katowic; w miarę jak zbliżamy się do Bankowej, rzadnie gęstość wielkomiejska i gdy przekroczymy most na Rawie na ulicy Szkolnej i zejdziemy na skwer pomiędzy budynkami Uniwersytetu, jesteśmy już nie w metropolii, lecz w miasteczku, konstelacji elementów tworzących prowincjonalne (w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu) życie. Uniwersytet najlepiej się czuje w tej atmosferze niespiesznego przemierzania znajomych zaułków, w których nie ma przystanków autobusowych i tramwajowych ani związanych

z nimi bujnych wykwitów tłumności. **Uniwersytet cywilizuje wielkomięską bezładność i nadmierną bliskość tłumnego życia, w którym nikt z nikim nie nawiązuje kontaktu dystansem i odległością właściwym prowincji, w której możliwe jeszcze są relacje międzyludzkie i spotkania** (prawda, iż mogą one przybrać postać wzajemnej czujnej obserwacji lub plotki, ale mogą też zaowocować przyjaźnią i pełną dystansu serdecznością). Ta atmosfera przemysłowej osady przetrwała na zdjęciu Józefa Dańdy z lat dwudziestych, na której szyby kopalni „Ferdynand” odbijają się w spokojnej wodzie stawu (fot. 5).

* * *

Może dlatego kampus jest architektoniczną formułą, którą upodobał sobie uniwersytet. Nawet jeżeli budynki uniwersyteckie znajdują się w centrum miasta, nawet wtedy, gdy otaczają je ruchliwe ulice, skupiają się razem, stają ramię w ramię, w ten bowiem sposób przeciwstawiają się przypadkowości porządku miasta podlegającego zmianom i modyfikacjom. Dom dzisiaj pozornie zakorzeniony w swoim miejscu, jutro nagle opustoszeje, pojutrze zmieni się w stertę cegieł, a niebawem zastąpi go nowa konstrukcja albo asfaltowy pas drogi. Często dzieje się tak, iż zmiany te nie są harmonijne, lecz łamią jednolity obraz pewnego miejsca, wprowadzając weń dysonans. To, co powstaje, nie pozostaje w żadnym związku z tym, co pozostało ze starego stanu rzeczy. **„Prowincjonalność” uniwersytetu polega na tym, że w istocie jest on bliższy pejzażu, widoku, krajobrazu niż zatłoczonej miejskiej przestrzeni.**

Pejzaż uderza nas tym, że wszystko znajduje w nim właściwe sobie, „naturalne” miejsce; miasto niecierpliwie się przebudowuje, jakby wszystko w nim dążyło do tego, aby nie być tym, czym jest. Skoro uniwersytet dąży do opanowywania chaosu, przeto nic dziwnego, że sam chciałby być „na miejscu” właśnie, znajdować się tam, gdzie powinien, i nie podlegać gwałtownemu wykorzenieniu. Miasto bywa często megalomańskie; jego budowle wypiętrzają się jakby w geście pogardy dla tego, co niższe i wtlejsze, choćby nawet gigantyczna budowla była całkowicie „nie na miejscu”. Uniwersytet natomiast pod każdym względem dąży do tego, aby — posługując się angielskim powiedzeniem — być *the right man in the right place*. Gmachy zajmowane przez wydziały, biblioteki, laboratoria ciążą ku sobie nie tylko dla wygody i sprawności

komunikacji; w tej osobliwej kampusowej grawitacji wyraża się siła wewnętrznej zgody i porządku, których brak miastu.

Dlatego uczynienie z ulicy Bankowej przelotowej arterii wypełniającej się samochodami tak, iż w godzinach nasilenia ruchu ulica karnie unieruchamia pojazdy w długim, poruszającym się w żółwym tempie szeregu, pogwałciło to, co dla uniwersytetu jest tak cenne — dobrą prowincjonalność, właściwą skupieniu i sprzyjającą powstawaniu związków między ludźmi.

* * *

Mijamy zatem Rynek, o którym złośliwi powiadają, że jest skrzyżowaniem linii tramwajowych (a czym ma być w tej chwili, gdy architekci, planujący jego nową zabudowę czterdzieści, trzydzieści lat temu, skutecznie uniemożliwili następcom wszelkie śmielsze ruchy) i który prowadzi osobliwy żywot komunikacyjno-handlowy. Winien być zapewne, wedle przyzwyczajęń historycznych, miejscem spotkań, centralnym punktem miasta, w którym życie słabnie, ale nie zamiera. **Tu-
taj dotykamy całego paradoksu Katowic: jest to ogromne mia-
sto, w którym ludzie spotykają się w miejscach gromadzących
ich po to, aby ich natychmiast rozdzielić.**

Rynek żyje tak długo, tak długo są na nim ludzie, jak długo jeżdżą tramwaje stanowiące jego system nerwowy. Gdy tramwaje zjeżdżają do remiz, ludzie nikną uwieczeni tymiż coraz elegantszymi i ciszej jeżdżącymi wagonami. Mieszkańcy spotykają się nie po to, aby rozmawiać, lecz żeby się przesiąść; zwracając się do siebie, nie spoglądają sobie w oczy, lecz wypatrują nadjeżdżającego pociągu czy tramwaju. Przez Rynek zatem możemy jedynie przejść, bo — tak zresztą, jak tyle innych fragmentów przestrzeni miasta — nie jest on pomyślany do tego, aby można tam usiąść i pogрузić się w rozmowie albo choćby smaku czarnej kawy (na pochodzącej z końca lat pięćdziesiątych fotografii znanej katowickiej artystki fotografii Anny Chojnackiej widzę gazony i kilka ławek, na których przysiedli starsi ludzie — to była chyba jedyna próba zadomowienia się człowieka na katowickim Rynku). Latem w okolicy teatru stoi otoczona drewnianym parkanem beczka, hojnie obdzielająca piwem. Ale piwo królujące pod parasolami letnich Katowic, także niemal u samych drzwi Muzeum Śląskiego nie ma waloru kawy czy her-

baty. Nie pobudza do tego, czego nam tutaj potrzeba najbardziej — poważnej i niespiesznej rozmowy, debaty, dyskusji, lecz albo szybko gasi pragnienie, pozostawiając lekką zawiesinę bólu głowy, albo prowokuje do przewlekłej, nieskładnej i powoli grzęznącej w nietrzeźwym monologizowaniu biesiady. **Stworzyć alternatywę dla biesiadności dominującej w kulturze Śląska i Zagłębia — oto zadanie dla Uniwersytetu.** Ale, jak powiedzieliśmy, w samym Uniwersytecie rozmowa ma się nie najlepiej, kontakty z ludźmi bywają niecierpliwe i zdawkowe, zapal polemiczny — jeśli nie liczyć sporów wywołanych osobistymi animozjami — znikomy. **Duch dorabiania okazał się bliźniaczym bratem ducha dojeżdżania.**

* * *

Gdy iść od strony dworca, można zmierzać do Rynku także Młyńską, a potem już, opuściwszy ów dziwny w swej roztargnionej obecności plac, zagłębić się w Teatralną. Ulice te trzeba wspomnieć nie tylko dlatego, że są scenerią wędrówki do Uniwersytetu, ale także z powodu pewnego zjawiska, które chciałbym nazwać odzyskiwaniem pamięci. Na murach jednej z kamienic nieomal *vis-à-vis* Urzędu Miejskiego znajdziemy tablicę upamiętniającą Marię Goeppert-Mayer, urodzoną w Katowicach laureatkę nagrody Nobla z roku 1963 w dziedzinie fizyki. Miasto przywraca swojej przestrzeni pamięć, którą zatarto z różnych powodów, między innymi pewnie także z racji powojennego polonizowania Katowic i Śląska, z którą to tendencją nie bardzo — zdaniem ówczesnych polityków — licowała mówiąca po niemiecku uczona. Dobrze więc i dla Uniwersytetu, że teraz tablica uzmysławia nam nie tylko skomplikowaną wspólnotę narodów i języków Katowic, lecz również mówi o tym, że nauka kiepsko poddaje się filozofii narodu, a jeżeli już, to z opłakanymi rezultatami.

Ale równie istotne są te tablice, które powinniśmy mijać w drodze na Uniwersytet, a których niestety nie uświadczymy. Idąc ulicą Teatralną, nic nie przypomni nam, że w kamienicy pod numerem 6. na ówczesnej Rathausstrasse mieszkał (a był to, oprócz dzisiejszych ulic Mickiewicza i Kościuszki, jeden z trzech jego katowickich adresów) jeden z najbardziej niezwykłych artystów XX wieku Hans Bellmer. Urodzony w 1902 roku w Katowicach właśnie, zawieszony między dwoma narodami i językami,

nie poddał się presji żadnego z nich. Niemcy nie lubili go, ponieważ odrzucał wielkoniemieckie ambicje swego ojca i jego otoczenia; Polacy niezbyt gościnnie odnieśli się do jego sztuki, zamykając w 1922 roku wystawę jego gwaszy jako groźną dla moralnego zdrowia narodu. Nie miejsce tu na przypominanie Bellmera i jego dzieła fascynującego świat najpierw surrealistów, a potem takich artystów, jak Bataille czy Klossowski. Przypominamy go w tym eseju z dwóch powodów. Najpierw dlatego, aby wskazać, że przestrzeń miasta odzyskuje pamięć nie tylko dzięki uczonym, lecz także dzięki artystom. Szczególnie istotne winno to być właśnie w Katowicach, borykających się wciąż ze swym stereotypem miasta przemysłowego. **Odzyskujemy swoich artystów, to oni bowiem czynią świat tajemniczym, czyli strzegą nas, jego mieszkańców, przed płaskim samozadowoleniem.**

Przywołujemy Bellmera także dlatego, że był artystą innym niż ci, których hołubimy w narodowych annałach: nie podbudowywał morale, nie krzepił ducha, nie oświeślał drogi. Przeciwnie, jego twórczość jest mroczna, skupiona na pytaniach, a nie na odpowiedziach, a on sam nie wklepał się w żadne ugrupowania czy grupy lub — nie daj Boże — partie. Był samotnikiem przeżywającym cierpienie namiętności przypisane człowiekowi w jego marszu od wieku młodzieńczego do starości i śmierci. Nie zadowalał się łatwymi pozorami; ciała na jego rysunkach, słynne lalki nie mają nic z jałowej gładkości kobiecych piękności, do których przyzwyczały nas kolorowe magazyny. Nim określimy je jako „piękne”, musimy uświadomić sobie, że ciało jest dramatem naszego człowieczeństwa. Nim możliwa stanie się nauka, najpierw jest owa „nagość” doświadczenia świata i własnego ciała w jego uniesieniach i męce.

Jeżeli coś może ustrzec naukę przed pokusą roztaczania przed nami wizji bezgranicznej szczęśliwości pozyskanej dzięki naukowym wynalazkom, to jest tym czymś właśnie owa świadomość naszego codziennego stawania twarzą w twarz z przygodnością bycia poprzedzającą wszelkie uczone procedury i klasyfikacyjne zabiegi. Dlatego dobrze byłoby, aby na budynku nr 6 przy Teatralnej/Rathausstrasse znalazła się tablica poświęcona Hansowi Bellmerowi. Dobrze dla Katowic, dobrze dla Uniwersytetu z jego wydziałami artystycznymi, dobrze dla innych wydziałów; Bellmer był niepokornym ekscentrykiem, a dla takich uniwersytet jest naturalnym domem.

I wrzucmy kamyczek do naszego ogródka: może dobrze byłoby, gdyby na budynku Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska, dawnej Oberrealschule (fot. 6), na ulicy Jagiellońskiej znalazła się tablica mówiąca o tym, że do tego właśnie gimnazjum uczęszczał wybitny pisarz Arnold Zweig.

* * *

Ulica Bankowa po kilkudziesięciu metrach opada w stronę Rawy, rzeki, która wedle źródeł historycznych, czysta i rybna, w naszej pamięci była już tylko strugą zaznaczoną potęgą chemii. Skład chemiczny wody pozostawał tajemnicą, a fakt, że nawet w najcieńsze mrozy broniła się przed zamarznięciem, dodawał siły jej (al)chemicznej magii. Pamiętam, że zanim przepływającą przez centrum miasta Rawę zakryto betonowym płaszczem, były na niej dwa mosty, niczym dwie przeprawy przez rzekę, które musiało mieć szanujące się ludzkie siedlisko. Jeden z tych drewnianych mostów znajdował się opodal nieistniejącej już ulicy Skośnej, i to dzięki jego „wstawiennictwu” autobusy (wspaniałe czerwone ikarusy o wymyślnej metalowej atrapie na lekko wystającej masce, potem kwadratowe fiaty, którymi PKS dowoził podróżnych na przykład do Zakopanego) przejeżdżały z jednej strony rzeki na drugą stronę, wjeżdżając w Piotra Skargi i Mickiewicza. Na fotografii Józefa Dańdy z 1967 roku widać ów most i nieistniejący od dawna budynek dworca autobusowego (fot. 7). Między rozrzuconymi na całym placu autobusami krążą (choć można to powiedzieć jedynie w domyśle, wszak na fotografii wszelka czynność zostaje zamrożona niczym owad w kawałku bursztynu) pasażerowie. Co więcej, fotografia pokazuje także to, czego dzisiaj zobaczyć już się nie da, a co długo było topograficznym wyznacznikiem miasta: płynąca na powierzchni Rawa zakręca łagodnym, zazielenionym rachitycznymi już wtedy krzewami łukiem i przemyka dalej na zachód tyłami hal targowych. Jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych istniało więc ogniwo między Katowicami naszych czasów a Katowicami dawnych przemysłowców i robotników. Wiek XIX nawiązywał tradycją do Walentego Roździeńskiego, jego kuźnicy żelaza, nad inną rzeką położoną ledwie parę kilometrów na wschód, i słynnego dzieła *Officina ferraria* z 1612 roku, o którym mówi się, że jest jednym z najstarszych literackich monumentów hutniczej profesji. Nim bowiem Rawa opasała dworzec autobusowy, płynęła obok dawnej huty „Marta”, stając się jej

przemysłową strugą. Huta zniknęła już wtedy z pejzażu Katowic, ale na pocztówce z 1916 roku (fot. 8) widać wyraźnie ów zakręt rzeki i nieodległą hutę (jej miejsce dzisiaj zajmuje wysoki dom mieszkalny przy Sokolskiej i nowo wzniesione biurowce opodal „Superjednostki”) połączoną z miastem nicią wody. Co ciekawe, na rzece znajduje się wyraźnie widoczna kaskada, a wzdłuż koryta biegnie wytyczona drzewami promenada, pewnie tyleż droga pieszego dojścia do huty, co romantycznych wieczornych spacerów. Musiał to być popularny fragment Katowic, skoro poświęcono mu jeszcze parę innych widokówek z napisem *Gruss aus Katowitz*. Było to więc jedno z owych miejsc „firmowych”, z miastem kojarzonych; co więcej, takich, które sami mieszkańcy życzyli sobie utrwalić w pamięci znajomych i krewnych zamieszkujących inne miasta (fot. 9 i 10).

Most, który znajdował się w tym zakolu rzeki, zniknął wraz z całą promenadą, uliczką Skośną i stojącymi przy niej budynkami (w jednym z nich mieszkał leczący we wczesnych latach pięćdziesiątych całe tłumy katowickich dzieci doktor Adam Butrym) wtedy, gdy wyburzono starą zabudowę Rynku i przystąpiono do — pożał się Boże — modernizacji miasta, w której trakcie Rawa zniknęła pod betonowym płaszczem. Drugi most nie tylko stoi do dzisiaj, ale nawet zyskał na znaczeniu. Po pierwsze dlatego, że to w jego okolicach rzeka znów ujawnia swój bieg, ukryta i niewidoczna, ponownie wybiega na światło dzienne, jakby chcąc dodać miastu odwagi i polotu (wiadomo przecież, że miasta z rzeką mają inny wymiar duchowy niż te pozbawione wodnego żywiołu). Po drugie dlatego, że ruch uliczny (o czym była już mowa) w sposób niepożądany wprowadził metropolię w rejony prowincji, w których naturalną siedzibę znalazł Uniwersytet. Most na Rawie jest dzisiaj ważnym elementem miejskiej komunikacji, zresztą nie tylko miejskiej, skoro korzystają z niego także ci, którzy omijając Rondo, chcą się jak najprędzej znaleźć na warszawskiej drodze szybkiego ruchu. Most, dzisiaj już nie drewniany, istotnie dodał miastu polotu, ponieważ jego najnowsza wersja sprzed kilku lat nie jest płaską kładką, lecz wznosi się łagodnym łukiem nad korytem rzeki, tuż za nim opadając gwałtownie, aby dołączyć do płaszczyzny ulicy. Otóż most ten interesuje mnie z racji zrozumiałych jako fragment naszej przestrzeni serdecznej, trakt, po którym codziennie przechodzą tysiące studentów i nauczycieli, ale także jako przedmiot kulturowej refleksji. Zadaję sobie pytanie, co mogłby powie-

dzień o przestrzeni społecznej, w której działa nasz Uniwersytet, ktoś, kto obserwowałby ów most znajdujący się w samym środku uniwersyteckiego kampusu i to, co dzieje się na nim w ciągu dnia i nocy.

Otóż powiedzmy najpierw, iż most ów jest pewną linią demarkacyjną: oddziela to, co znajduje się jeszcze po stronie południowej, stronie centralnej miasta charakterystycznie kończącej się bankiem i kościołem, od strony północnej, w której przez chwilę rytm życia uspokaja się, przyjmując właściwsze prowincjonalności tempo rezydencjalnych wieżowców ulicy Augusta Chełkowskiego i budynków samego Uniwersytetu. Ale jednocześnie most odsłania niepokojącą prawdę o naszym społeczeństwie jako o społeczeństwie głupim i niedojrzałym. Oczywiście, te dwa przymiotniki nie mają nic wspólnego z poziomem wykształcenia, indeksem skolaryzacji ani z innymi statystycznymi wskaźnikami edukacyjnego postępu. To, co mam na myśli, tyczy się pewnego bolesnego braku wyobraźni sprawiającego, iż obce jest nam to, co dojrzałe społeczeństwa wypracowały jako — być może powierzchowny, ale jednak niezwykle istotny — sposób prospołecznego bycia. Polega on na tym, że generalnie rzecz biorąc, powściąga się własne zachcianki, stwarzając przestrzeń, w której jest jeszcze miejsce dla kogoś innego, kogoś poza mną samym. Z tego powodu wszystkim żyje się lepiej i wygodniej, a początek konfliktu, wzburzenia, stresu zostaje oddalony o ów obszar buforowego uśmiechu, przystanku przed przejściem dla pieszych, zwolnienia tempa jazdy przed szkołą, z której wychodzą dzieci, itd. Przestrzeń ta w polskiej kulturze jest znikoma i jednym z zadań kształcenia, także uniwersyteckiego, powinno być jej rozszerzenie. Polska kultura współbycia niemal nie istnieje, tak bardzo poddana została dominacji sobiepaństwa rodem pewnie z odległej, szlacheckiej przeszłości. **Kultura społeczna Polaków jest kulturą mnie-bycia, a nie współbycia.** Czasem owo „mnie” przechodzi w „nas” — wówczas, gdy chodzi o strzeżenie jakiegoś grupowego interesu lub zysku (znamy ów mechanizm aż za dobrze ze sfery polityki, każdorazowe bowiem wybory, z ostatnimi włącznie, a może przede wszystkim z ostatnimi oznaczają podział łupów i wymianę „ich” na „naszych”), ale tylko z rzadka stykamy się z prawdziwym „współ-byciem”, czyli z dobrowolną i chętną, a nie wymuszoną, rezygnacją z części swoich dążeń na rzecz pragnień kogoś drugiego.

Należący do ulicy Bankowej most na Rawie jest tego doskonałym przykładem. W większości społeczeństw zarówno miejsce, w którym się

znajduje (centrum miasta, otoczenie urzędów i budynków publicznych z dużą liczbą przechodniów), jak i sam architektoniczny kształt mostu (wybrzuszenie ograniczające widoczność i powodujące, że nie bardzo widać, co dzieje się dalej) nakazywałyby zdwojenie ostrożności. Wydatny garb na jezdni jest znakiem, który nie tylko ma wymusić wolniejszą jazdę, lecz przede wszystkim oznacza to, że przestrzeń, w której się znajdujemy, jest w jakiś sposób „specjalna” i wymaga zwiększonej ostrożności. Każdy, kto pracuje w okolicach mostu na Rawie, wie, że mechanizm ten nie działa w polskiej kulturze społecznej. Wprost przeciwnie, wygląda na to, że Polacy swoją nieudolność życiową, o której już dawno pisał Stanisław Brzozowski jako o przywarze polskiej kultury niepotrafiącej traktować życia jako dramatycznego wyzwania i redukującej je do płaszczyzny domowego bezpieczeństwa, chcieli pomścić brakiem jakiegokolwiek respektu dla przestrzeni publicznej. Dla wielu kierowców most na Rawie, owo dziwnie wypiętrzające się, nieco pompatyczne, lecz konieczne „Rialto” ulicy Bankowej sygnalizuje coś odmiennego. Mówi on mianowicie: to prawda, że w najbliższym sąsiedztwie chodzą tłumy ludzi, to prawda, że wokół pełno jest samochodów wjeżdżających na okoliczne parkingi lub z nich wyjeżdżających, ale prawdy te muszą ustąpić przed prawdą większą i potężniejszą — przed egotystycznym pragnieniem zademonstrowania mocy mojej i mojej maszyny. Kilkadziesiąt razy dziennie dochodzący nas gwałtowny pisk hamulców i uderzenie spoileru o asfalt świadczą o tym, że dla sporej części Polaków, co gorsza pewnie młodych Polaków, podstawowym celem życiowym stało się nieprzepuszczenie żadnej okazji do zamanifestowania własnej wyższości. **Społeczeństwo, w którym instynkt tępego zwycięzcy bierze górę nad instynktem rozmowy, czyli porozumienia i ustępstw, jest społeczeństwem głupim o niepewnej przyszłości; zwycięzca bowiem ma to do siebie, że gdy pokona już „obcych”, wymyśli sobie wrogów pośród „swoich”.**

Zwycięzca stanowi wszak współczesną postać kanibala, który gdy braknie mu jeńców wojennych, pożre także swoich współplemieńców. Studiujmy zatem życie mostu na Rawie jako ważną przestrożę: **uniwersytet winien służyć idei konkurencji, lecz przestrzegać przed ideologią zwycięstwa; winien przyczyniać się do zwiększania przestrzeni chroniącej nas przed stresem, jednym słowem — misja uniwersytetu polega na zmniejszaniu stopnia głupoty na-**

szego społeczeństwa. Jeszcze raz pozwolę sobie powtórzyć z naciskiem, iż nie ma to nic wspólnego z rangą wykształcenia; świat zna wielu barbarzyńców z uniwersyteckim cenzusem. Spoglądajmy na uniwersytet jako na instytucję działającą na rzecz wykształcenia i mądrości, i w ten sposób przeciwstawiającą się prostactwu oraz głupocie.

* * *

Mówiliśmy o tym, że Rawa w swoim biegu na zachód od Uniwersytetu łączyła Katowice współczesne z ich dawną tradycją wielkiego przemysłu. Położony nad samą rzeką Uniwersytet chce o tej tradycji pamiętać. Ale przestrzeń, którą dzisiaj zajmuje, łatwo odtworzy nam inną tradycję, własności ziemskiej i pracy na roli, mniej z Katowicami kojarzoną (choć — jak się dowiaduję w Muzeum Katowic — ostatni prawdziwie chłopski pogrzeb z konną banderą, mężczyznami w sukmanach i kobietami w odpowiednich strojach odbył się w Dębie jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, czyli przed ledwie trzydziestu paru laty, kiedy Uniwersytet na dobre już gościł w mieście). O tej tradycji świadczyły nie tylko snopy zboża na polu przed kopalnią „Ferdynand”, ale także resztki dawnej siedziby miejskiej von Tiele-Wincklerów, która stała w miejscu dzisiejszego hotelu „Katowice”, pomnika Powstań Śląskich i ciągnęła się dalej na wschód, a budynek Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii stoi w części przynajmniej na jej obszarze. Na fotografii niezawodnego Józefa Dańdy wykonanej w roku 1962 lub 1963 widać pozostałości po folwarku Wincklerów: za dziurawym płotem zapuszczony piętrowy budynek gospodarczy, obrócony pewnie w jakiś niszczący magazyn, który niebawem miał zniknąć z pola widzenia. Resztki posiadłości zniszczono podczas rozbudowy ulicy Armii Czerwonej (dzisiaj alei Korfańskiego) i jedynie skromnie stojący opodal Pizzy Hut budynek przedszkola przypomina o dawnych losach tego miejsca. **Uniwersytet winien zatem, ćwicząc w swych adeptach przedsiębiorczość, dbać także o to, aby nie zamarła pamięć.** I huta „Marta”, i miejski folwark Wincklerów nie zniknęły więc z przestrzeni, choć nie ma ich już w polu widzenia i nie da się ich zinwentaryzować; trwają w działaniu Uniwersytetu, który wie, że bycie nie sprowadza się do cech widzialnych, a czas i przestrzeń są niewyczerpalne, toteż nie da się ich sprowadzić jedynie do „dzisiaj” i „tutaj”.

Parokrotnie w naszych dywagacjach przewijała się już ulica Bankowa, niegdyś boczna, cicho i nadspodziewanie szybko opadająca w podmiejskość okolic nadrzecznych, dzisiaj z trudem mieszcząca samochody przejeżdżające i parkujące między uniwersyteckimi budynkami. Uniwersytet doświadczył siły kulturowego oddziaływania dróg: tam, gdzie przejedzie jeden samochód, tam pojawi się ich tysiące, a wraz z nimi to, co niezbędne do funkcjonowania pojazdów i ich właścicieli. To zaś daje się określić przez szybkość. Widzieliśmy, jak most na Rawie służy sprawie szybkości (wprawiania auta w ruch, a następnie gwałtownego hamowania), nieco dalej, ledwie opuścimy Bankową, możemy się zatrzymać na stacji benzynowej, której głównym elementem jest bar ekspresowy. Szybkości jazdy musi odpowiadać szybkość tankowania pojazdu, „szybkie jedzenie” satysfakcjonuje wiecznie spieszącego się kierowcę. Uniwersytet, któremu obcy winien być pośpiech, który powinien — jak powiedzieliśmy — pilnować miary czasu, zewsząd otoczony jest emblematami i instytucjami wynoszącym nade wszystko szybkość. Bezpośrednie sąsiedztwo Uniwersytetu i drogi „szybkiego” ruchu Katowice—Warszawa jest znamienne. Wieczorem, a nawet późniejszym popołudniem okolice Bankowej stają miejscem „szybkiego” seksu.

Zjawisko to doczekało się licznych opisów dziennikarskich i prób porządkowania podjętych przez władze. Doczekało się też, niestety, swojej tragedii. W lutym 2001 roku podczas burd wywołanych przez „opiekunów” i „patronów” zginął przypadkowy przechodzień. Po interwencji Uniwersytetu wprowadzono kamery monitorujące teren, co sprawiło, że główne miejsca zawierania znajomości przemieściły się za okoliczne rogi i zakręty. O czym mówi ta historia, będąca lekcją jeszcze innego kapitalizmu? Na pewno o słabości prawa i o hipokryzji polityków ignorujących istnienie problemu. Na pewno o niemożliwości wypreparowania Uniwersytetu z jego otoczenia, które niczym soczewka skupia na niewielkiej przestrzeni ludzkie dramaty i tragedie. Ale także o rosnącej tendencji do czynienia przejawów życia podobnymi do siebie. Owa homogenizacja rzeczywistości powoduje, że Auchan w Mikołowie niczym nie różni się od Auchan w Żorach — tak, że zaiste, gdyby śpiącego przenieść z jednego z nich do drugiego, obudzony, nie potrafiłby powiedzieć, gdzie jest. Oznacza to także, że **przestrzeń staje się neutral-**

na, i co za tym idzie, że w przeciwieństwie do tego, co było kiedyś, gdy rzeczy zdarzały się w przewidzianych dla nich miejscach, teraz wszystko może zdarzyć się wszędzie.

Zdarzenie oderwało się od miejsca, spinając się silną klamrą z własną efektywnością. Zacierają się miejsca właściwe pewnym zjawiskom i czynnościom, które teraz dokonują się nie tam, gdzie ich miejsce (spróbujmy namówić polityków na uczciwą dyskusję o domach publicznych!), lecz tam, gdzie ich oferta spotka się z największym powodzeniem, a więc tam, gdzie odpowiedzą na największy popyt i osiągną największy zysk. Zasada ekonomicznego sukcesu zatriumfowała nad zasadą przyzwoitości: „szybki” seks znalazł swoją siedzibę w okolicy kościoła i uniwersytetu nie dlatego, że nawiązał do tradycji żakowskiej swobody obyczajów opisaną przez Boccaccia i Chaucera, lecz dlatego, że obok obydwóch tych instytucji biegnie wypełniona ruchem ulica gwarantująca dopływ klientów. **Merkantylizm zwyciężył przyzwoitość; geografia moralna (wedle której po prostu „nie wypada” uprawiać pewnych praktyk w niektórych miejscach w imię dobra publicznego) wycofuje się przed geografią rynku (wszystko wypada wszędzie pod warunkiem odpowiedniego profitu, czyli zysku partykularnego).**

* * *

Są dwa symboliczne miejsca w przestrzeni Uniwersytetu. Jednym jest narożnik ulicy Warszawskiej i Bankowej, drugim plac Sejmu Śląskiego. Pierwsze pokazuje, co kształtowało początkowe dziesięciolecia naszego Uniwersytetu, drugie pozwala domniemywać, jakim mogła być przestrzeń Uniwersytetu, gdyby myślano o niej inaczej. Na rogu Warszawskiej i Bankowej, ulic niezwyklej, jedna bowiem zawsze, nawet wtedy jeszcze, gdy środkiem biegł trakt starych drzew, rozciągała się na przedłużeniu Trzeciego Maja i niknęła w odległej, mrocznej głębi Bogucic, natomiast druga niemal natychmiast zapadała się w wilgotną ciemność nad Rawą, w której oparach w małym ZOO, tam gdzie dzisiaj stoi budynek Biologii i Ochrony Środowiska, drzemały osowiałe zwierzęta, a dalej wszystko kończyło się lodowiskiem „Torkatu”, na którym pokolenia katowiczian uczyły się sztuki krążenia po kruchym lodzie, na tym właśnie rogu stała willa Grundmanna (fot. 11).

Jej kształtna forma (której w znacznie skromniejszej postaci odpowiadała regularna bryła istniejącego do dzisiaj budynku u zbiegu ulic Warszawskiej i Francuskiej), neoklasycystycznym stylem nobilitująca mieszczańskiego właściciela, wieloletniego zarządcy dóbr Thiele-Winklerów, zdołała narożnik do początku lat siedemdziesiątych. Potem zniknęła pod paroma sprawnymi ruchami spychacza i koparki. Nie rozpadła się ze starości czy zwykłego braku troski; taki koniec zakładać musiałby poszanowanie czasu i jego działania. Tymczasem willa Grundmanna przestała istnieć nagle właśnie jako przejaw arogancji wobec czasu, jako dowód, iż nie tylko czas nie sprawuje nad nami władzy, lecz — co więcej — że czas można unieważnić. Zwłaszcza wtedy, gdy jego wydarzenia były ideologicznie niepewne i podejrzane. Dlatego klasycyzujące domostwo ustąpiło miejsca drewnianej budzie, w której pod pseudoludową nazwą „Strzecha” handlowano bliskim klasowo piwem i kielbasą. Moment historyczny właściwy dla Grundmanna nie wydawał się właściwym dla lokalnego sekretarza partii; nie wydawał się właściwym do tego stopnia, iż należało sprawić, aby zniknął, przepadł w niepamięci. Spychacze usuwające pozostałości po rezydencji dawnego notabla krążyły między ulicą Warszawską a ścianą banku PKO, niszcząc zamknięty w architektonicznej formie czas, który tak bardzo mógłby się przydać Uniwersytetowi. Owa postać czasu byłaby przydatna nie jako siedziba usankcjonowana formą własności, lecz jako metaforyczne i topograficzne sąsiedztwo. Uniwersytet dobrze czuje się w takim sąsiedztwie, ponieważ jego ideą jest mediowanie między łagodnym „starszeństwem” historii o wygładzonych krawędziach a jaskrawą, często brutalną teraźniejszością. Dlatego miejska willa Grundmanna o narożnikach murów i krawędziach cegieł mocno zaokrąglonych przez czas została zastąpiona piwną budą, przed którą niewyraźny tłum agresywnie dobijał się swojego miejsca w życiu.

Arogancja władzy była więc podwójna: rujnowano szacowny i elegancki budynek, jednocześnie wysyłając sygnał w stronę Uniwersytetu odległego ledwie o 250 metrów, iż oto zostaje mu odmówiona łaska czasu i historii, nawet jeżeli historia ta nie dotyczy bezpośrednio uczelni, lecz życia tych, którzy przygotowywali jej istnienie. Uniwersytet miał być uniwersytem bez historii, co najwyżej jego historia mogła mieć jedynie kilka wybranych, ideologicznie poprawnych segmentów czasu, nieukładających się w spójną całość. Miał być „czerwony”, pod

warunkiem że przystałby na amputację czasu i historii, jeżeli nie spoglądałby krytycznie wstecz, lecz bezmyślnie zdązał w stronę „lepszego” przyszłości krokiem odmierzanym marszowym rytmem. Taka przyszłość też była fałszywa, była jedynie wielokrotnym powtarzaniem tego samego, poprawnego ideologicznie schematu; zmieniając nieco spostrzeżenie Jurija Andruchowycza, napiszmy, że taka przyszłość to nic innego, jak „dyktat uprzedzenia”⁷³. Temu dyktatowi Uniwersytet się nie poddał; przez wszystkie lata do 1989 roku tętniła w nim cicha, wytrwała praca rekonstruowania i odkłamywania przeszłości. Jakby w myślach odbudowywano willę Grundmanna. Wszak rzetelna lektura tekstów, rzetelne badania, rzetelne nauczanie polegają przecież na tym, że rozpoznaje się oporną całość zagadnienia, a nie jedynie to, co wydaje się wygodnie odpowiadać naszym celom.

Jeżeli Uniwersytet dążył do „zdobycia” przeszłości, której odmówiła mu ideologicznie upojona władza, przestrzennym symbolem osiągnięcia owego celu jest budynek na placu Sejmu Śląskiego, który w 1990 roku z siedziby PZPR stał się domem dla części Wydziału Filologicznego. Nie chodzi tu już tylko o wymowną zmianę użytkownika, lecz o coś ważniejszego — o wizerunek świata zakodowany w wiszącej na ścianie przy wejściu tabliczce z napisem „Uniwersytet”. **Uniwersytet nie jest przecież adresem pocztowym, lecz przede wszystkim mentalnym.** Nazwa ta mówi nam o tym, iż ci, którym powierzono wypełnianie misji Uniwersytetu, są ludźmi **dążącymi** do prawdy, a nie prawdę dystrybuującymi wedle uznania, kartek, bonów lub innych precyzyjnych kryteriów. Gdy Partia (ta, o której mowa, lub inna, pewnoś własnej racji jest odrażającą cechą wielu, by nie rzec wszystkich, partii) prawdę posiadała, **Uniwersytet prawdę wyzwał i wyzwał od ludzkiej arogancji i zaborczości.** Wolność Uniwersytetu to wolność prawdy nie będącej sługą człowieka ani narzędziem jego zamierzeń. Dobrze się stało, że to filologia, nauka będąca jednocześnie sztuką lektury i zwielokrotnionych interpretacji, czyli zwielokrotnionego świata, objęła w posiadanie budynek po byłym Komitecie PZPR, dla której świat i prawda były tylko jednego rodzaju. W ten sposób jeszcze raz powróciliśmy do zasadniczej roli pojęcia i praktyki „rozmowy”. Rewindykacja budynku była bowiem z tego punktu widzenia zwycię-

⁷³ J. Andruchowycz, A. Stasiuk: *Moja Europa*. Wołowiec: Czarne, 2001, s. 34.

stwem „uniwersyteckości” jako sztuki niestrudzonego i niekończącego się konwersowania z tekstami, faktami, danymi (tak rozumiał hermeneutykę Hans-Georg Gadamer w swym wielkim dziele z 1960 roku *Prawda i metoda*), nad „partyjnością”, która polega na wydawaniu dyspozycji i poleceń, i dla której rozmowa jest niczym innym, jak formą odejścia od jedynej prawidłowej linii, czyli postacią „rewizjonizmu”. „Rozmowa”, która poniosła klęskę w najświeższych losach budynku u zbiegu Warszawskiej i Bankowej, odniosła triumf w zmianach aktów własności gmachu na placu Sejmu Śląskiego.

* * *

Lektura jest sercem uniwersytetu. Dzięki niej teksty napisane przed stuleciami żyją nadal, odsłaniając prawdy, których istnienia czasem nawet nie podejrzewalibyśmy. Wartość czytania, studiowania jako formy lektury polega na tym, że przyczynia się ona do tego, że wiemy więcej, że powstają w nas nowe konstelacje znaczeń. Ale co bardzo ważne, lektura nieuchronnie wyzwala tekst znajdujący się przed naszymi oczami od osoby autora i w rezultacie wiedza nie jest już przekazem tej czy innej osoby, lecz jest nieprzypisaną do żadnej konkretnej osoby — co wcale nie znaczy, że bezosobową — refleksją prowadzącą mnie przez życie, pomagającą mi nie tylko na egzaminie i przy pisaniu pracy magisterskiej, ale sprawiającą, że moje kontakty z innymi nacylają się bardziej w stronę rozmowy niż monologu. Przypomina nam się to, co o czytaniu i jego znaczeniu mówił Proust, przypisując lekturze stan najwyższy wówczas, gdy powstaje w nas „nieegoistyczne, bezsłowne uczucie”⁷⁴. **Oto wiedza przechodzi w mądrość i lektura uprawiana w uniwersytecie powinna bezwzględnie dążyć do tego właśnie momentu przejścia.**

* * *

Rozmawiam z panią T., kiedyś moją magistrantką, dzisiaj osobą wysoko postawioną w dyrektorskiej hierarchii bardzo znanej międzynarodowej firmy konsultingowej. Ciekawy przykład sytuacji, na którą

⁷⁴ M. Proust: *O czytaniu*. W: Idem: *Pamięć i styl...*, s. 102.

za małą zwracamy uwagę, a która dobitnie świadczy o charakterze zmian w edukacji wyższej. Otóż tradycyjnie absolwenci poruszali się po dobrze wytyczonych i oczekiwanych trasach, do czego przygotowywaliśmy ich na seminariach magisterskich. Dzisiaj absolwent jest „wolnym elektronem” i w pewnym sensie miarę naszego powodzenia jako nauczycieli stanowi stopień nieprzewidywalności jego przyszłych losów. Nasi uczniowie wybierają kariery odmienne od tych, do których podjęcia byli przygotowywani, ale sam fakt, że to czynią z dobrym skutkiem, świadczy o tym, że w naszym uczeniu była owa „magia”, owo „coś więcej niż” i „coś ponad” niezbędne programowe minimum, które pozwoliło im odnaleźć się w nieznanym im wcześniej okolicznościach.

Rozmowa jest ciekawa, wiele się z niej dowiaduję i uczę, jakby moja rozmówczyni podświadomie chciała odwrócić relacje sprzed dobrych kilku lat: staję się jej uczniem, ona jest moim profesorem. Dobra rozmowa ma to do siebie, że słuchając siebie wzajemnie, zatapiamy się w przedmiocie rozmowy i przestajemy zwracać uwagę na konwencjonalne oznaczenia ról; kto jest nauczycielem, a kto uczniem, przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, uczymy się bowiem od siebie nawzajem. Gdy wreszcie pada z jej ust „uniwersytetowi zawdzięczam to, że umiem czytać teksty”, fraza ta zostaje ze mną długo po zakończeniu naszego spotkania. Nie rozpamiętuję tu kwestii „wdzięczności”; jest ona dla nas drugorzędna, choć bezprzeczenie grzeje nas ciepłem czasu niezmarnowanego. Zastanawiam się, z jakich to powodów dyrektor potężnej firmy cieszy się z faktu, że potrafi „czytać teksty”. Przecież nie może tu chodzić o zwykłą znajomość notacji, alfabetu czy nawet języka; umiejętność lektury nie da się w wypowiedzi mojej rozmówczyni sprowadzić do kwestii technicznych. Jej radość odbiega od radości pierwszoklasisty, który z entuzjazmem prezentuje w domu pierwsze oznaki biegłości w trudnej sztuce składania liter. „Czytać teksty”, zwłaszcza w koniunkcji z tą „radością”, której powodem jest owa umiejętność, mówi o czymś więcej niż tylko o tym, że potrafimy dociec, do czego odnoszą się słowa na kartce, po której wodzimy oczami.

„Czytanie tekstów” to — jak sędzę — zdolność łączenia nie tyle liter, ile zjawisk. Ćwiczyć się w czytaniu oznacza więc budować połączenia między pozornie odległymi fenomenami, tak iż to, co wydawało się lokalne, historycznie ograniczone do chwili, w której powstawał tekst poddawany lekturze, nagle nabiera znaczenia dla nas tutaj i teraz.

Czytanie to wychodzenie z historycznego momentu dzieła i konstruowanie w ten sposób mostów między odległymi epokami i miejscami. Kiedy praktykuję lekturę, czytam zawsze między wierszami nie tylko dlatego, żeby dociec wszelkich pułapek ukrytych w tekście (niezwykle istotna to umiejętność w chwili, gdy mamy do czynienia z tekstem prawniczym, umową, kontraktem *etc.*; nieumiejętność czytania może nas wówczas drogo kosztować). Czytam między wierszami dlatego, żeby wyzwolić się z okowów tekstu i jego autora, aby zobaczyć, jak to, co wydaje się ograniczone tylko do tej sekwencji zdań i akapitów, nagle zyskuje odniesienie do otaczającej mnie rzeczywistości. **Czytać teksty — to czytać świat.**

Gdy więc mocarny na rynku pracy pracodawca oznajmia, iż uniwersytetowi zawdzięcza, że umie „czytać teksty”, oznacza to kilka ważnych spraw:

- Czytanie nie jest łatwą, mechaniczną umiejętnością. Przeciwnie — jest sztuką, którą nabywa się z trudem, i dlatego owa „wdzięczność” dla tego, kto w jej nabyciu nam pomógł.
- Ten, kto posiadał taką umiejętność, czuje się bezpieczniej w swojej pracy i otoczeniu.
- Bezpieczeństwo owo nie jest wynikiem dobrych układów z przełożonym (te mogą ulec zmianie), lecz rodzi się z przekonania, że jestem dysponentem sztuki zapewniającej mi względną niezależność w kształtowaniu własnych losów. Jako ten, który „umie czytać”, posiadam umiejętność rozumienia świata i jego sygnałów. Świat nie jest wobec mnie niemy, a ja potrafię mu odpowiedzieć. Nie zawsze kontakt ten bywa łatwy i przyjemny, ale tak długo, jak długo potrafię go podtrzymać, oddalam od siebie widmo ślepego zaułka zwątpienia i rozpacz. **Tyle nadziei, ile mojej rozmowy ze światem.**
- Pewne poczucie bezpieczeństwa wynika także z faktu, że iż skoro lektura oznacza budowanie mostów między mną i moją firmą a rzeczywistością, przeto czytając teksty, dobrze służę swojemu pracodawcy, który z pewnością nie dąży do odcięcia swoich połączeń ze światem.

Czytać — to tyle, co pozwalać oddalać się wszelkiej pokusie jednoznaczności, której miałbym być dysponentem. Gdy „pogrążam się” w lekturze, przyznaję, że daję pierwszeństwo czemuś nieznanemu nie

tylko przede mną, ale także przed tendencją do ustabilizowania owego nieznanego za pomocą jakiegoś „pojęcia” czy jakiejś „prawdy”. Proust uważa, iż czytanie, do którego przystępuję w nadziei poznania prawdy zawartej w dziele poddanym lekturze, może wyrządzić nam więcej szkody niż pożytku. Sparaliżuje bowiem nasze krytyczne myślenie i pogrąży w stanie spoczynku. Lektura jest ruchem myśli. „Z drugiej strony, staje się ona [lektura — T. S.] zagrożeniem, gdy zamiast pobudzać nas do życia duchowego, stara się je zastąpić, gdy prawda nie objawia się nam już jako ideał, do którego możemy dotrzeć jedynie dzięki wewnętrznemu postępowi naszej myśli i wysiłkowi naszego serca, lecz jako rzecz materialna, złożona między kartki książki niczym miód dostępny dla wszystkich i czekający tylko między półkami biblioteki, by go zebrać i smakować w doskonałym spoczynku ciała i umysłu”⁷⁵.

Uniwersytet winien taką lekturę praktykować, a jej konsekwencją będzie wyposażenie nas, studentów i nauczycieli, w przeświadczenie, że prawda nie jest „złożona między kartki”, a co za tym idzie, jest domeną pewnego niepokoju; nie stabilizuje, lecz przeciwnie — wymaga ruchu i zmiany miejsca. Egzamin uwieńczony wpisem w indeksie, profesorskie mianowania — to ważne okoliczności, doniosłe dokumenty i nie chciałbym deprecjonować ich znaczenia. Ale niedobrze się dzieje, gdy stają się one celem samym w sobie, gdy traktowane są jako punkt docelowy naszych codziennych zabiegów. **Ważną jest sprawą być profesorem, lecz ważniejsze jest to, aby żyć w przekonaniu, że jest nieskończenie wiele ważniejszych rzeczy i myśli, aspektów życia, za które bez wahania „oddalby” ów tytuł.**

Współcześni obserwatorzy i komentatorzy losu uniwersytetu zdają się podzielać pogląd Prousta, choć czynią to w innej, nie tak efektownej retoryce. Klaus Landfried, przewodniczący Konferencji Rektorów Niemieckich Szkół Wyższych, słusznie zastrzega się, że doskonałość w badaniach naukowych i kształceniu studentów to tylko jeden z filarów uniwersytetu. Drugim zaś jest właśnie przygotowywanie do ćwiczenia się w cnotach obywatelskich przez starannie podtrzymywane wyczulenie na to, co przychodzi, co jest obce i nieznanne; od języków począwszy, a na radykalnej odrębności tego, co święte, skończywszy. „Wyzwania związane z przemieszczeniami się ludzi, ich elastycznością życiową, umie-

⁷⁵ Ibidem, s. 95.

jętnościami językowymi i otwarciem na to, co nieznane, będą stale przybierały na sile. Uniwersytet może pomóc obywatelom w stawianiu czoła tymże wyzwaniom w otwartej dyskusji źródeł społecznych konfliktów, uprzedzeń i ksenofobii [...]”⁷⁶.

* * *

Uniwersytet musi zatem skoncentrować się na sztuce lektury. Po to, aby służyć wiedzy i mądrości jednocześnie. Po to, aby jego absolwenci byli odporniejsi na czekające ich stresy. Nie chodzi mi wcale o to, by w chwili zwątpienia i przygnębiającej rozterki wynikłej z pytania „co dalej?” sięgnąć, na przykład, po Marka Aureliusza lub Pascala i przeczytać stosowną ekshortację. Rzecz to wielce przydatna, ale to tylko jeden z elementów stanowiących o znaczeniu lektury. Czytanie czyni mnie odporniejszym, ponieważ jeżeli istotnie posiadam tę sztukę, wiem, że potrafię wyjść poza sam tekst i odnieść go i siebie jednocześnie do znaków czasu konstytuujących otaczającą mnie rzeczywistość. Niezależnie od tego, czy — jak 9 milionów Polaków — pochłonał mnie *Big Brother*, czy też odcinam się od niego, powinienem wiedzieć, **dla czego** tak postępuję i jaka jest historyczna tradycja takiego zjawiska. Tak długo, jak długo ludzie dociekają przyczyn swojego postępowania i swoich reakcji, świat zachowa szansę przetrwania. „Czytać teksty” to także wiedzieć i móc uzasadnić to, że coś lubię lub czegoś nie lubię. Jeżeli uniwersytet winien czemukolwiek się przeciwstawić, to coraz bardziej upowszechniającej się (także wśród polityków) tępej zaciętości, która nie znosi uzasadniania swoich decyzji, a na wszelkie pytania „dlaczego?” odpowiada „bo tak” albo wykrzyknikami w rodzaju „bez sensu” lub „paranoja”. Jeszcze niebezpieczniejszym wariantem owej niedopuszczalnej symplifikacji są stereotypy polityczne manifestujące się w sloganach wykrzykiwanych z lubością w rozmaitych publicznych okolicznościach. **„Czytać teksty” tak, jak pojmuję tę sztukę uniwersytet, oznacza więc dwie rzeczy: po pierwsze, zdolność wychodzenia z opłotków siebie i tekstu oraz budowanie mostów wybiegających w stronę innych tekstów i zjawisk; po**

⁷⁶ K. Landfried: *Changes Needed at Universities and Other Higher Education Institutions in Order to Create a Coherent, Compatible, Open and Competitive European Higher Education Area*. In: *Salamanca Convention 2001...*, s. 34.

drugie, poczucie zobowiązania oraz umiejętność spokojnego uzasadniania swoich racji i upodobań.

Naciskowi na tak pojętą lekturę tekstów uniwersytet zawdzięcza to, że pozostaje instytucją liberalną, broniącą się przed konserwatyzmem i pokusami fundamentalistycznymi. Wspomniany już kilkakrotnie Jerome McGann pisze, konstruując dychotomię między liberalnym „my” a konserwatywno-restrykcyjnym „oni”: „W miejsce tego, co nam tak bliskie — kształcenia w duchu krytycznej refleksji — oni podstawią model krytyki stanowiący przeciwieństwo tego, czego chcielibyśmy chronić. To, co proponują, to model oparty na przepatrywaniu terytorium w poszukiwaniu wroga, doszukiwaniu się błędów i wyprawianiu się z misją typu »znaleźć i zniszczyć«”⁷⁷. Allan Bloom mówi o „syrenim śpiewie doraźności”, który okazuje się zabójczo groźny dla uniwersytetu (groźba owa pokazała swą perfidię — jak twierdzi Bloom — w latach sześćdziesiątych). W tym stopniu, w jakim „doraźność” oznacza zamknięcie horyzontu myślenia, amerykański konserwatysta ma rację; jednak wbrew jego życzeniu uniwersytet nie może lokować się ani na pozycji wyniosłej pogardy wobec oblewającego go z każdej strony morza wydarzeń, ani upatrywać swojej misji w wynajdowaniu działań zastępczych mających być substytutem rzeczywistości. Tymczasem i jedna, i druga pokusa (słowo w tym przypadku znamienne, Bloom bowiem przedstawia się jako nieustraszony pogromca wszelkich pokus i namiętności) aż pulsuje w tekście Blooma. „Książka interesowała ich bardziej niż rewolucja, co pokazywało, jakie ponęty uniwersytet winien przeciwstawiać syrenim śpiewom doraźności”⁷⁸.

Uniwersytet sam winien więc być „ponętnym”, lecz powab ów ma polegać na zwalczaniu lub co najmniej pomijaniu wszelkich innych pokus wyłaniających się z mgieł rzeczywistości. Gdyby posłużyć się postaciami wielkich greckich narracji, powiedzielibyśmy, iż w świecie Homera rola uniwersytetu odpowiadałaby roli Odyseusza w epizodzie z syrenami, które czarują wszystkich znajdujących się w pobliżu: „Kto nieświadom zbliży się i posłucha głosu Syren, temu już nie wrócić do domu [...], bo go Syreny uwiodą swoją dzwonną pieśnią”⁷⁹. Uniwersytet, jak grecki heros, może słuchać uwodzicielskiego chóru, lecz nie

⁷⁷ J. McGann: *Who's Carving up the Nineteenth Century?*..., s. 1419.

⁷⁸ A. Bloom: *Zamknięty umysł*. Przeł. T. Bieroń. Poznań: Zysk, 1996, s. 397.

⁷⁹ Homer: *Odyseja*. Przeł. J. Parandowski. Warszawa: Czytelnik, 1953, s. 173.

może wykonać żadnego ruchu w jego stronę; co więcej, jak pamiętamy, wcześniej musi zapobiec temu, aby kogokolwiek poza nim doszedł ów głos („Ugnieć воск żółty jak miód i pozalepiaj uszy towarzyszy, by nikt z nich nie słyszał”). Bloom pragnie bronić uniwersytetu jako heroicznej instytucji, która samotnie przeprowadzi społeczeństwo obok pięknych złudzeń świata rozświetlonego pokusami, ale ma uczynić to tak, aby ci, którzy znaleźli się w jego murach, nawet nie znali skali ani powabu niebezpieczeństwa. Rada, którą daje Bloom uniwersytetowi („książka bardziej niż rewolucja”, czyli — inaczej mówiąc — trzymajcie się z dala od zawieruchy świata, spoglądajcie z góry na jego losy, które są w porównaniu z książką i jej wielką celowością tylko nędzną przypadłością; we wrócym niepokojem Berkeley Bloom z satysfakcją odnotuje, że jego studenci „z wysokości sali zajęć dosłownie patrzyli z góry na gorączkową bieżnię na zewnątrz [...]”), jest nieskuteczna z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że przeciwstawia książkę rzeczywistości, gdy tymczasem uniwersytet jako sztuka doskonalenia lektury winien rozszerzać strukturę książki na jak największy obszar świata: świat jest skomplikowanym tekstem do czytania — oto przesłanie uniwersytetu.

Drugim powodem jest to, że autor *Zamkniętego umysłu* zdaje się przeżyć sam sobie. Bloom dopuszcza bowiem wyjście literatury poza mury uniwersytetu i modyfikowanie wyglądu rzeczywistości. W przywołanym przez Blooma wspomnieniu nieliczni studenci jego seminarium wybiegają na ulicę i mieszając się z tłumem kolporterów najrozmaitszej propagandowej literatury, dystrybuują fragmenty *Państwa* Platona. Platon może zatem — wbrew pierwotnej opinii Blooma — przeciwstawić się „rewolucji”, może zejść „z góry” i zanurzyć w tłumie rozpolitykowanej agory. Słusznie więc czytamy nieco dalej, że stara księga uczy nas rozumieć współczesne wydarzenia, lecz aby tak było, nie da się utrzymać zarysowanej wcześniej homeryckiej analogii z Odyseuszem, który (przywiązany do masztu) wręcz nie może zareagować na to, co dzieje się wokół niego. **Uważnie słuchać i krytycznie przyglądać się wydarzeniom świata, a następnie — zachowując dystans uchraniający nas od ciemnego zaciętrzewienia, właściwego ideologom — wpływać na ich bieg jest nauką, jaką uniwersytet kieruje do swych adeptów.**

Dylemat podniesiony przez Blooma mógłby zatem zostać ujęty w następującej formie: z jednej strony jest Odyseusz, którego inteligencja w zależności od sytuacji przybiera postać okrucieństwa lub przebiegłości, lecz którego heroizm polega w gruncie rzeczy na odreagowywaniu i dopasowywaniu się do okoliczności; z drugiej — Antygona, która trwa przy swoim systemie wartości i nie tyle dopasowuje się do świata, ile usiłuje przekonać świat o swoich racjach. Odyseusz jest mężnym herosem resentymentu; jest — jak by napisał Blake — „re-aktorem” raczej niż „aktorem”. Odyseusz, wędrując, wciąż poznaje nowe przestrzenie, ale nie posiadał mądrości, która pozwoliłaby mu stać się autorytetem dla tych miejsc. Przeciwnie, nieustannie pada ofiarą podstępów i zasadzek, a okoliczności zmuszają go do tego, by nawet w Itace, tam, gdzie jest „panem”, pojawił się w niepozornym przebraniu. Antygona natomiast nie rusza się z miejsca, przeciwnie — ma go coraz mniej, ale to na nią spoglądają, gdy chcą się dowiedzieć, co mówi mądrość. Można domniemywać, że Antygona, gdyby jej przyszło przepłynąć koło wyspy Syren, nie zachowałaby się tak, jak uczynił to Odyseusz: starałaby się sprawić, aby załoga usłyszała uwodzicielskie pienia, lecz jednocześnie potrafiłaby swoim postępowaniem i refleksją spowodować, iż jej większość nie uległaby pokusom ideologicznych powabów. Jednocześnie pamiętajmy, że Odyseusz był ulubieńcem dworów, słuchali go królowie i książęta, a bogowie (niektórzy przynajmniej) wspomagali swoimi radami. Antygona jest samotna (w wielkiej scenie IV epejsodionu „sama” i „bez przyjaciela” schodzi do „grobowej groty”⁸⁰), ale samotność ta nie jest ograniczeniem, przeciwnie — otwiera horyzont wolności.

Z tragedii Sofoklesa wydobądźmy tutaj tylko dwie znamienne kwestie. Gdy po niewczasie niepokojona sumieniem Ismena zapragnie podzielić los siostry, usiłując poruszyć ją pytaniem: „Lecz jakież żywot mnie czeka bez ciebie?”, Antygona odpowie krótko: „Pytaj Kreona! Zwykłaś nań ty baczyć”. Tego, kto stał się całkowicie zewnątrzsterowny, odesłać należy tam, gdzie jego miejsce — do tych, którzy dyktują warunki gry. Ismena jest mimo woli współniczką ograniczonego Kreona,

⁸⁰ Sofokles: *Antygona*. Przeł. K. Morawski. W: *Antologia tragedii greckiej*. Oprac. S. Stabryła. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1989, s. 303—355. Wszystkie dalsze cytaty pochodzą z tej edycji.

„baczy” wszak na jego decyzje, to znaczy układa swoje losy w całkowitej zależności od postanowień i dekretów władcy. Kwestionowanie owej bezwarunkowości staje się zadaniem Antygony, która przypomina na każdym kroku, iż władza nie może być wolna od krytycznego osądu rządzonych, i dla dobra tejże władzy musi istnieć przestrzeń, w której człowiek z władcą (niezależnie od tego, czy jest to „rząd”, „parlament” czy „rynek”) spiera się i kwestionuje jego dyktat.

Uniwersytet winien iść śladem myślenia Antygony, ponieważ jego zadaniem jest kształcić tak, aby człowiek w murach uniwersytetu i poza nimi, w swej pracy zawodowej i życiu prywatnym zachował zmysł krytycznej refleksji oceniającej postępowanie władzy i autorytetu. **Uniwersytet dba o to, aby zawsze zachowało się w nas choćby niezbędne minimum tej przestrzeni, w której nie utożsamiam się ze stanem rzeczy i nie kapituluję przed nim, przyjmując wszelkie narzucone pod pozorem obiektywności warunki.** Nic tak nie zaciemnia wizerunku uniwersytetu, jak bezkrytyczne powierzenie się idei, która — wedle mojego zdania — powinna stać się ideą podzielaną przez wszystkich.

Drugi cytat jest podobnej natury, lecz odnosi się nie tyle do relacji z innymi ludźmi, ile do tego, co stanowi podstawę wszelkich związków; więc z bliźnim winna się oprzeć na jakimś „prawie”, to zaś — i to drugie wielkie odkrycie Antygony — nie zawsze musi mieścić się w sferze porządku racjonalnego i jurydycznego. W swej debacie z Kreonem córka Edypa odwołuje się do Hadesu, rzeczywistości niedostępnej śmiertelnikowi, a jednak przecież mu przypisanej. Na jej tezę, że „Hades pożąda praw równych”, tyran odpowie doktryną, w której dobro i zło są już nie tylko oddzielone od siebie, lecz także przypisane decyzją władcy określonym osobom. Satrapa swą samowolę przybiera — stanowiąc ponadczasowy wzór zachowań polityka — w retorykę moralnego podbudowywania społeczeństwa: „Dzielnemu równość ze złym nie przystoi”. Polityka celuje w wyszukiwaniu argumentów, które prywatę i idiosynkrazję ukazałyby jako wyraz bezinteresownej troski o powszechny dobrostan. Na ten dychotomiczny podział na „dobrych” i „złych” charakterystyczny dla tych, którzy nie uczą się, lecz „wiedzą” i dążą do opętania innych swoimi przekonaniami, Antygona zareaguje ciemnym pytaniem: „Któż wie, czy takie wśród zmarłych są prawa?”.

Nazywam to pytanie „ciemnym” nie wyłącznie dlatego, że odnosi się do sfery śmierci, lecz głównie dlatego, że wykracza poza domenę

światła politycznego rozumu. W przeciwieństwie do niego rozum etyczny zawsze wydaje się niejasny i splątany, gdyż ci, którzy wykazują polityczny rozum, zazwyczaj już z góry rozdysponowali role „dobrych” i „złych”, wobec czego nie znoszą, gdy zakłóca się ów przydatny w pragmatyce sprawowania władzy porządek. Antygona w istocie mówi Kreonowi, że człowiek, nim będzie mógł przystąpić do konstruowania praw ludzkich, musi stanąć twarzą w twarz z prawami głębszymi i mniej podatnymi na doraźne koniunktury. Konstytuując legislacyjny porządek rzeczywistości, wydając zarządzenia i decyzje, musimy pamiętać, że rzeczywistość owa przeniknięta jest wartościami, których prawa rynku (zarówno w znaczeniu rynku ekonomicznego, jak i greckiej agory) mogą nie dotyczyć, a które to wartości mają wobec nas swoje wymagania i żądania. Kreon myśli tylko o żywych i podporządkowuje ich celom i prawom swojej polityki; Antygona przywołuje umarłych po to, aby dać nam do zrozumienia, że prawa i cele, które sobie stawiamy, łatwo mogą się okazać zawodne i nieetyczne. **Uniwersytet kształci tak, abyśmy mogli działać w przekonaniu, że oto mimo naszej poszerzającej się wciąż wiedzy i powodzenia w eksplorowaniu świata jest coś, czym nie rozporządzamy i co nam nie podlega, a wobec czego winniśmy żywić przywiązanie dalekie od tego, aby być motywowanym jedynie chęcią posiadania.** Owo „coś”, zapewne trudno definiowalne, można określić jako zespół wartości stanowiących nie tyle alternatywę dla logiki rynku, ile wszechpotężną logikę rynku wartości niepokojących i niepodporządkowujących się jej do końca. Jeżeli rynek napędzany jest siłą i energią jednostki oswobodzonej z lojalności i odpowiedzialności społecznych, uniwersytet musi podtrzymywać ducha owych społecznych zobowiązań, przyczyniając się tym samym do ochrony podstawowych zasad demokracji polegającej nie na grze partyjnych elit, lecz na autentycznym zaangażowaniu jednostki w życie społeczności. Idee demokratycznej transformacji — pisze Henry Giroux — stały się niepopularne, „ponieważ logika rynku podważa najistotniejsze podstawy społecznych solidarności. Konsekwencje takiego stanu rzeczy obejmują nie tylko osłabienie państwa, lecz także nasilające się poczucie niepewności, cynizmu i politycznego zubożenia szerokich kręgów społeczeństwa”⁸¹.

⁸¹ H. A. Giroux: *Public Spaces, Private Lives...*, s. 58.

Odtworzenie „podstawowych solidarności społecznych” jest także przejawem wierności wobec tego, co nienazwane i niewidzialne, nieobecne, lecz co wciąż draży naszą myśl. Może dlatego Antygoną przywołuje Hades i zmarłych. Gabriel Marcel przypomni nam, że czcimy zmarłych, ponieważ szacunek ów jest „odmową zdrady tego, który był, przez zwykłe potraktowanie go jako już niebędącego”⁸². Uniwersytet czuje się „strażnikiem” przeszłości dlatego, że konstytutywne jest dla niego przeświadczenie o wartości tego, co minione, a bez czego terazniejszość bywa często niezrozumiała. Przeszłość jest przedmiotem troski uniwersytetu, przypomina bowiem o tym, że to, co niewidoczne, co pozornie już „odeszło”, zastępowane nowymi teoriami, koncepcjami, obrazami, jest tym, wobec czego zachowujemy wierność nie dlatego, żebyśmy chcieli przypisywać prawdę dawnym, zmodyfikowanym lub wręcz odrzuconym poglądom, lecz dlatego, że szanujemy trud i pracę włożone w owych poglądów przygotowanie. **Uniwersytet uczy wierności i szacunku dla uczciwej i rzetelnej pracy myśli, nawet wtedy gdy jej efektem odjęto już walor niezachwianego pewnika lub gdy jeszcze nie znaleziono dla nich dowodów potwierdzających ponad wszelką wątpliwość ich słuszność.** Mówiąc inaczej, uniwersytet w ten właśnie sposób wymyka się z pułapki, w której wiedza i wykształcenie stają się już jedynie towarem. To, co „już” nie obowiązuje i przestaje być przydatne, oraz to, co sprzedażne być nie może, nie znaleziono bowiem dlań „jeszcze” żadnego zastosowania, nie podlegają prawom towaru, a więc jakby stawiały znak zapytania nad bezwzględną logiką kapitalistycznego rynku. Wallerstein zauważa przenikliwie, iż „system jest kapitalistyczny, gdy podstawową dynamiką aktywności społecznej jest niekończąca się akumulacja kapitału [wymagająca z kolei] wzrastającego utowarowienia wszystkiego”⁸³.

Miedzy owym „już” i „jeszcze” rozciąga się przestrzeń uniwersytetu. Brak respektu dla „już” (minionego) oznacza pościg za nowinkami; wyrzeczenie się „jeszcze” (niespełnione) jest równoznaczne z wyrzeczeniem się marzenia i wyobraźni. Tak rozumiem zaufanie i bezinteresowność wspomniane na początku tych rozważań jako motywy działania

⁸² G. Marcel: *Być i mieć...*, s. 140.

⁸³ I. Wallerstein: *The End of the World As We Know It. Social Science for the Twenty First Century*. Minneapolis: University of Minnesota Press 1999. Cytuję za A. Ostolski: *Koniec świata*. „Krytyka Polityczna” 2000, nr 1, s. 203.

„elity”. Nie sędzę, aby świat był płaskim talerzem spoczywającym na czterech słoniach, ale mogę docenić poetycki urok tej teorii sformułowanej zapewne z całą rzetelnością w pewnym momencie historycznego procesu kształtowania się nauki. Siedząc na wykładzie fizyka, nie „rozumiem” najistotniejszych szczegółów jego wywodu, ale patrząc na przykład na symulowane komputerowo rybosomy, oceniam je jako „piękne”.

Torstein Veblen już pod sam koniec XIX wieku w swej *Teorii klasy próżniaczej* przyznał intelektualistom, zwłaszcza tym wywodzącym się z dyscyplin humanistycznych, osobliwy status wynikający z ich społecznej bezsiły. Cieszymy się szacunkiem w społeczeństwie dopóty, dopóki jesteśmy bezużyteczni, a popyt na nasze istnienie i ewentualne usługi jest identyczny z popytem, jaki pojawia się na towary i dobra o charakterze luksusowym. Uniwersytet i jego profesorowie w społecznym oglądzie wypełniają przez nich rolę mieszczą się między wysoce użyteczną funkcją kształcenia i prowadzenia badań naukowych (choć zastrzeżmy, że finansowa polityka państwa pozostaje w rażącej sprzeczności z nawoływaniem o większą liczbę ludzi wykształconych) a całkowicie ozdobną funkcją komentatora, zbliżoną do roli atrakcyjnego przedmiotu sztuki przydającego blasku sklepowej wystawie. Trafnie zauważa David Simpson, iż uniwersytet może równie skutecznie oddzielać nas od sfery publicznej, co nas z nią łączyć⁸⁴. Ekonomiczny i profesjonalny aktywizm profesorów, zapewne nadmiernie ekspansywne uczestniczenie w dydaktyce potrzebnej społeczeństwu, nie przeszkadza temu, że są oni traktowani jednocześnie jako bibelot, przedmiot drugorzędnej wagi, choć przydający wdzięku salonowi. **Bibelotyżacja uniwersytetu jest niebezpieczna, gdyż spłyca życie społeczne i poziom politycznych decyzji, sprowadzając je do suchych aktów prawnych pozbawionych szerszego tła i kontekstu oraz powszechnie zrozumiałego objaśnienia.** Czas, zamiast nasyconej treścią i doznaniem przestrzeni dialogu, staje się klątką oddzielającą nas od innych.

Co więcej, ludzie uniwersytetu w tej sytuacji zarzucają aktywność twórczą, stają się — jak Odyseusz — odtwórcami i kopistami samych siebie. Po pierwsze dlatego, że zatrudnieni na kilku etatach, pozbawili się czasu i energii na własne poszukiwania; po drugie dlatego, że społe-

⁸⁴ D. Simpson: *The Academic Postmodern and the Rule of Literature. A Report on Half-Knowledge*. Chicago Press, London: University of Chicago, 1995, s. 163.

czeństwo nie bardzo chce wierzyć temu, co mówią, a rząd — mimo to, że nie brak w nim profesorów — sprawy podnoszone przez uniwersytety spycha na koniec wszelkich porządków dnia i hierarchii ważności problemów. **Bibelotyzacja (zjawisko, dla którego Simpson znajduje nazwę „postmodernistycznej ideologii miniaturyzacji”) i merkantylizacja uniwersytetów to procesy groźne, gdyż ich konkluzją może być praca pozbawiona przyjemności tworzenia.** Na początku (po)nowoczesnego świata Nietzsche w tym właśnie upatrywał początków kulturowego wyczerpania i wyjałowienia: „Co niszczy szybciej niż praca, myślenie, czucie bez konieczności wewnętrznej, bez głęboko osobistego wyboru, bez przyjemności? niż automat obowiązku?”⁸⁵.

* * *

Martin Heidegger w pochodzącym z 1938 roku eseju *Czas światoo obrazu* wyprowadzał nowoczesną naukę z dążenia do „badania” (*die Forschung*), którego istota polega na ustanowieniu konkretnego postępowania mającego na celu osiągnięcie oglądu pewnego fragmentu rzeczywistości. Aby jednak postępowania owe mogły być skuteczne, musi nastąpić wydzielenie odpowiedniego obszaru, w którym byłyby one obowiązujące i jako takie przynosiłyby spodziewane rezultaty. Tak więc organizacja nie jest jedynie sprawą administrowania nauką i edukacją, lecz — i w tym chyba tkwi oryginalność refleksji Heideggera — stanowi immanentną cechę nauki: bez organizacji nie można uprawiać nauki, ponieważ nie ma ona swojego świata, właściwej jej domeny, w której mogłaby zaistnieć. Pomińmy tu błyskotliwy wywód Filozofa poświęcony idei „eksperymentu naukowego” i temu, co różni go od antycznej koncepcji „empirii”, a przejdźmy do konkluzji. Ta zaś brzmi następująco: „Każda nauka jest jako badanie ufundowana na projekcie odgraniczonej dziedziny przedmiotowej i przeto jest nieodzownie nauką szczegółową”⁸⁶. Specjalizacja taka czyni naukę zdolną do skupienia się na swoim przedmiocie, to zaś jest możliwe w pełni dopiero, „gdy możliwa staje się jej [nauki — T. S.] instytucjonalizacja”. Rozrost owej specjalizacji stanowi — zdaniem

⁸⁵ F. Nietzsche: *Antychryst*. Przeł. L. Staff. Warszawa [b.r. i m. wyd.], aforyzm 11.

⁸⁶ M. Heidegger: *Czas światoo obrazu*. Przeł. K. Wolicki. W: M. Heidegger: *Drogi lasu*. [Różni tłumacze]. Warszawa: Aletheia, 1997, s. 73. Dalsze cytaty pochodzą z tego samego źródła.

Heideggera — „zabezpieczanie pierwszeństwa procedury nad bytem”, czyli poddanie przedmiotów i problemów takiemu oglądowi, który czyni z nich wyłączone z całości istnienia fragmenty, wypreparowane próbki, pozbawione związku z nieogarniętym bogactwem swojego bytowego zaplecza, które Heidegger nazwałby pewnie „przyrodą i dziejami”. Trudno nie zgodzić się z Filozofem, kiedy dowodzi, że ten model nauki Zachodu upowszechnił specyficzny typ uczonego: „Znika uczony-erudyta. Zastępuje go badacz, którego sprawą są przedsięwzięcia badawcze”. Naukę, której istota polega na nieuchronnej instytucjonalizacji, tworzą ludzie, lecz i odwrotnie — aby mogła rozwijać swoją formułę, nauka musi wytworzyć rodzaj „pracownika naukowego”, „naukowca”, który nie byłby już „uczonym”.

Oznacza to przede wszystkim swoistą dominację procedur nauki nad ludźmi, którzy teraz muszą dopasować się do obowiązującej matrycy, a zarazem podniesienie stopnia „zewnątrz-sterowności” człowieka zajmującego się nauką, który teraz działa głównie nie w wymownym i dialogicznym porozumieniu ze swoimi zainteresowaniami, uczniami, miejscem pracy, do którego jest przywiązany (biblioteka, laboratorium), lecz przede wszystkim funkcjonuje na zasadzie mniej lub bardziej anonimowego „paktu”, „kontraktu”, „zobowiązania” zadzierzgniętego pomiędzy nim i instytucjami (nie ludźmi) nauki. Heidegger wspomina niektóre z owych instytucji: „Badaczowi nie jest już potrzebna domowa biblioteka. Ponadto jest stale w drodze. Rozprawia na sympozjach, uczy się na kongresach. Uzależnia się od zamówień wydawców. Oni współdecydują teraz o tym, jakie książki trzeba napisać”. Bliższe nam czasy, w których nauka stała się w wielu dyscyplinach wręcz niewyobrażalnie kosztowna, uczyniły tę listę znacznie bogatszą w bardziej drastyczne zależności: konsorcja farmaceutyczne zlecające badania nad związkami chemicznymi zapewne w oczekiwaniu określonych wyników, wojsko poszukujące w laboratoriach naukowych nowych narzędzi wojny, czy choćby zamówienia na ekspertyzy prawne mające uzasadnić pożądany przez polityków kształt rzeczywistości społecznej.

Przypominamy tekst Heideggera dlatego, że mówi on o kilku zasadniczych dla uniwersytetu kwestiach. Po pierwsze, wytycza jasno przebieg rozwoju nauki Zachodu, której uniwersytet jest jedną z najważniejszych instytucji. Szczególnie mocno zatem winniśmy uświadomić sobie naturę owego procesu. „Uniwersytet — pisze Filozof — jest rze-

czywisty jako organizacja, która umożliwia jeszcze i uwidacznia rozdzielanie się nauk w toku specjalizacji wraz ze szczególną jednością w eksploatacji". Uniwersytet nie jednoczy więc nauk, lecz wykazuje dobitnie ich rozbieżności, natomiast jako „organizacja” ma on możliwość konsolidowania i planowania badań tak, aby zapewnić maksymalny rozwój poszczególnych dyscyplin. Idąc tokiem myślenia Heideggera, powiedzielibyśmy, iż **uniwersytet nie jest w stanie zapewnić jedności nauk, ale musi bezwzględnie zadbać o powierzoną mu misję jednoczenia uczonych w imię osiągnięcia partykularnych celów ich dyscyplin nauki oraz niezatracenia poczucia więzi i wspólnoty.**

Na tym polega mądrość uniwersytetu. Wedle jej postulatów winien respektować on wolność rozwoju wszelkich dyscyplin nauki, lecz jednocześnie przeciwdziałać temu, aby doprowadziła ona do zaniku i kompletnej atrofii form społecznego współodczuwania będących podstawą uniwersytetu. Jeżeli nauka jest światem przeżytym za pośrednictwem zinstytucjonalizowanych form i procedur poznania, uniwersytet stanowić winien doskonałą formę takiego przeżycia. Lecz doskonałość tej formy paradoksalnie zależy od stopnia, w jakim dopuszczę do głosu nie siebie, lecz innych, w jakim przemówią nie moje potrzeby, lecz obawy i problemy drugih. Można także powiedzieć, iż uniwersytet uprawia naukę, zawsze będąc świadomy nie jej triumfów i osiągnięć, lecz ryzyka i niebezpieczeństw.

Po drugie, moglibyśmy wskazać kierunek prowadzący do wyjścia poza określone przez autora *Czasu światooobrazu* ramy, same w sobie paradoksalnej natury. Z jednej bowiem strony są one prawdziwymi ramami ograniczającymi nasze widzenie świata do wybranego fragmentu („świat staje się obrazem [...] człowiek staje się pośród bytu *subiectum*”) rzeczywistości, oglądanego za pomocą instytucjonalnie wypracowanych procedur, z drugiej jednak strony samo życie „pracownika naukowego” (w odróżnieniu od „uczonego”⁸⁷) i tryb jego pracy polegają na przekraczaniu wszelkich ram miejsca i pracodawcy. Powiada Filozof, że pracownik ów jest „stale w drodze” i nie odczuwa już potrzeby „domowej biblioteki”. Im bardziej świat widziany przez pry-

⁸⁷ Chciałbym w tym miejscu odwołać się z wdzięcznością do naszych rozmów z Profesorem Jackiem Janią, który kilka lat temu zwrócił nam uwagę na niefortunność rozpowszechniającego się pojęcia „naukowiec” w porównaniu tradycyjnym terminem „uczony”.

zmat procedury nauki staje się obrazem, tym bardziej obraz ów jest eksportowany ponad wszelkimi granicami i ramami administracyjnymi. **Gdy „uczony” stał się „pracownikiem nauki”, przydarzyły mu się dwie przygody: utracił szerokie widzenie nieograniczonego horyzontu świata oraz zdolność do rozumienia swego miejsca i pozostawania mu wiernym.** Kierunek wyjścia z owych przygód prowadzi przez dydaktyczną stronę uniwersytetu. To w tej dziedzinie „pracownik nauki”, dobrze ją wykonując, to znaczy będąc czymś więcej niżli „instruktorem”, powraca do funkcji „uczonego”, czyli tego, kto na sokratyczny sposób słucha i dialoguje z ludźmi i miejscem, które ich gromadzi. Wtedy odżywa ten pokrój człowieka, który jest uczonym-erudytą (nie w sensie częściej demonstracji wiedzy, lecz w znaczeniu ukazania złożoności i heterogeniczności świata znacznie wykraczającego poza „ramy” specyfiki danej dyscypliny wiedzy), a nie jedynie wykonawcą przedsięwzięć badawczych.

Zal Heideggera nad zanikiem potrzeby posiadania domowej biblioteki rozumiem przede wszystkim jako **ubolewanie nad zanikiem imperatywu lokalności wymiernej materialnością danego fragmentu świata.** Biblioteka bowiem to nie tylko treść książek, lecz także dotyk ich grzbietów i czasem pożółkłego już papieru, rozpoznawana przez mieszkańców topografia serdeczna, która pozwala wyłącznie im na niezawodne i rychłe odnalezienie poszukiwanego woluminu w pozornie bezładnych stertach i rządach. Bezcielesne biblioteki elektroniczne z ich nieubłaganym porządkiem są zawsze „na temat”, gdy urok biblioteki jako miejsca i przestrzeni lokalnej polega na tym, że jest ona ponadtematyczna, że tak, jak dobry uniwersytecki wykład czy seminarium, uczy nas czegoś ponad to, co jest nam bezpośrednio w danej chwili potrzebne, a w czym, mimo to, że dana książka czy strona nie są nam w tej chwili „potrzebne”, mieści się pouczenie, mądrość. Mądrość bowiem w przeciwieństwie do nauki nie jest partykularna i rozdrobniona tematycznie; jej najbardziej istotną cechą stanowi to, że nie ma swojego tematu, lecz przesyca nasze spojrzenia, ruchy i słowa. **Gdy nauka dąży do pełni i kompletnego słownika swoich dyscyplin, mądrość jest pusta i kieruje się w stronę ciszy. Między jednym a drugim dążeniem rozciąga się ziemia uniwersytetu, na której wznosi on swój gmach.** W gmachu tym uczy się nie tylko wyodrębnionych dyscyplin nauki, lecz także umiejętności budowania relacji.

Choćby zdecydowanie nie aprobować idei Heideggera przedstawionych w *Czasie światobrazu*, ważne jest, abyśmy pamiętali o napomnieniu Newmana, iż „Studenci, którzy obarczają się bagażem literatury lub wiedzy do tego stopnia, że nie starcza im już czasu na określenie wzajemnych relacji pomiędzy zdobytymi przez siebie pojedynczymi aspektami wiedzy, zdają się raczej obciążać swoje umysły niż je rozwijać”⁸⁸.

⁸⁸ J. H. Newman: *Kazania uniwersyteckie*. Przeł. P. Kostyło. Kraków: Znak, 2000, s. 266.

K O L O F O N

ANTYGONA
W ŚWIECIE KORPORACJI
ROZWAŻANIA O UNIWERSYTECIE
I CZASACH OBECNYCH

to
trzeci tom
z serii

BIBLIOTHECA ALIA UNIVERSA

Wydawnictwa
Uniwersytetu Śląskiego

wytłoczony
ostatniego dnia
2002 roku



Tadeusz Sławek, autor ok. 40 artykułów i książek, m.in. *The Outlined Shadow. Phenomenology, Grammatology*, Blake 1984, *The Dark Glory. Robinson Jeffers and His Philosophy of Earth, Time and Things* 1990, *Maszyna do pisania. Jacquesa Derridy teoria literatury* (współautor) 1992, *Sfera szarości. Studia nad literaturą i myślą osiemnastego wieku* (współautor) 1993, "Sublime Labours": Blake, Nietzsche and the Notion of the Sublime. In: "The Most Sublime Act". *Essays on the Sublime* (ed.) 1994, *Mnemozyne. O pamięci i zapomnieniu*. W: *Kultura i społeczeństwo* 1995, *Postmodernizm a rewizja współczesności*. W: *Postmodernizm w literaturze i kulturze krajów Europy środkowo-wschodniej* (współautor) 1995, *Paul de Man, Allegories of Reading*. W: *Przewodnik po literaturze filozoficznej XX wieku* 1995, *Thomas Pavel, Fictional*, tamże, *The Scene of Hospitality. Theory of Literature and Eastern Europe*. In: *Oxford Yearbook of Cultural Studies* 1995, *Literary Voice. The Calling of Jonah* (współautor) 1995, *Między literami. Eseje o sztuce konkretnej* 1989, *U-bywać. Człowiek, świat, przyjaźń w twórczości Williama Blake'a* 2001. Redaktor 12 tomów prac zbiorowych, 7 książek popularnych. *The ...* ... amerykańskiej.

nr inw.: BOD - 6279



BOD 6279

N 0208-6336

20 80